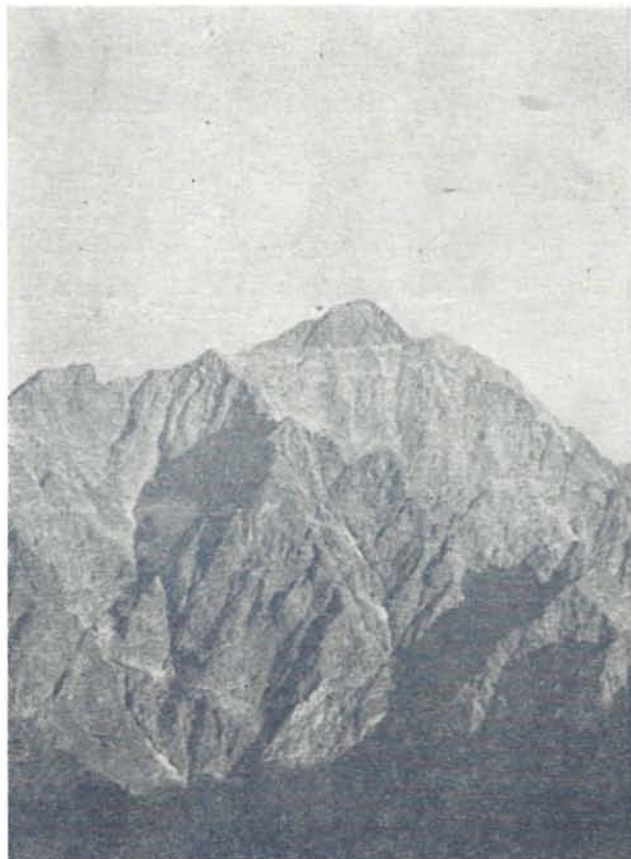


TATERNIK

ORGAN SEKCJI ALPINIZMU ZG PTTK i GKKE



ROK 1956

WARSZAWA

NR 1-2 (151-152)

TREŚĆ

	strona
Na wznowienie „Taternika“ (<i>Prezydium Sekcji Alpinizmu</i>)	1
Obrachunki dziesięciolecia (<i>Wawrzyniec Żuławski</i>)	3
Nadrobić opóźnienie w alpinizmie polskim! (<i>Jan Alfred Szczepański</i>)	8
Klasyfikacja sportowa w taternictwie (<i>Bolesław Chwaściński</i>)	12
Współpraca taterników z naukowcami (<i>Kazimierz Kowalski</i>)	17
Maciej Sieczka 1826—1897 (<i>Witold H. Paryski</i>)	20
Lat temu czterdzieści (<i>Jerzy Lande</i>)	21
1.1.65 J. (<i>Halina Wyżanowicz</i>)	32
Z dziejów alpinizmu radzieckiego i walk na Kaukazie w czasie wojny (<i>Justyn T. Wojsznis</i>)	33
Wycieczka w góry Rila (<i>Jan Alfred Szczepański</i>)	36
Pierwsza w Polsce wiadomość o najwyższej górze świata (<i>Witold H. Paryski</i>)	38
Pierwsze przejście głównej grani Tatr (<i>Ryszard Wiktor Schramm</i>)	38
Horarium pierwszego przejścia głównej grani Tatr (<i>Jan Staszek</i>)	43
W obliczu przyszłych wypraw (<i>Maciej Kuczyński</i>)	45
Dział techniczny	50
Itineraria	53
Karta żałobna	54
Speleologia i taternictwo jaskiniowe	55
Sprawy przewodniczące	67
Z piśmiennictwa	67
Sprawy Sekcji Alpinizmu	72
Od Redakcji	79

Zdjęcie na okładce: LODOWY I BARANIE ROGI — fot. T. Zalewski

T A T E R N I K

ORGAN SEKCJI ALPINIZMU ZG PTTK i GKKF

ROCZNIK 32

Warszawa — marzec 1956

NR 1-2 (151-152)

NA WZNOWIENIE „TATERNIKA“

Mają swe losy nie tylko książki, mają je i czasopisma.

Gdy w 1907 roku garstka — grupka maleńka — taterników polskich zakładała dwumiesięcznik „Taternik“ — z chudych składek studenckich zamierzając finansować pismo — nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć ci ówczesni młodzi taternicy, jak zmienne losy spotkają ich skromne wydawnictwo, i nie zdawali sobie jasno sprawy z tego jaka może być, jaka będzie przyszłość ruchu, którego „Taternik“ miał być odbiciem i wyrazem. Ale jedno wiedzieli, jednemu celowi „Taternik“ miał służyć niezachwianie: czystości taternictwa, jego nieustannemu kroczeniu *per aspera ad astra*, by posłużyć się określeniem w stylu tamtejszych czasów.

W sześć lat po założeniu pisma wybuchła pierwsza wojna światowa. „Taternik“ do tego czasu zdobył sobie dobre imię w piśmiennictwie tatrzańskim i uznano, że sumiennie wypełniał cele, jakie mu wytyczyła redakcja na wstępie pierwszego zeszytu: „pracę koło rozwoju turystyki polskiej i szerzenie wśród ogółu zamiłowania do taternictwa“. Z tym objaśnieniem, że ów „ogół“ był zespołem o wąskiej bazie społecznej, a więc i chwiejnej, wywrotnej równowadze.

Dlatego też i powrót „Taternika“ do życia po ówczesnym wojennym wstrząsie nie odbył się bez trudności. I trzeba było dopiero silnego nacisku „od dołu“, ze strony zwłaszcza młodych taterników, by pismo mogło zacząć ponownie regularnie się ukazywać. W społecznych warunkach Polski międzywojennej „Taternik“ rozwijał się nadal jako pismo nader wąskiego kręgu odbiorców i czytelników. Ale w tym samym czasie zyskało sobie nasze pismo walor w świecie alpinistycznym i w dwudziestoleciu burżuazyjnego, ku faszyzmowi zmierzającego państwa strzegło honoru wysokogórskiego sportu — nie umiając wyjść z kręgu zamkniętego środowiska było jednak pismem demokratycznym.

I dlatego po drugiej wojnie światowej, gdy Polska odrodziła się w nowym kształcie i nowym ustroju — stary, liczący już 40 lat życia „Taternik“ mógł wrócić do życia, do pierwotnej szaty i do nazwy, z którą tyle wspomnień się już zrosło. W tych latach powojennych popelniliśmy — my, ludzie taternictwa polskiego i pisma, które było naszym głosem — sporo błędów wynikających z zawężonych perspektyw, z niepełnego rozumienia wielkości zmian, które przeobrażały życie każdej bez wyjątku komórki społecznej w Polsce. Rezultatem było zahamowanie na kilka lat ukazywania się „Taternika“.

Ten okres mamy już za sobą. Potężny wzrost taternictwa polskiego w latach ostatnich, zwiększenie się ilości ośrodków taternickich i wzmógłony napór młodego pokolenia, które w braku pisma centralnego zaczęło tworzyć wydawnictwa lokalne — owe różne „Pokutniki“, „Oscypki“, „Góry Wysokie“, które uparcie i nieraz z powodzeniem starały się zastąpić „Taternika“, ale, oczywiście, były wyrazem sytuacji niekorzystnej i nienormalnej — te wszystkie czynniki sprawiły, że nowa centralna organizacja polskiego ruchu wysokogórskiego, Sekcja Alpinizmu PTTK i GKKF, postawiła sprawę wskrzeszenia centralnego organu alpinizmu polskiego na czołowym miejscu wśród swoich zadań. I chociaż z opóźnieniem częściowo zawinionym przez siebie, ale zada-

nie to obecnie realizuje. A że w ciągu ubiegłych lat nieobecności „Taternika“ nie zaszło w taternictwie nic takiego, czego byśmy się musieli wstydić, wraca „Taternik“ znów do głosu pod dawnym imieniem i z dawnymi tradycjami i wraca z nadzieją, że w nieodległej już przyszłości będzie mógł rejestrować trudy i sukcesy nowych polskich wypraw pozatatrzańskich.

Piszemy: „z dawnymi tradycjami“. Czy to znaczy, że pismo nasze ma być nie zmienne, ma być takie samo jak w roku 1913, 1935 i 1947? Bynajmniej. Nowy „Taternik“ chce przejąć z dawniejszych roczników wszystkie dobre tradycje pisma, ale pragnie wzbogacić je o nowe elementy wynikające z nowego życia narodu i taternickiej społeczności.

W obecnych nowych warunkach wyznaczono „Taternikowi“ do spełnienia rolę szerszą od tej, którą pełnił dawniej. Oczywiście — powtarzając redakcyjną wypowiedź sprzed lat kilkunastu — „Taternik“ ma „być z jednej strony jak najwierniejszym o d b i c i e m idei i czynów polskiego taternictwa i alpinizmu, a z drugiej stanowić dlań trybunę; być polskiego ruchu wysokogórskiego e c h e m, a l e i a w a n g a r d ą“. Nie wyczerpuje to jednak teraźniejszych zadań czasopisma. Ma on w szerszej niż dawniej mierze współdziałać w wychowaniu nowych taterników i nie tylko taterników, gdyż także i tych kadr turystów, z których mają się rekrutować przyszli taternicy.

Ponadto, podobnie jak inne dziedziny naszego życia, taternictwo musi być traktowane bardziej kompleksowo, bardziej dialektycznie, a nie w takim oderwaniu od innych zagadnień jak dotąd; trzeba je silniej powiązać z turystyką, krajoznawstwem, speleologią, badaniami naukowymi w górach i nowocześnie pojętą ochroną przyrody; wiedzę taternicką trzeba podbudować większą znajomością terenu, na jakim ten sport jest uprawiany — nie tylko pod względem topograficznym, lecz także w dziedzinie zagadnień przyrodniczych, historycznych i gospodarczych Tatr i ich przedpoła; zespolone też musi być taternictwo jak najściślej z ogólnym życiem naszego kraju: musi brać udział w budowie socjalizmu w Polsce.

Bezpośrednie cele taternictwa i wspomniane wyżej bardziej ogólne, są zbyt dobrze znane i zarazem zbyt skomplikowane, by je tu szerzej omawiać, tym bardziej, że dziś nie budzą już chyba zastrzeżeń u aktywnych taterników. Natomiast ani dla taternictwa, ani dla „Taternika“ dróg prowadzących do tych celów nikt dotąd jasno nie wytyczył, a ogólne wskazania bywają różnie interpretowane. Dlatego takiej nowej drogi, w swoim zakresie, „Taternik“ poszukuje i kroczyć będzie w kierunku, jaki wydyktuje się najwłaściwszy.

Zachowując w pełni fachowość pisma, która zapewniła „Taternikowi“ poczesne miejsce w piśmiennictwie alpinistycznym, nie zamierzamy na tym poprzestać, ale pragniemy rozszerzyć zakres tematyki pisma lub pewne zagadnienia szerzej niż dotychczas uwzględniać. Sposób traktowania tych zagadnień też będzie częściowo nowy. Przede wszystkim jednak pragniemy, aby pismo nasze związane było z życiem, aby na swoim stosunkowo wąskim lecz nie bez ogólnego znaczenia odcinku służyło wielkiej sprawie turystyki ludowej, turystyki narodu kroczącego do socjalizmu. Izolacja polskiego wysokogórstwa w czasie i przestrzeni jest etapem niepowrotnie minionym — i „Taternik“ pragnie być tego świadectwem.

Lećmy, i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!

W jedenastym roku Polski Ludowej, który jest zarazem rokiem romantyzmu, wolno, sądzimy, usłyszeć w tych słowach poety motto naszej działalności i wyraz nadziei, z jakimi po raz trzeci wskrzeszamy starego, wiernego „Taternika“. Jakim chcemy go widzieć, jakim chcemy go mieć — wiemy. Jakim będzie naprawdę — to zależy przede wszystkim od współpracy ogółu taterników, która powinna być jak najbliższa i jak najżywsza.

PREZYDIUM
SEKCJI ALPINIZMU ZG PTTK I GKKF

OBRACHUNKI DZIESIĘCIOLECIA

Rocznica dziesięciolecia Polski Ludowej była nie tylko okresem uroczystych obchodów i festiwali. Była również — i w tym leży jej doniosłe znaczenie — okresem, w którym dokonywaliśmy spokojnego i dojrzałego przeglądu naszych osiągnięć społecznych, gospodarczych i kulturalnych, dokonywaliśmy podsumowania strat i zysków we wszystkich niemal dziedzinach życia, poczynając od najbardziej kluczowych, powszechnych, a kończąc na takich, które stanowią choćby najdrobniejszy wycinek naszej rzeczywistości. W tym ogólnym bilansie nie powinno zabraknąć oceny dziesięciolecia polskiego alpinizmu, nawet gdyby wypadła ona nie we wszystkim dodatnio. Szczególną okazję do podjęcia próby takiej oceny stwarza fakt, że oto po kilku latach przerwy ukazuje się znów zeszyt „Taternika“, pisma o tak bogatych i szacownych tradycjach, pisma tak bliskiego sercu polskiego alpinisty.

Ażeby uzmysłowić sobie lepiej sytuację, w jakiej znajduje się polski ruch wysokogórski, dojrzeć jego drogi rozwojowe i przemiany, jakie w nim nastąpiły, trzeba cofnąć się do lat poprzedzających drugą wojnę światową. Były to lata silnej ekspansji polskiego alpinizmu na terenie międzynarodowym. Z roku na rok powiększała się lista sukcesów w Alpach, Andach, Kaukazie, Atlasie, Ruwenzori, gromadził się zasób doświadczeń w zdobywaniu gór wysokich, narastała mocna podbudowa pod największe polskie osiągnięcia alpinistyczne: zdobycie w lipcu 1939 roku wschodniego szczytu Nanda Devi (7430 m) w Himalajach. Wysoki poziom sportowy i dobra pozycja alpinizmu polskiego w światowej czołówce tego okresu — to są fakty, których nie można nie dostrzegać.

Z drugiej strony trzeba stwierdzić, że w ówczesnych warunkach ustrojowych alpinizm, odcięty od szerokiej bazy społecznej opierał się na działalności kilkunastu, najwyżej kilkudziesięciu jednostek zgrupowanych w Klubie Wysokogórskim PTT. Sytuacja taka uczyniła z polskiego alpinizmu sprawę małej, zamkniętej grupki borykającej się z rozlicznymi trudnościami, usiłującej daremnie wyrwać się z odosobnienia. Dziś, gdy przez najrozmaitsze obozy i kursy wysokogórskie przewijają się corocznie setki młodzieży, trudno nam wprost uwierzyć, że w owych czasach pojawienie się każdej bardziej uzdolnionej jednostki było faktem szeroko komentowanym w wysokogórskim „światku“, a wejście w taternictwo kilku, w najlepszym razie kilkunastu „młodych“ sygnalizowane było jako „wkroczenie nowej generacji“.

Wojna przerwała oficjalną działalność Klubu Wysokogórskiego, nie zdołała jednak zlikwidować całkowicie polskiego alpinizmu. Ta sama szczupła, jakże dotkliwie uszczuplona jeszcze garstka kontynuowała zdobywanie ścian tatrzańskich i życie organizacyjne Klubu Wysokogórskiego, wydawała potajemnie „Taternika“, wprowadziła w świat wysokogórski jeszcze jedną, kilkunastoosobową „młodą generację“. Rozproszeni po świecie przedstawiciele środowiska taternickiego dokonywali sporadycznych wejść w górach Afryki i Azji (Mniejszej, niektórzy zaś — internowani w Szwajcarii — prowadzili systematyczną i owocną działalność wysokogórską w Alpach. (Por. także Tat. XXIX, 1947, nr 1, str. 2—5).

Pierwsze lata powojenne nie mogły być oczywiście sprzyjające dla rozwoju polskiego alpinizmu. Młode państwo ludowe walczyło z poważnymi trudnościami, podjąwszy dzieło odbudowy kraju i stworzenia podstaw socjalistycznej gospodarki. Nic też dziwnego, że alpinizm, znajdujący się na szarym końcu w hierarchii ówczesnych zagadnień państwowych, nie mógł zrazu liczyć na pomoc i opiekę. W tych warunkach trud odnowienia polskiego ruchu wysokogórskiego od strony zarówno organizacyjnej (reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego z siedzibą w Krakowie), jak i sportowej spadł znów na barki niedobitków pokolenia przedwojennego. Nie da się zaprzeczyć, że stan taki miał pewne strony dodatnie. Przedstawiciele starszej generacji wnieśli świadomość sportowych, wyczynowych celów alpinizmu polskiego i drogi do nich pro-

wadzącej. Co najważniejsze, wnieśli także ogromny zasób doświadczenia nabytego w Tatrach, Alpach i innych górach świata. Jak dalece pozwoliło to skrócić drogę rozwoju młodszym taternikom, świadczy wyprawa alpejska z roku 1947, na której przedstawiciele pokolenia wojennego, wprowadzeni przez swych starszych kolegów w sedno zagadnień gór lodowcowych, zdołali od razu osiągnąć samodzielność i godne uwagi wyniki.

Obok dodatnich stron, wynikających z kontynuowania tradycji polskiego alpinizmu, minusem tego okresu było to, że stanowił on właśnie jedynie kontynuację przedwojennego stanu rzeczy. Starsze pokolenie nie od razu zdołało się przystosować do zmienionych warunków społeczno - politycznych i wyzbyć niektórych dawniejszych nawyków i obciążeń. Wprowadzanie nowych kadr do alpinizmu odbywało się nadal indywidualnie na zasadzie „cechowego mistrza“ i „czeladnika“, program działalności organizacyjnej i sportowej stanowił wierne przedłużenie programu przedwojennego. Mimo sporadycznych sukcesów w Tatrach i Alpach lata 1945 — 1947 można by nazwać okresem epigonizmu przedwojennego stylu alpinistycznego. Dorobkiem tego okresu jest doprowadzenie do skutku, dzięki pomocy władz państwowych, wspomnianej tu już wyprawy w Alpy (jedynej, jak dotąd, powojennej wyprawy pozatatrzańskie) i wznowienie w tymże samym 1947 roku „Taternika“, który — jakkolwiek stanowił również zbyt silną kontynuację przedwojennego — wychodził odtąd regularnie przez dwa lata z górą.

Reaktywowanie Klubu Wysokogórskiego, wznowienie „Taternika“, uwieńczona sukcesami wyprawa alpejska — stanowią jakby łabędzi śpiew dawnego stylu. Coraz silniej budzi się i narasta na przełomie lat 1947 — 1948 świadomość nowych celów i zadań, świadomość, że dotychczasowy stan izolacji sprowadza alpinizm do ciasnych ram elitaryzmu. Rok 1948 staje się punktem zwrotnym, początkiem nowego etapu. Klub Wysokogórski rzuca hasło umasowienia taternictwa. Powstaje Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT — pierwszy realny wyraz nowej świadomości, pierwsze dążenie do ujęcia we właściwe formy organizacyjne żywiołowo narastającego ruchu masowego, nie tylko taternickiego ale i turystycznego. To ostatnie trzeba mocno podkreślić. Komisja Szkolenia Górskiego KWPTT w porozumieniu z Prezydium ówczesnego PTT zajmowała się nie tylko taternictwem. Obejmowała całokształt zagadnienia, inicjując szkolenie na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach turystyki górskiej, przewodnictwa i taternictwa. Komisja rozpoczęła organizowanie licznych kursów turystycznych, instruktorskich, przewodnickich, ratowniczych oraz taternickich letnich i zimowych (por. Tat. XXX, 1948, nr 3—4, str. 103-110).

Skutki nie dały na siebie długo czekać — rozpoczyna się silny rozrost wszere. W tymże samym 1948 roku stopniowo dochodzi do głosu silna grupa młodych wspinaczy krakowskich. Zaludniają się powoli opustoszałe przez wojnę ściany tatrzańskie. Rok 1949 przynosi dalszy wzrost kadr taternickich. Organizuje się ośrodek warszawski, pojawia się i tam młode pokolenie, pierwsze wyrosłe już na kursach szkoleniowych. Budzi się także ośrodek śląski. W tym roku i w następnych rośnie zainteresowanie taternictwem zimowym, które osiąga coraz wyższy poziom. Alpinizm polski snuje znów plany wyprawowe. Góry Związku Radzieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej stają się głównym obiektem zainteresowań.

Narastający stale ruch masowej turystyki, we wszelkich jej formach (nie tylko górskiej, ale nizinnej, wodnej itd.), począł w międzyczasie przekraczać nie tylko wąskie ramy organizacyjne Klubu Wysokogórskiego i jego Komisji Szkolenia Górskiego, ale także obu dawnych towarzystw, które dotychczas kierowały turystyką: Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Turystyka masowa stała się zagadnieniem w skali państwowej i to zagadnieniem pałacym, które musiało znaleźć natychmiastowe rozwiązanie. Doszło do zasadniczej reorganizacji turystyki, do stworzenia dla niej nowych form organizacyjnych: w grudniu 1950 roku

na zjeździe połączeniowym PTT i PTK w Warszawie powstało Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.

O ile sama reforma turystyki była posunięciem bezspornie słusznym, była historyczną koniecznością, gdyż wynikała z realnie istniejącej potrzeby społecznej, o tyle okres „zabkowania“, od którego nowe towarzystwo rozpoczęło swe istnienie, zaciążył w sposób krytyczny nad losami alpinizmu polskiego. Chaos, stan permanentnej reorganizacji, przerosty biurokratyczne, tania demagogia, frazy nie mające realnego pokrycia — stan ten szybko zniechęcił wielu doświadczonych działaczy oddających bezinteresownie swój czas sprawom turystyki. Pozbawione niemal całkowicie wypróbowanej kadry aktywistów społecznych, stojące wobec zupełnie nowych i bynajmniej nie łatwych do rozwiązania zagadnień — Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze walczyło z poważnymi trudnościami. Toteż nie trzeba się nawet dziwić, że towarzystwo, mające na oku cele bliższe i w ogólnej hierarchii ważniejsze, nie mogło alpinizmowi zapewnić odpowiednich warunków rozwojowych. Sytuację tę pogłębił jeszcze brak zrozumienia we władzach PTTK dla odrębności specyfiki alpinizmu, a w rezultacie niesłuszne wtłoczenie go do wspólnego kotła masowej turystyki, w którym ze względu na swą niewielką (w stosunku do poszczególnych gałęzi turystyki popularnej) liczebność nie mógł odgrywać żadnej roli. Klub Wysokogórski, który od chwili swego powstania był samodzielnym stowarzyszeniem, posiadającym własną osobowość prawną, w chwili akcesu do PTTK na zjeździe połączeniowym zapewnił sobie wprawdzie daleko idącą odrębność organizacyjną, budżetową, etatową, lokalową itp., trzeba jednak stwierdzić, że z obietnic tych nic nie zostało zrealizowane. Dodajmy do tego stosowanie przez niektórych członków ówczesnego Prezydium PTTK kapraleskich metod komenderowania, czego wyrazem był między innymi Walny Zjazd Klubu Wysokogórskiego w maju 1951 roku w Krakowie, którego przebieg i wybory władz były narzucone przez Prezydium PTTK w sposób nie odpowiadający obyczajom demokratycznym. Metody te musiały doprowadzić do stale pogłębiających się rozdziewików pomiędzy Zarządem Klubu Wysokogórskiego a Zarządem Głównym PTTK.

Pomimo wszystko sytuacja była zapewne do uratowania, gdyby aktyw Klubu Wysokogórskiego umiał zdobyć się na cierpliwość, umiar i przede wszystkim wytrwałe kolektywne działanie. Tymczasem — rzecz prosta — środowisko taternickie nie było w tym okresie bynajmniej monolitem: rozbieżności ideologiczne, zażarte walki „młodych“ ze „starymi“, wzajemne animozje ośrodków warszawskiego i krakowskiego wytworzyły stan głębokiego skłócenia i rozbicia wewnętrznego. Niepowodzenie desperackiej niemal próby stworzenia w roku 1951 nowej, ściśle powiązanej ze sportem organizacji alpinistycznej (przy Centralnym Wojskowym Klubie Sportowym) — próby będącej wyrazem zdrowej tendencji, jakkolwiek ujętej w niewłaściwe i nie dość przemyślane formy — zniechęciła ostatecznie czołowych działaczy Klubu Wysokogórskiego. Ostatni, wybrany w 1951 roku Zarząd Klubu Wysokogórskiego, nie mogąc nadal znaleźć modus vivendi z Zarz. Głównym PTTK, po kilku miesiącach podał się do dymisji. Klub Wysokogórski faktycznie przestał istnieć i został przekształcony w Komisję Taternictwa Zarządu Głównego PTTK z siedzibą w Krakowie. Kierownictwo Komisji Taternictwa objęli ludzie nie posiadający autorytetu wysokogórskiego. Alpinizm polski wszedł w kilkuletni okres głębokiego impasu.

Okresu tego nie sposób oceniać inaczej, jak tylko ujemnie. Alpinści utracili wspólną platformę organizacyjną. Co więcej, Komisja Taternictwa i Zarząd Główny PTTK nie potrafiły obronić słusznych praw polskich taterników do uprawiania działalności wyczynowej na i tak już niewielkim terenie całych Tatr Wysokich. Taternictwo zostało zepchnięte na ciasne terytorium dwóch dolin Tatr Polskich. Doprowadziło to do obniżenia poziomu, przynajmniej w zakresie taternictwa letniego, i w rezultacie — pierwszy raz w historii — hegemonię taternicką objęli nasi czechosłowaccy sąsiedzi. W ślad za rezygnacją z wyczynowości przyszła rezygnacja z planów wyprawowych, z udziału

Polaków w walce o najwyższe szczyty kuli ziemskiej. Zniknęły nadzieje na odzyskanie światowej pozycji. Już wcześniej, w styczniu roku 1950, przestał wychodzić „Taternik“, by ukazać się znowu dopiero obecnie, po pięciu z górą latach. Nie umiano również pchnąć naprzód sprawy tak kluczowej, jak zagadnienie sprzętu wysokogórskiego, ani tak ważnej, jak wydanie podręcznika zasad taternictwa. Te ostatnie sprawy i dziś zresztą czekają na rozwiązanie.

Aby nie pominąć nielicznych niestety pozytywnych wydarzeń, które zaszły w tym okresie trzeba wspomnieć, że od roku 1951 zaczęło się ukazywać — zresztą bez zasługi PTTK — na wielką skalę zakrojone wydawnictwo szczegółowego przewodnika taternickiego „Tatry Wysokie“ W. H. Paryskiego. Coraz większe sukcesy taternictwa zimowego w latach 1951—1954 świadczą o jego prawidłowym rozwoju. Bezpośrednią zasługą Komisji Taternictwa było prowadzenie na szeroką skalę szkolenia taternickiego. I tu wszakże popełniono wiele błędów, nastawiając się zbyt jednostronnie na szkolenie początkujących, w dodatku przedwcześnie wprowadzając ich na drogi zbyt trudne. Skutkiem tego posiadamy obecnie wielką ilość ludzi niedoszkolonych, a uważających się za samodzielnych taterników i atakujących ściany bez dostatecznego przygotowania i doświadczenia. Ponadto tym niedoszkolonym zbyt szybko, w sposób wybitnie lekkomyślny powierzono opiekę nad następnymi partiami początkujących. Rezultatem takich metod były śmiertelne wypadki na ścianach tatrzańskich. Nadmienić należy na marginesie, że o ile szkolenie taternickie odbywa się nieprzerwanie od r. 1948, o tyle PTTK nie podjęło zainicjowanej przez Komisję Szkolenia Górskiego KWPTT akcji szkolenia t u r y s t y c z n e g o . Ta jak najbardziej zasadnicza i podstawowa sprawa leży więc odłogiem, stwarzając dodatkowe trudności także taternictwu, do którego szkolenie turystyczne powinno być wstępem. Jest to jedna z głównych przyczyn, skutkiem których na kursy taternictwa dostają się kandydaci dość przypadkowi, nie posiadający odpowiednich warunków i kwalifikacji.

Zdobycie w roku 1953 Czomolungmy (Everestu) i szturm na najwyższe szczyty himalajskie odbija się szerokim echem w całym świecie, a więc i u nas. Budzi się zainteresowanie dla spraw alpinizmu, poczyna dojrzewać świadomość wagi wysokogórskiego czynu. Narasta poczucie, że przeciwstawianie sukcesom na ośmiotysięcznych szczytach Himalajów choćby najbardziej udanego gwiazdźdźistego wejścia na Mięguszwiecki, czy siódmej drogi na maleńkiej pd. ścianie Zamarłej Turni nie odpowiada ani naszym ambicjom, ani realnym możliwościom. Coraz lepiej poczyna się rozumieć, że utożsamianie alpinisty-wyczyznowca z turystą górskim jest podobnym błędem, jakim byłoby utożsamianie Zatopka z turystą pieszym; i jeden i drugi porusza się wprawdzie po ziemi przy pomocy własnych nóg, ale specyfika ich celów i dróg do nich prowadzących jest całkowicie odmienna. Sytuacja dojrzewała do tego, by alpinizm wyrwać z impasu. Tak jak poprzednio turystyka, tak obecnie w pewnym zakresie alpinizm poczyna się stawać zagadnieniem interesującym czynniki państwowe.

Wiosną roku 1954 z inicjatywy Komitetu dla Spraw Turystyki i Głównego Komitetu Kultury Fizycznej rozpoczynają się rozmowy, do których zostają zaproszeni przedstawiciele ówczesnego Prezydium Zarządu Głównego PTTK oraz imiennie niektórzy działacze spośród alpinistów starszej generacji. Rozmowy te miały na celu zasadniczą reorganizację polskiego ruchu wysokogórskiego. Wkrótce GKKF powołał drogą nominacji Komitet Organizacyjny Pierwszej Ogólnopolskiej Narady Aktywu Wysokogórskiego. Komitet ten, pod przewodnictwem początkowo Stanisława Siedleckiego, później niżej podpisanego, zajął się wypracowaniem takich form organizacyjnych, aby — nie odrywając alpinizmu od jego naturalnego podłoża, jakim jest turystyka górską — powiązać go jednocześnie silnie ze sportem i znaleźć właściwe ujęcie dla tendencji wyczynowych. W ten sposób zrodziła się koncepcja organizacji, która mogłaby jednocześnie pełnić funkcję komisji turystyki kwalifikowanej PTTK i z uwagi na swą spe-

cyfikę korzystać z wydatnej opieki Komitetu dla Spraw Turystyki, a zarazem stać się jedną z sekcji GKKF na podobieństwo sekcji lekkoatletycznej, pływackiej, czy innej sekcji wyczynowej. Koncepcja taka, nie pozbawiona usterek i niedogodności, była jednakże jedynie słuszna i możliwa do przyjęcia w ówczesnych warunkach i okolicznościach.

Rozmowy przebiegały szybko i na ogół nie natrafiały na poważniejsze opory. Wszystkie zainteresowane strony dojrzały do zrozumienia swych dawniejszych błędów i ożywione były wspólną wolą ruszenia alpinizmu polskiego z martwego punktu. Rosło przeświadczenie, że na szerokiej bazie umasowionego taternictwa należy zbudować alpinizm wyczynowy, któryby — sięgając do świetnych tradycji polskich XIX i XX wieku — wywalczył znów należne sobie miejsce wśród innych narodów.

W dniach 26 i 27 czerwca 1954 roku na Polanie Chochołowskiej odbyła się Pierwsza Ogólnopolska Narada Aktywu Wysokogórskiego. Uczestnicy narady wybrali spośród siebie 47-osobowe Plenum, które z kolei wyłoniło 12-osobowe Prezydium. Jednocześnie uchwałą Zarządu Głównego PTTK została rozwiązana dotychczasowa Komisja Taternictwa. Powstanie Sekcji Alpinizmu Zarządu Głównego PTTK z uprawnieniami sekcji GKKF stało się faktem. Rozpoczął się nowy etap w dziejach polskich organizacji wysokogórskich.

Dziś, po kilkunastu zaledwie miesiącach istnienia Sekcji Alpinizmu, jest jeszcze zbyt wcześnie, by móc przeprowadzić jakąś rzeczową ocenę, jakiś szczegółowy rachunek strat i zysków. Nie ulega wątpliwości, że w swej z górą rocznej działalności Sekcja Alpinizmu popeliła nie jeden błąd i nie we wszystkim spełniła pokładane w niej nadzieje. Nie wszystkie jej komisje i podkomisje pracują należycie, reorganizacja dotarła nie do wszystkich jeszcze ogniw terenowych. Poziom zaopatrzenia w ekwipunek wysokogórski, zwłaszcza wyprawowy, jest nadal katastrofalny, a sprawa ujednoczenia systemu szkolenia taternickiego, zorganizowania i uporządkowania „remanentu“ odziedziczonego w spadku po byłej Komisji Taternictwa w postaci setek niedoszkolonych wspinaczy — sprawa ta, jakkolwiek uległa znacznej poprawie, nie została całkowicie opanowana, czego dowodzą wypadki górskie 1955 r. Z drugiej strony jednak nie ulega również wątpliwości, że Sekcja Alpinizmu przebrnęła szczęśliwie przez początkowe, często bardzo wielkie trudności organizacyjne i że ma już w swym dorobku poważne osiągnięcia. Przelamanie „zaczarowanego kregu“ Tatr Polskich stało się rzeczywistością. Trzydziestoosobowy obóz w Tatrach Słowackich latem 1954 roku, 60-osobowy w zimie i przeszło 120 osób w ciągu lata 1955 pozwala na stwierdzenie, że terenem działalności taterników polskich stały się obecnie całe Tatry, a wysiłki wspinaczy koncentrują się już nie na którejś tam z kolei drodze poprzez pd. ścianę Zamarłej Turni, lecz na wspaniałych ścianach Tatr Słowackich. Ogromna robota, jaką było stworzenie norm klasyfikacyjnych, przeprowadzenie weryfikacji niemal wszystkich zorganizowanych taterników polskich i nadanie im klas sportowych została już w zasadzie ukończona. „Taternik“, po z górą pięcioletniej przerwie, rozpoczyna właśnie na nowo swą egzystencję. Co ważniejsze jednak, w ciągu tych kilkunastu miesięcy Sekcja Alpinizmu okrępla organizacyjnie, poprzez podległe sobie sekcje terenowe skupiła w swych szeregach praktycznie wszystkich czynnych taterników polskich, stała się naczelną instancją polskiego ruchu wysokogórskiego, czynnikiem, którego autorytet na wewnątrz i na zewnątrz stale wzrasta, czynnikiem praktycznie kierującym i decydującym w sprawach alpinizmu polskiego.

Nie mam tu zamiaru ukrywać faktu, że w tym, co było najważniejszym punktem programu działania na rok 1955 Sekcja Alpinizmu poniosła porażkę: wskutek okoliczności niezależnych od Prezydium Sekcji Alpinizmu wyprawa w Kaukaz, ani też inne projekty zastępcze nie zostały zrealizowane. Brak kontaktów zagranicznych, stanowiących nieodzowny warunek postępów alpinizmu kraju posiadającego tak niewielki obszar gór, jak nasz — stanowi poważny cios dla Sekcji Alpinizmu i całego pol-

skiego ruchu wysokogórskiego. Cios ten musimy przyjąć po męsku, bez popadania w pesymizm. Jeden rok nie wystarczył, by powrócić na drogę porzuconą od tylu lat. Doceniając ogromny skok naprzód, jaki w ostatnich latach uczynił alpinizm światowy, należy stwierdzić, że celów wysokogórskich, i to celów na najwyższą miarę, jest jeszcze dostatecznie wiele, by starczyło na długie lata. Rok starań Sekcji Alpinizmu o realizację wypraw w wysokie góry pozatatrzańskie nie poszedł na marne: ugruntował on u czynników kierujących naszym państwem przekonanie o słuszności, celowości, a nawet konieczności takich wypraw. Wielkie odprężenie na całym świecie, wzrost atmosfery zbliżenia i pokojowej współpracy pomiędzy narodami, jakie nastąpiły po Konferencji Genewskiej stwarza sytuację szczególnie sprzyjającą. Dlatego powinniśmy z ufnością patrzeć w nadchodzącą przyszłość, wierząc, że rok 1956 będzie dla alpinizmu polskiego rokiem prawdziwego przełomu.

Wawrzyniec Żuławski
Przewodniczący Sekcji Alpinizmu
ZG PTTK i GKKE

NADROBIĆ OPÓŹNIENIE W ALPINIZMIE POLSKIM

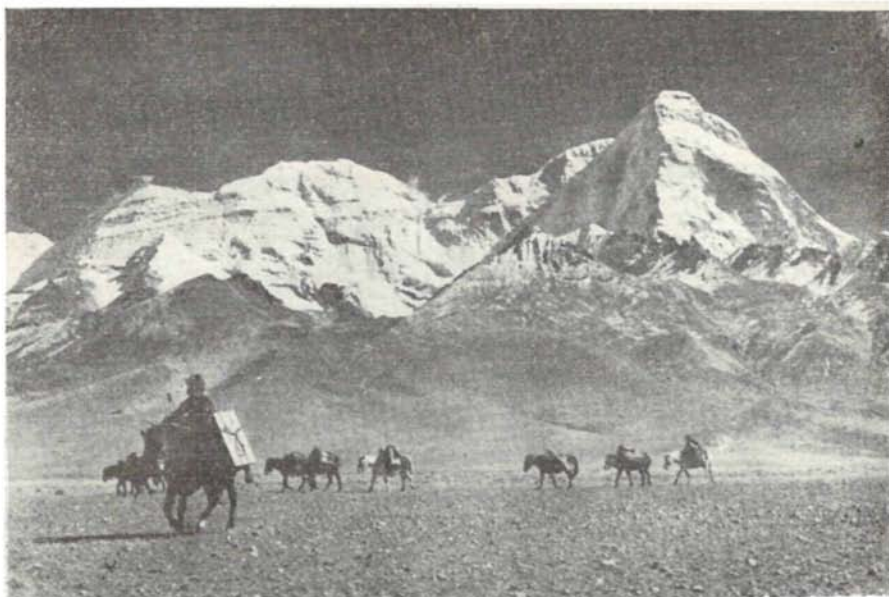
Widać już dzisiaj z całą jawnością i jasnością, że dzień zdobycia najwyższego szczytu świata nie tylko nie był sygnałem zmięczenia alpinizmu, nie tylko nie wróżył degeneracji alpinizmu — jak to usiłowali wmówić ludzie, którzy alpinizmu nie znają, alpinizmu nie rozumieją i alpinizmu nie lubią, właśnie dlatego uważając za właściwe na temat alpinizmu zabierać głos *) „autorytatywny“ — lecz, przeciwnie, że stał się on datą zwrotną, datą otwierającą nową epokę w alpinizmie, jak ongiś otwarł ją dzień zdobycia Matterhornu. Po Whymperze przyszedł długoletni szturm na Alpy, uwieńczony zdobyciem każdego urwiska tej gigantycznej, strzelistej turni, uchodzącej za symbol wysokogórskiego *excelsior*, i zdobyciem urwisk innych szczytów. Po wejściu na Czomolungmę-Everest rozpoczął się z miejsca szturm na inne ośmiotysięczne szczyty himalajskie — i oto staliśmy się żalonymi, (bo biernymi) świadkami jedyne w swoim rodzaju widowiska: zdobywania jednego po drugim szczytu himalajskiego, padania od pierwszego uderzenia olbrzymów, które bronily się lat dziesiątki, świadkami uwieńczonego powodzeniem, samotnego wypadu na szczyt, który nazwano „najtraficniejszą górą Himalajów“, itd., itd.... maluczko, a zabraknie niezdobytých szczytów ośmiotysięcznych, a i wśród siedmiotysięczników znacznie być coraz ciśnień.

Czy w tym generalnym ataku nie powinniśmy brać udziału, czy godzi się, byśmy beczynnie — lub z „wyżyn“ naszej jedenastej nowej drogi na południowej ścianie Zamarłej Turni — przyglądali się temu alpinistycznemu biegowi po laury, nie mającemu sobie równego w dziejach alpinizmu? Po stokroć, po milionkroć: nie. Wiemy, że wysokogórców polskich stać w pełni na włączenie się w charakterze partnerów równorzędnych w ów ogólnoalpinistyczny szturm na Himalaje, wiemy, pewni jesteśmy, że mielibyśmy w himalajzmie współczesnym, we współczesnym ataku na niezdobyte kolosy gór środkowo-azjatyckich wiele, bardzo wiele do powiedzenia.

W roku 1931 alpinista Jerzy Golec zapytywał z goryczą w „*Taterniku*“: „Dlaczego Liliowe zamiast Ewerestu?“ To retoryczne pytanie padło w szczęśliwej chwili, w okresie bezpośrednio poprzedzającym nagły rozrost, trafniej powiedzieć — nagły wybuch polskiego alpinizmu. Przypomnijmy daty, bo mają one swą wymowę.

W roku 1931 współczesny, sportowy alpinizm polski włączył się w szeregi alpini-

*) Uczynił tak np. popularny (choć od ścisłości daleki) informator „*Nowej Kultury*“ o życiu kulturalnym na Zachodzie, Zygmunt Kałużyński.



Czomolhari (7314 m), „Królowa Śniegów“, szczyt himalajski na granicy Tybetu i Butanu.

Fot. B. Dolan

zmu światowego; i już po paru latach miał za sobą takie sukcesy jak przejście południowej ściany Mont Blanc, północnej ściany Aiguille du Petit Dru; a także (uwaga!) wejścia na Szcharę i Dychtau w Kaukazie i zdobycie jednego z dziewięciu wierzchołków kaukaskich. W roku 1933 współczesny, odkrywczy alpinizm polski wyruszył po egzotyczne złote runo; i już po paru latach w dorobku polskiej eksploracji znalazł się potężny, siedmiotysięczny szczyt w Himalajach i cztery najwyższe szczyty w Kordylierach, nie mówiąc o odkrywczych, pionierskich, wybitnych sukcesach w górach Ruwenzori, Wysokiego Atlasu, Spitsbergenu.

Czy sukcesy te przyszły nam wówczas łatwo? Czy ówczesne PTT, czy władze burżuazyjnego państwa same ze siebie zwracały się do alpinistycznej kadry z prośbami, byśmy raczyli przyjąć subwencje i wyjechać laskawie w takie czy inne, egzotyczne góry? Wolne żarty! Wiemy, że tak nie było, wiemy, że wyprawy rodziły się w trudzie i z oporami, że fundusze mobilizowano z wysiłkiem. Opinia publiczna była zrazu obojętna, dopiero efektywne sukcesy przyniosły zmianę w jej nastawieniu. Do samego 1939 roku nie brakowało też niechętnych, którzy gdzie i jak mogli obszczekiwali wyprawy i jej uczestników, rzucali organizatorom kłody pod nogi. A więc nie obiektywnie sprzyjające warunki lecz upór, energia i wytrwałość samych alpinistów rozstrzygnęły o wzniesieniu solidnych fundamentów pod alpinistyczną ekspansję.

Ongiś byliśmy tylko Klubem Wysokogórskim i nazywaliśmy siebie przeważnie tylko taternikami, a zdobywaliśmy szczyty od bieguna do równika. A dziś? Dzisiaj nazwaliśmy się wszyscy alpinistami i Sekcją Alpinizmu, ale gdzie nasz alpinizm, gdzie nasze wspinaczki w wysokich górach lodowcowych, gdzie wyprawy pozaeuropejskie, gdzie systematycznie rozwijana działalność odkrywcza, mnożąca polski wkład w odkrywanie i zdobywanie ostatnich nieznanych zakamarków Ziemi? Darujcie mi tę ironię,

darujcie gorzki ton moich słów. Dyktują je niepokój i głęboka troska. Bo czas nagli. Bo nie ma już ani roku do stracenia.

Czy PTTK i GKKF sprzeciwiają się naszym zamysłom? czy uważają je za niesłuszne i zbędne, czy nie wierzą w nasze możliwości sportowe, nasze umiejętności alpinistyczne? czy nam nie ufają? Skądże znowu! Wiemy, że organizacje społeczne i, co najważniejsze, że czynniki władzy ludowej, że Komitet dla Spraw Turystyki są pozyskane dla naszej sprawy, są gotowe nas poprzeć, dać nowym wyprawom alpinistycznym pełną zgodę. Cóż więc stoi na przeszkodzie w realizowaniu planu wypraw? Czy aby nie biurokratyczna ospałość, leniwe wygodnictwo jednostek, uparta niewiedza niektórych innych? Musimy przezwyciężać te opory, złamać je — bo wiemy, że wyprawy alpinistyczne polskie są potrzebne, że sportowi polskiemu przyniosłyby większą chlubę niż biegi czy skoki, i że miałyby też swoje znaczenie naukowo-poznawcze. Musimy tedy wytężyć wszystkie siły, aby długofalowy plan wypraw wprowadzić w życie i stopniowo go realizować.

Ale czy plan taki istnieje? Owszem, istnieje — in crudo, w ogólnych zarysach, nie w precyzji czasowo-przestrzennej. Sądzę więc, że już pora przedyskutować go, uściślić w mnóstwie szczegółów i umocnić odpowiednią uchwałą. Nim się tych zabiegów dokona, pozwólcie, że jako stary spec od alpinistycznego planowania, rozwinę kilka osobistych myśli na temat: jak wyobrażałbym sobie najbliższe lata polskiej ekspansji pozatatrzańskiej.

A więc przede wszystkim: dwutorowość, stosownie do dwu typów, dwu rodzajów współczesnego ruchu wysokogórskiego. Obok wypraw sportowo-treningowych — wyprawy odkrywcze, obok wielkich przedsięwzięć o charakterze alpinistyczno-naukowym — mniejsze, małoosobowe wyprawy wspinaczkowo-sportowe.

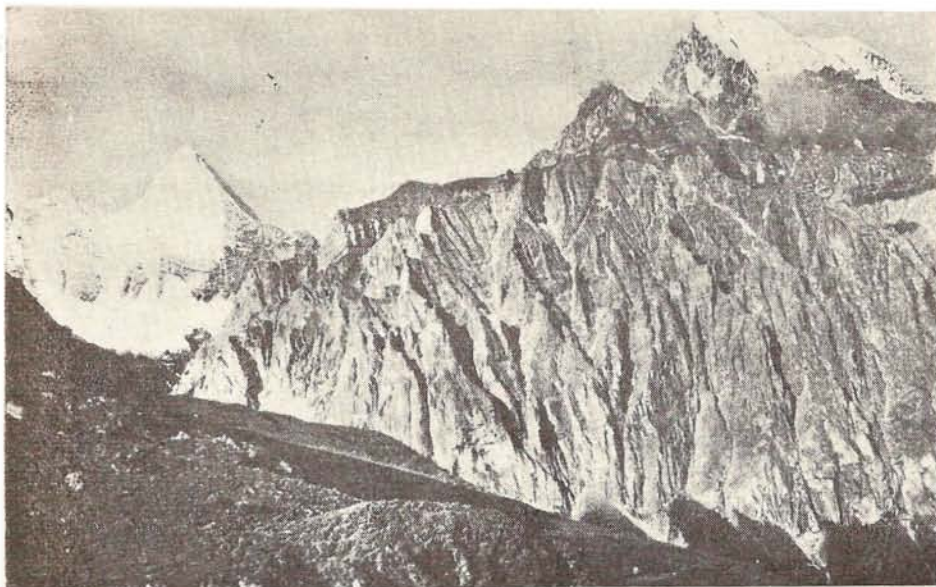
Nie wdając się w bliższe uzasadnienie takiego a nie innego planu — uzasadnienie, które musi wziąć pod uwagę okoliczności polityczne, propagandowe i wiele innych — sądzą, że powinniśmy dążyć do corocznego wysyłania dwu wypraw treningowych, przeznaczonych dla młodych (lecz już zaawansowanych) wspinaczy tatrzańskich, kierowanych przez doświadczonego taternika i alpinistę. Z wypraw takich jedna powinaby wyruszać rokrocznie w Alpy lodowcowe, przede wszystkim francuskie i włoskie, druga natomiast udawałaby się w stosunkowo wysokie a niezbyt od Polski odległe góry południowo-wschodniej Europy, mogące nauczyć orientacji w terenie i inicjatywy wysokogórskiej: byłyby to na zmianę góry Rila i Pirin w Bułgarii, Alpy Albańskie i wreszcie tak piękny cel stanowiące Alpy Jugosłowiańskie. Koroną tego typu działalności byłaby możliwość organizowania regularnych obozów alpinistyczno-treningowych w Kaukazie.

Drugie, większe zadanie to wielkie wyprawy odkrywcze, domena alpinistów. Nie sądzą, byśmy powinni ograniczać się w układaniu naszych planów tylko do gór Azji; przeciwnie, sądzą, że powstały warunki sprzyjające po temu, by nawiązać do przedwojennych sukcesów andynizmu polskiego i wyznaczyć sobie w Kordylierach tropikalnych czy subpolarnych cele alpinistyczne godnie mogące stanąć obok sukcesów światowego andynizmu lat ostatnich. Oczywiście jednak, główny i zasadniczy cel najbliższy alpinizmu polskiego widzę w niezmiernym świecie gór Azji Środkowej.

Jaki cel?

Trzeba być realistą i nie uganiać się za chimera. Na polską wyprawę na Czomolungmę-Everest od północy na razie nie czas. Ale są dwa cele, których realizację widzę najzupełniej w granicach możliwości lat najbliższych. Są to:

1) Wyprawa w góry radzieckiego Pamiru — z głównym celem wejścia na Pik Dzierżyńskiego, dla uczczenia największego rewolucjonisty polskiego, którego imię ów



Góry chińskie Konka Risumgongba i ich dwa najwyższe szczyty: Jambeyang (na lewo, najwyższy) i Shenrezig, o wysokości ponad 6 000 m.

Fot. J. F. Rock

potężny szczyt nosi. Pik Dzierżyńskiego został już wprawdzie zdobyty przez alpinistów radzieckich — ale Aconcagua też już była zdobyta, gdy alpinści polscy szli na nią nową drogą. Sądzę zresztą, że na atakowaniu Piku Dzierżyńskiego nie powinna się ograniczyć alpinistyczna działalność projektowanej wyprawy;

2) Wyprawa w góry chińskie. Tu chodziłoby przede wszystkim o legendarny szczyt Amne Machin, o którym tak długo utrzymywała się na zachodzie gadka, że jest „wyższy od Everestu”. Wyższy od Czomolungmy to on nie jest — wiemy już na pewno — i nie ma nawet ośmiu tysięcy metrów wysokości. Ale to jednak piękny, niezdobyty szczyt siedmiotysięczny, i w okolicy alpinistycznie niewyeksplloatowanej a więc cel alpinistyczny najpierwszego rzędu. A Amne Machin nie jedna w Chinach — przypominam o górach chińskich w Seczuanie, o niema! zupełnie nieznanach górach Kung-ka. W tak nam przyjaznych, wielkich Chinach Ludowych powinien alpinizm polski znaleźć sobie drugie Kordyliery — cel ekspansji systematycznej, nie ograniczonej do jednego zrywu.

!Nie chcę wypisywać wielu słów. Nie chcę się wdawać w szczegóły. Nie chcę rozwijać planów zbyt szumnych, tym się charakteryzujących, że są nierealne. Ale powtarzam: czas nie zostawia już dla nas luzu, czas nagli! Trzeba zakasać rękawy i ruszać głową; przekonać kogo należy, a gruntowne plany mieć w pogotowiu.

Towarzysze, koledzy, góry Wielkiej Przygody, góry Przyjaciół, którzy nas przyjmą serdecznie, czekają na nas! Wbrew utyskiwaniom wielu, od nas samych przede wszystkim zależy, by marzenie stało się rzeczywistością, by alpinizm polski z zaulką, w którym się znalazł (ze swojej i nie tylko swojej winy) wszedł na najświetniejszy podniebny szlak odkryć.

Jan Alfred Szczepański

KLASYFIKACJA SPORTOWA W TATERNICTWIE

Zjazd aktywu taternickiego na Polanie Chochołowskiej, który się odbył w dniach 26 i 27 czerwca 1954 roku, powołując do życia na miejsce dawnego Klubu Wysokogórskiego Sekcję Alpinizmu Polskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego, będącą jednocześnie jedną z sekcji sportowych Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, uchwalili wprowadzenie w taternictwie klasyfikacji sportowej. Klasyfikacja ta, zgodnie z przepisami GKKF będzie składową częścią Jednolitej Klasyfikacji Sportowej obowiązującej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i obejmującej wszystkie dyscypliny sportu.

Uchwała zjazdu na Polanie Chochołowskiej stała się zrozumiała, gdy porównamy taternictwo w Polsce kapitalistycznej z obecnym. Zasadnicze różnice uwidaczniają się tu w stosunku Państwa do sportu taternickiego (czy też po prostu mówiąc do taternictwa) oraz w stosunkach ilościowych.

Taternictwo jest jednym z przejawów życia współczesnego. Jedną z właściwości ustroju socjalistycznego jest to, że liczba ludzi korzystających ze wszystkich zdobyczy życia, biorących udział we wszystkich przejawach życia, gwałtownie wzrasta i stale rośnie w stosunku do ustroju kapitalistycznego.

Przed wojną taterników zrzeszonych w Klubie Wysokogórskim było stu kilkudziesięciu. Niewątpliwie istnieli taternicy niezrzeszeni, ale była ich bardzo nieznaczna ilość. Z drugiej strony część członków Klubu Wysokogórskiego, przeważnie starszej generacji, czynnie już taternictwa nie uprawiała. W rzeczywistości taterników czynnych przed wojną, uprawiających taternictwo na poziomie sportowym, było 30—40.

Dziś taterników zrzeszonych jest około tysiąca (łącznie z sekcjami taternictwa jaskiniowego). Również i teraz na pewno istnieje pewna liczba taterników niezrzeszonych, lecz i w tym wypadku musi to być bardzo niewielka ilość i są to ludzie uprawiający taternictwo niesystematycznie. Oczywiście i teraz nie wszyscy zrzeszeni taternicy uprawiają taternictwo systematycznie. Wielu jest członków Sekcji Alpinizmu nieaktywnych, wielu którzy po przejściu kursu dla początkujących pozostali na listach członkowskich, ale nie pozostali w taternictwie. Jednakże przedwojennej liczbie 30—40 czynnych taterników odpowiada dziś cyfra około 200 osób. Z za nimi stoi przeszło drugie tyle taterników średnio zaawansowanych lub początkujących, którzy za rok lub dwa staną również na poziomie tych 30—40 przedwojennych.

W okresie międzywojennym mieliśmy następujące ośrodki taternicze: Kraków, Warszawa, Zakopane, a pod koniec i Łódź. Dziś istnieją większe i mniejsze środowiska taternicze w Bielsku Białej, Gdańsku, Gliwicach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Poznaniu, Stalinogrodzie, Szczecinie, Toruniu, Warszawie, Wrocławiu i Zakopanem.

Przed wojną państwo kapitalistyczne nie interesowało się taternictwem. Uprawianie taternictwa było prywatną sprawą każdego taternika. Dziś Państwo Ludowe docenia w pełni wpływ, jaki wywiera sport taternicki na charakter człowieka. Jest to wyrabianie siły woli i wytrwałości w dążeniu do celu, odwagi decyzji, poczucia odpowiedzialności, wytrzymałości psychicznej i fizycznej oraz zrozumienia wartości działania zespołowego. Pomoc i opieka Państwa wyraża się w subsydiach finansowych i urlopach społecznych, w czasie których taternicy, niezależnie od swych urlopów wypoczynkowych (lub — w wypadku młodzieży akademickiej — niezależnie od wakacji), mogą uprawiać swój sport.

Żywiłowy jednak wzrost ilościowy taternictwa może być szkodliwy. Taternictwo, zwłaszcza jeśli się nie ma właściwego przygotowania i odpowiedniej znajomości jego zasad, jest sportem niebezpiecznym. Toteż nakłada to na czynniki kierujące tym sportem obowiązek niedopuszczenia do żywiołowości, obowiązek czuwania nad regularnym i prawidłowym rozwojem tej dyscypliny.

Jest rzeczą zrozumiałą, że instruktor prowadzący kurs, czy to dla początkujących, czy to dla zaawansowanych, musi mieć odpowiednie kwalifikacje sportowe. Jest rzeczą absolutnie niewłaściwą, gdy taternik po przejściu kursu dla początkujących, czy też po przejściu indywidualnie kilku łatwiejszych wspinaczek wyrusza na drogi będące o kilka stopni trudniejsze od dotychczas przez niego przebywanych.

Właściwym będzie rozwój każdego taternika, gdy po uzyskaniu przede wszystkim doświadczenia górskiego w różnych warunkach atmosferycznych na ścieżkach i drogach łatwiejszych, rozpocznie stopniowo opanowywanie po kolei każdego stopnia skali trudności, aż do najwyższego włącznie. Klasyfikacja sportowa w taternictwie ma przede wszystkim zapewnić łącznie z programem szkoleniowym właśnie taki rozwój każdego uprawiającego ten sport.

Dochodzą i inne czynniki powodujące konieczność wprowadzenia klasyfikacji. A więc instruktorem czy kierownikiem obozu powinien być taternik o odpowiednich kwalifikacjach. Samodzielne grupy taternicze, działające poza ramami obozów, muszą mieć kierowników również o dużych i znanych kwalifikacjach. Przy organizowaniu wypraw w góry innych krajów, nawet przy organizowaniu obozów w Tatrach Słowackich, na listach uczestników winni się znaleźć taternicy o odpowiednich kwalifikacjach sportowych.

Przy tak znacznej dziś ilości taterników znajomość indywidualna każdego taternika może często być zawodna i również często może prowadzić do typowania nie według kryteriów sportowych. Oczywiście w tym ostatnim wypadku nie tylko kwalifikacje sportowe winny być brane pod uwagę, lecz również praca społeczna. W każdym razie z punktu widzenia sportowego występuje tu zawsze konieczność segregacji i wyboru.

Kto jest taternikiem o wysokich kwalifikacjach? Jest to taternik, który uprawia ten sport dostatecznie długo i wskutek tego ma doświadczenie górskie zdobyte w najróżniejszych warunkach, posiada dobrą znajomość techniki skalnej, śnieżnej i lodowej oraz posiada odpowiednie umiejętności wspinacze pozwalające mu poruszać się swobodnie na każdej drodze; posiada wytrzymałość potrzebną do przeprowadzania długich wypraw połączonych z biwakami, tak w lecie jak i w zimie.

Taternictwo nie jest sportem ściśle wymiernym, jak ogromna większość innych dyscyplin. Zwłaszcza trudno jest zmierzyć doświadczenie. Przejście tej samej ściany, przeprowadzone w różnych warunkach atmosferycznych, daje zupełnie inne doświadczenie. Odnosi się to przede wszystkim do przejść zimowych, gdzie każde przejście zależy od tak zmiennych warunków śnieżno-lodowych. Ale odpowiednia ilość godzin przebytych w skale, śniegu i lodzie daje wystarczająco duże prawdopodobieństwo przy zmiennej pogodzie tatrzańskiej, że dany taternik miał do czynienia nie tylko z dobrymi warunkami pogodowymi, ale i ze złymi, że miał do czynienia z najrozmaitszymi typami i układami rzeźby skalnej, a więc ma odpowiednie doświadczenie górskie. Dlatego klasyfikacja nasza opiera się przede wszystkim na ilości godzin spędzonych w ścianach czy też na graniach, licząc czasy dróg według przewodników, a dodatkowo tylko żądając dwóch lub trzech przejść uznanych jako typowe. Łączna ilość godzin, które taternik winien przejść w każdym stopniu trudności jest mniejsza od ogólnej ilości wymaganej dla każdej klasy. Ma to na celu pozostawienie mu pewnej swobody w wyborze dróg według upodobania.

W Związku Radzieckim klasyfikacja alpinistyczna opiera się wyłącznie na ilości wejść szczytowych czy też na przełęczach różnych trudności. Jest ona przez to niewątpliwie znacznie prostsza, ale tak różny charakter naszych Tatr od wielkich masywów górskich Związku Radzieckiego nie pozwala u nas na takie uproszczenie. W górach radzieckich wyprawa na każdy szczyt, nawet w Kaukazie, jest wyprawą długą, zawierającą szereg elementów alpinistycznych. W Tatrach, w lecie występuje przeważnie tylko czysto skalna wspinaczka, a na każdy szczyt prowadzi już wiele dróg i na prawie wszystkie z nich można wejść drogami łatwymi.

W Czechosłowacji sportowa klasyfikacja taternicka jest oparta na nieco innych zasadach, przyjmując za podstawę ilość wspinaczek.

Czasy przejść zimowych w klasyfikacji polskiej liczy się również według przewodnika. Pozornie jest to niesłuszne, gdyż w zimie czas przejścia danej drogi jest z reguły znacznie dłuższy niż w lecie. Jednakże ilości godzin zimowych wymaganych dla każdej klasy są wyodrębnione z ogólnej liczby godzin, stanowiąc całość samą dla siebie. W ten sposób, stosując tę zasadę dla wszystkich, uzyskuje się jednakową skalę porównawczą.

Każda klasyfikacja winna być jak najbardziej obiektywna i prosta, tak aby każdy mógł samemu porównać swe kwalifikacje w stosunku do klasyfikacji. Niewątpliwie przejście tej samej drogi w zimie w różnych warunkach śnieżnych i pogodowych może mieć różną wartość taternicką. Stwierdzanie jednak przy każdym przejściu rzeczywistych warunków i odpowiednie jego klasyfikowanie co do trudności i czasu, przy dzisiejszym dużym nasileniu taternictwa zimowego sprowadzałoby się w praktyce do subiektywnej oceny Komisji Klasyfikacyjnej i to mogłoby prowadzić do pewnych dowolności. Również byłoby to sprzeczne z jedną z pożądanych cech klasyfikacji — prostotą. I znów można zauważyć, że przy większej ilości przejść taternik będzie napotykał warunki raz korzystniejsze od przeciętnych, drugi raz mniej korzystne, tak że ogólnie plusy i minusy się zrównoważą.

Również pewnym problemem nastęrczającym wątpliwości jest ocenianie dróg zaliczonych w przewodniku do pewnego stopnia trudności z jednym lub z więcej miejscami o wyższej trudności (np. droga trudna z jednym miejscem nadzwyczaj trudnym). Przyjęta została zasada, że drogi liczy się według najtrudniejszego miejsca. Upraszcza to znacznie zaliczanie tych dróg. Jednocześnie rozwiązuje od razu podobne zagadnienie, jak przejście drogi wariantem czy wariantami trudniejszymi od stopnia trudności całości drogi podanej w przewodniku. Poza tym należy tu dodać, że każda droga składa się z odcinków łatwiejszych i trudniejszych, i nieraz droga zaliczona w przewodniku do nadzwyczaj trudnych ma tylko jedno miejsce nadzwyczaj trudne. Zresztą większość dróg ma w przewodnikach jednolity stopień trudności, tak że drogi, o których była wyżej mowa nie mają decydującego znaczenia przy klasyfikowaniu.

Długie ciągle graniówki, wymagają oczywiście więcej wysiłku, niż ich fragmenty, robione oddzielnie. Toteż, choć liczone w tym wypadku każdą drogę przewodnikową oddzielnie, jeśli graniówka wynosiła przynajmniej 6 godzin i znaczna jej większość miała charakter taternicki, odcinki łatwiejsze zaliczano przynajmniej do skali nieco trudnej w lecie, a łatwej w zimie.

Czasy pierwszych przejść, tak letnich jak i zimowych, liczą się podwójnie, drugich przejść — półtorakrotnie. Decyzja ta odnośnie pierwszych przejść letnich zależy jednak w każdym wypadku od Głównej Komisji Klasyfikacyjnej. Trzeba tu przyznać, że jest to problem dość trudny do rozwiązania obiektywnego. Sprawa ta jest prosta w stosunku do przejść dawnych, powtarzanych wielokrotnie i o ustalonym już stopniu trudności i czasie przejścia. Jest prawie regułą, że pierwsi zdobywcy podają dłuższy czas przejścia niż ich następcy, a często i stopień trudności ulega niższemu ocenieniu przy dalszych przejściach, choć były i wypadki, co prawda rzadsze, że stopień trudności ulegał podwyższeniu. Są poza tym pierwsze przejścia, które nie wnoszą nic do taternictwa, są mniej wartościowe od powtórzeń innych dróg. A z drugiej strony rozwiązanie problemu dziewiczej ściany, wielokrotnie atakowanej przez najsprawniejszych, czy nie jest warte dwa razy więcej od powtórzenia jakiejś drogi, często już robionej, o tym samym czasie trwania i tym samym stopniu trudności? Niewątpliwie tak, ale jaki tu znaleźć miernik?

Taternictwo nie jest sportem wymiernym i każda klasyfikacja w tym sporcie będzie się starać jak najbardziej zbliżyć do obiektywnej, ale nigdy prawdopodobnie taką nie będzie w ścisłym tego słowa znaczeniu. A zresztą, czy takie mierzenie na milime-

try kwalifikacji poszczególnych taterników ma jakikolwiek cel i sens? Klasyfikacja taternicka nie ma na celu uszeregowania w stosunku do siebie kilkuset taterników, ale określenie pewnych poziomów taternickich, pewnych dość szerokich grup, o zbliżonych kwalifikacjach. Jednocześnie klasyfikacja ma wyznaczać pewien kierunek rozwojowy taternika. Dlatego automatyczne przywilejowanie każdego pierwszego przejścia przez podwajanie zaliczanych godzin nie byłoby właściwe. Mogłoby to prowadzić do dzieciecego nowych dróg na Mylną Przełęcz, lub kilku rozwiązań na każdej ścianie Małej Kieczonkowej Turni. Mimo słuszności jednak tych założeń, kwalifikowanie pierwszych przejść w klasyfikacji ma charakter subiektywny.

Pierwsze czy drugie przejście wariantu na drodze już odkrytej nie jest premiowane. Zbyt dużo wariantów powstaje, nazwijmy to, niechcący. Nie jest to powód do premiowania. Są warianty długie, są i warianty krótkie, a nawet bardzo krótkie. Wiele wariantów nie ma w przewodnikach podanych czasów. Dzielenie drogi, inaczej licząc wariant, a inaczej pozostałą część drogi, komplikowałoby klasyfikację, która — jak powiedziano wyżej — winna być przede wszystkim prosta.

Drugie przejścia dróg liczone są półtorakrotnie. Nimb niedostępności ściany nie upada całkowicie po pierwszym przejściu, aczkolwiek otrzymuje wówczas największy cios, lecz stopniowo ginie w miarę dalszych przejść.

Nie jest taternikiem ten, co chodzi wyłącznie na pn. ścianę Mnicha, czy pd. ścianę Zamarłej. Powtarzanie tych samych krótkich dróg niewątpliwie utrzymuje wspinacza w jego kondycji, ale nie zwiększa jego doświadczenia górskiego. Dlatego przejścia liczy się tylko do trzech razy i to pod warunkiem, że były wykonane w różnych sezonach taternickich.

Klasyfikacja nie wprowadza oddzielnej skali trudności dla dróg, gdzie ma zastosowanie technika podciągowa. Niewątpliwie technika podciągowa umożliwia zdobycie ścian całkowicie niedostępnych techniką klasyczną, ale czy stosowanie techniki podciągowej jest trudniejsze od techniki klasycznej? Wszak każde pokolenie twierdziło, że doszło do kresu możliwości ludzkich. Znajomość techniki podciągowej — jako jednego z elementów współczesnej techniki taternickiej — jest konieczna dla taternika najwyższych klas, któremu nic nie może być obce, co ma związek ze współczesną techniką alpinistyczną, w granicach, jakie mogą mu dać Tatry.

Czasy przejść instruktorów w ramach kursów liczą się każdorazowo w pełnym wymiarze. Jest to zaakcentowanie wartości społecznej tej funkcji, zachęcenie do pracy instruktorskiej. Również podobny charakter ma warunek przejścia 20% godzin wspinaczkowych z taternikiem niższej klasy lub niesklasyfikowanym dla otrzymania I lub II klasy sportowej. Jest to spleta długu wobec społeczności taternickiej. Zostałeś wyszkolony, pomóż teraz innym w wyszkoleniu.

Jednakże pierwszym moralnym i społecznym obowiązkiem każdego taternika jest niesienie pomocy w razie nieszczęśliwego wypadku w górach. Biorąc pod uwagę, że w większości wypadków ma to miejsce w czasie złych warunków atmosferycznych, że przeważnie taternik wyrusza na wyprawę ratunkową po powrocie z własnej wspinaczki, więc już zmęczony, a akcja toczy się nieraz w nocy — wyprawy te są specjalnie premiowane przez liczenie czasu trwania akcji od wyjścia ze schroniska do chwili powrotu do schroniska, nie bacząc na to, że podejście pod ścianę może odbyć się nawet po ścieżce. W wypadku wyjścia z bazy położonej w kolebie lub składającej się z namiotów, wyprawę taką należy liczyć od wyjścia z bazy do powrotu.

Klasyfikacja taternicka będzie składową częścią Jednolitej Klasyfikacji Sportowej, obowiązującej wszystkich sportowców Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nakłada to na wszystkich sklasyfikowanych taterników obowiązek utrzymywania swej kondycji nie tylko taternickiej, ale i ogólnosportowej, czego wyrazem jest między innymi konieczność zdobywania i odnawiania co dwa lata odznaki SPO (Sprawny do Pracy

i Obrony). Uprawianie taternictwa na wysokim poziomie jest nie do pomyślenia bez wysokiej i wszechstronnej sprawności fizycznej.

Celem klasyfikacji taterniczej jest też przedstawienie aktualnego poziomu naszego taternictwa. Nie klasyfikuje ona taterników na podstawie ich działalności dawnej, choćby najchlubniejszej, lecz bierze ona pod uwagę jedynie taterników, obecnie czynnych na poziomie, wyznaczonym przez poszczególne klasy. Pociąga to za sobą pewne konsekwencje. Aby utrzymać się w swojej klasie, taternik musi spełniać określone warunki. Musi uprawiać taternictwo na odpowiednim poziomie, tj. dokonywać stale pewnej ilości wspinaczek o określonych stopniach trudności. W przeciwnym wypadku traci klasę.

Normy ilościowe i jakościowe, wyznaczone przez klasyfikację, będą podnoszone w miarę podnoszenia się poziomu polskiego taternictwa. Obecna klasyfikacja przedstawia współczesny poziom naszego taternictwa i została opracowana na podstawie nadesłanych przez czynnych taterników wykazów swych przejść. Nadeszło wykazy 368 taterników, zgrupowanych w 13 ośrodkach wymiennych na wstępie. Należy stwierdzić, że tylko kilku taterników, mających kwalifikację na klasę sportową, nie nadeszło wykazów. Pierwsza klasyfikacja sportowa w taternictwie polskim stała się jakby wielkim przeglądem jego sił w Polsce Ludowej. Wspomniane wykazy pozwoliły nie tylko na opracowanie norm klasyfikacji, lecz po raz pierwszy dają możliwość zorientowania się w nasileniu ruchu taternickiego, czego nie dawały ogłaszane w przedwojennym „Taterniku“ spisy nowych dróg oraz najwybitniejszych powtórzeń (i to nie raz tylko taterników zrzeszonych). Wykazy obecne nie tylko posłużyły do sklasyfikowania taterników, ale przedstawiają bogaty materiał dla przyszłych historyków taternictwa. Z uznaniem należy podkreślić nadesłanie wykazu przez wybitnego taternika, przedstawiciela najstarszego pokolenia taternickiego, Aleksandra Schielego, który do dzisiejszego dnia rokrocznie odbywa szereg wspinaczek.

Wykazy nadchodziły różne. Mimo że dla wielu taterników o dłuższym stażu taternickim była to praca niemała, wykazy były na ogół opracowane starannie. Na pierwsze miejsce wysuwają się tu wykazy sporządzone przez Sekcję Bielsko-Biała. Jednakże kilka wykazów Główna Komisja Klasyfikacyjna była zmuszona odesłać, gdyż opracowane były tak niedbale, że nie przedstawiały żadnej wartości.

Zaliczonych do klas sportowych zostało prawie około 80 taterniczek i taterników. Nie jest to cyfra właściwie wysoka, biorąc pod uwagę ogólną liczbę taterników, ale zdecydowała zima. Zjazd aktywu na Polanie Chocholowskiej ogromną większością głosów uchwalił zmianę projektowanej nazwy Sekcji Taternickiej na Sekcję Alpinizmu, podkreślając przez to ściślejsze przedstawienie się w sporcie taternickim na działalność zimową. Ustalona ostatecznie ilość godzin zimowych dla III klasy sportowej (20 dla mężczyzn, 15 dla kobiet) — i to na drogach nawet łatwych, a więc często prawie całkowicie narciarskich — było tym minimum, poniżej którego nie można było zejść dla ludzi, chcących się nazywać alpinistami. Przeliczone jednak wykazy ujawniły, że liczba taterników, spełniających warunki na klasy sportowe z wyjątkiem godzin zimowych (których nie posiadają wcale lub za mało), wynosi przeszło 80, a zatem więcej niż sklasyfikowanych. Niewątpliwie uzupełnienie tych wymagań zimowych będzie kwestią jednego sezonu.

Dwóch kandydatów, spełniających wszystkie warunki godzinowe letnie i zimowe na klasę III, nie zostało sklasyfikowanych wskutek braku dróg typowych letnich. Mimo że są to zaledwie trzy drogi trzygodzinne dość trudne i trudne, mimo posiadania dróg bardzo i nadzwyczaj trudnych, nie mogli oni otrzymać klasy sportowej, gdyż taternictwo to nie tylko wspinaczka na krótkiej ścianie.

Ustalone normy klasyfikacyjne są pierwszą u nas próbą tego rodzaju. Życie będzie je korygować, tak jak w trakcie swej pracy Główna Komisja Klasyfikacyjna obniżyła projektowaną pierwotnie ilość godzin zimowych wymaganych dla III klasy, tak jak

już po sklasyfikowaniu postanowiono nie premiować automatycznie wszystkich nowych przejść. Pierwotnie normy przewidywały liczenie czasu każdego pierwszego przejścia podwójnie. Przeprowadzając klasyfikację, uwzględniano tę zasadę, która jednak — wskutek nieznaczącej ilości pierwszych przejść w ostatnich latach — nie wpłynęła na wyniki klasyfikacji.

Powstaje jednak zagadnienie: czy przez wprowadzenie klasyfikacji nie zatraci się istotnej wartości taternictwa, czy zamiast mierzenia swych sił z siłami przyrody, zamiast zmagania się z gładziznami skalnymi nie zacznie się pogoń za godzinami wspinaczkowymi?

Postawmy sprawę jasno. Prawdopodobnie pewna nieznacząca ilość wspinaczy ulegnie tej pokusie. Ale zawsze przez taternictwo i literaturę taternicką przewijali się ludzie, których podejście do tych spraw nie było sportowe. Czy nie mieliśmy przed wojną — choć nie było wówczas klasyfikacji — taterników, goniących za problemami nieco i dość trudnymi i używających do poważnych przejść tzw. lokomotyw? A ich przepełnione egotyzmem opisy i rozprawy nie roły się (i nie roją się do dnia dzisiejszego) od „sukcesów“ i „elit“? Czy nie trafiali się ludzie, chodzący nawet na poważne problemy, którzy oplacali prowadzących taterników? Była to jednak tak mała liczba, że nie wpływała na całość taternictwa. A jeśli nawet przed wojną była to liczba nieznacząca, jednostki właściwie, to tym bardziej dziś — w zmienionych warunkach ustrojowych — procent ten będzie niepomiaralnie mniejszy i niewątpliwie ludzie ci w taternictwie na trwałe nie pozostaną.

Nie ukrywajmy również wstydliwie, że klasyfikacja zaspokoi na pewno miłość własną i ambicje wielu osób. Ale skieruje ich i wielu innych na właściwe tory i pozwoli zażywać jak najwięcej tej radości, jaką może dać walka toczona wśród pierwotnej przyrody z trudnościami i niebezpieczeństwami niebotycznych olbrzymów górskich.

Bolesław Chwaściński

WSPÓLPRACA TATERNIKÓW Z NAUKOWCAMI

Współpraca taternictwa i alpinizmu z nauką posiada długą i bogatą historię. Nie chcę tu jednak mówić ani o udziale alpinistów w poznaniu obszarów górskich naszego globu, ani o roli, jaką odegrali naukowcy w zdobywaniu gór, a więc i w tworzeniu alpinizmu. Chodzi mi jedynie o to, aby rozważyć czy dziś, w naszych warunkach, taka współpraca jest jeszcze aktualna i celowa.

Wiemy wszyscy, że taternictwo straciło już swój charakter odkrywczy. Badacz, pracujący w Tatrach, da sobie na ogół radę bez pomocy taternika. Niekiedy znajomość zasad taternictwa będzie dla niego dużą pomocą, szczególnie przydać się ona może geologom. Niekiedy zaś taternik zainteresowany przyrodą gór lub życiem ludzi w górach, staje się naukowcem - amatorem. Nie o to tu jednak chodzi. Idzie nam o to czy taternik - sportowiec, nie mający żadnego przygotowania naukowego, może i powinien czynić spostrzeżenia posiadające wartość dla nauki.

Sądzę, że najlepiej będzie podać kilka przykładów. Od czasu do czasu spotyka się w Tatrach zjawisko tak zwanych kolorowych śniegów. Masowe rozmnożenie się glonów, a czasem też i drobnych form zwierzęcych na powierzchni płatów śnieżnych w lecie powoduje ich zabarwienie na kolor zielony, czerwony lub czarny. Zjawisko to jest interesujące i warte dalszych badań. Oczywiście stała kontrola przez naukowców płatów śnieżnych rozsianych w wyłokach, trudno dostępnych częściach Tatr jest niemożliwa. Taternicy, docierający do najwyższych i najbardziej odludnych zakątków Tatr, mogą zwrócić uwagę na kolorowe śniegi i zawiadomić o ich wystąpieniu bota-

nika, lub nawet zebrać nieco barwnego nalotu z powierzchni i dostarczyć do pracowni.

A oto inny przykład. Wydawałoby się, że tak powszechnie znane zwierzę jak świstak jest już doskonale poznane. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Jedyna obszerniejsza rozprawa o świstaku tatrzańskim, napisana przez Maksymiliana Nowickiego, ma już prawie 100 lat, a autor, pisząc ją, nie widział nigdy żywego świstaka (który zresztą wówczas był o wiele rzadszy niż dziś). Oparł się on jedynie na danych z literatury szwajcarskiej i opowiadaniach przewodnika Jędrzeja Wali starszego, znanego „raub-sica“ i przewodnika. O świstaku tatrzańskim wiemy bardzo mało — spostrzeżenia wszystkich taterników, dotyczące rozmieszczenia, liczebności i obyczajów świstaka, zebrane razem i krytycznie opracowane byłyby bardzo poważnym materiałem naukowym do poznania fauny Tatr. To samo odnosi się zresztą także do innych zwierząt tatrzańskich: kozicy, niedźwiedzia, orla.

W górach znajdziemy ciekawe materiały nie tylko do studiów przyrodniczych. Obecna nasza nauka historii coraz bardziej interesuje się procesami gospodarczymi dawnych wieków. Nie ulega wątpliwości, że przyszedł czas na dokładne zbadanie tak ciekawego zjawiska, jakim było górnictwo tatrzańskie. Obok studiów archiwalnych konieczna jest dokładna rejestracja i opisanie licznych zabytków terenowych: starych sztolni, hałd, dróg hawiańskich, resztek budynków, miejsc wypalania węgla drzewnego, rozsianych po całych Tatrach. Nie zrobi tego jeden człowiek, ani nawet kolektyw. Zabytki te rozrzucone są po najbardziej odludnych, z dala od szlaków położonych częściach Tatr. Nieraz napotyka na nie taternik, ale zwykle nie zwraca na nie uwagi, a jeśli nawet go interesują, nie wie co robić ze swymi spostrzeżeniami.

Podane wyżej przykłady to tylko próbka zagadnień ważnych dla różnych działów nauki, a dalekich od ostatecznego zbadania, do których taternicy mogliby dostarczyć wartościowych materiałów. Czy jednak należy sportowców, jakimi przecież są taternicy, obciążać zbieraniem materiałów naukowych? Myślę, że tak. Taternictwo jest przecież także działem turystyki i powinno mieć swą treść krajoznawczą. Obserwowanie otaczającego terenu, obserwowanie otaczającego życia jest istotą krajoznawstwa i niezbędnym składnikiem każdej wycieczki, nawet mającej za cel wyczyn sportowy. Z drugiej strony zebranie materiału naukowego będzie pewną formą pracy społecznej taternika, pracy istotnie wartościowej, nie naciąganego „czynu społecznego“, z jakim niekiedy jeszcze możemy się spotkać.

Jak wyobrazić sobie w praktyce współpracę taternika z nauką? Sądzę, że należałoby zacząć od tego, aby w ramach Podkomisji Współpracy z Nauką Sekcji Alpinizmu kolektyw naukowców, interesujących się problemami górskimi i — o ile możliwości — orientujących się w zagadnieniach taternictwa, przedyskutował i ustalił, jakie obserwacje mogliby robić taternicy w czasie swego pobytu w górach. Oczywiście trzeba tu być realistą i nie wymagać od taternika-sportowca rzeczy niemożliwych. Wyniki takiej dyskusji w formie pewnego rodzaju kwestionariusza lub wskazówek możnaby udostępnić taternikom w publikacjach lub powielone. Na kursach — teoretycznych i terenowych — możnaby urządzić pogadanki na ten temat. Im mniej będą one mieć charakter oficjalnych wykładów i im bardziej prowadzący je znać będą specyfikę sportu taternickiego tym lepiej. Wreszcie można by dla niektórych zagadnień (np. rozmieszczenia świstaka w Tatrach) zrobić konkretne kwestionariusze i rozesłać je do wszystkich taterników z prośbą o odpowiedź. Jeśli nawet mały ich procent powróci, lecz zawierając będą one odpowiedzi oryginalne, oparte na dobrej znajomości gór, to i tak materiał ten będzie przedstawiał dużą wartość.

Trzeba wreszcie zorganizować zbieranie obserwacji naukowych od taterników. Może się tym znów zająć Podkomisja Współpracy z Nauką. Każdy taternik powinien wiedzieć, że każde jego spostrzeżenie, czy to dotyczące starej sztolni, czy niezwykłych

form skalnych, czy osobiwej formy wzrostu drzewa, czy obyczajów kozicy, trafi do naukowca, będzie przyjęte z wdzięcznością i odpowiednio wykorzystane. Z orobistych kontaktów wiem, że każdy prawie taternik ma coś ciekawego do powiedzenia czy to o przyrodzie gór, czy o życiu ludzi w górach. Nikomu jednak prawie nie przychodzi na myśl, że te obserwacje mogą mieć wartość dla nauki.

Odrębne zagadnienie współpracy taterników — a raczej tutaj już alpinistów — z nauką, stanowi udział naukowców w wyprawach do gór obcych. Tam już sam alpinista ze względu na odrębność terenu nie da sobie na ogół rady z zebraniem jakichkolwiek wartościowych materiałów naukowych. Czy alpinści powinni zabierać grupę naukową na swoje wyprawy egzotyczne? Sądzę, że tak. Przy odpowiedniej organizacji grupa taka nie będzie przeszkodą, lecz przeciwnie, może nawet okazać pomoc grupie sportowej. Z drugiej strony umożliwienie wyjazdu naukowcom jest jednym z obowiązków społecznych alpinistów, jednym z ważnych argumentów, przemawiających za organizowaniem wypraw egzotycznych, tak ważnych przecież dla rozwoju sportowego naszego alpinizmu.

Dwie sprawy wydają się tu szczególnie ważne: sprawa problematyki i sprawa składu grupy naukowej. Wiele się dziś mówi o nauce o unikaniu przyczynkowości i rozpraszaniu się w pracy naukowej. Czy wobec tego celowe jest badanie jakichś zagadnień z przyrody lub etnografii Kaukazu albo Himalajów, gdy tak wiele tematów na naszym własnym terenie czeka na rozwiązanie? W świetle obecnych poglądów na zadania i cele naszej nauki konieczne jest, aby tematyka grupy naukowej, jadącej w góry egzotyczne, była ustalana pod kątem widzenia istotnych potrzeb nauki polskiej. Drobną przyczynkę do fauny Himalajów opublikowany w Polsce nie zostanie może nawet zauważony przez naukę światową. Równocześnie jednak studium lodowców górskich może walnie pomóc naszym geologom w zrozumieniu rzeźby naszych gór, a nawet i nizin, rzeźby ukształtowanej przecież przez lodowce pleistocenijskie. Zebranie materiałów porównawczych zwierząt i roślin poza granicami kraju ma zasadnicze znaczenie dla naszych badań nad własną florą i fauną, zarówno współczesną jak i kopalną. To samo odnosi się do szeregu zjawisk przyrody gór. Tak na przykład mówimy, że te lub inne gatunki mogły przetrwać epokę lodową na nunatakach wśród lodowców górskich. Cenne byłyby własne obserwacje nad tym, jak ta sprawa przedstawia się w górach dzisiaj zlodowconych. I takich zagadnień jest wiele, zapewne nie tylko wśród nauk przyrodniczych.

A więc problematyka grupy naukowej nie może być przypadkowa, ani przyczynkarska. Musi być ona opracowana z góry, musi się wiązać ściśle z istotnymi problemami polskiej nauki o terenach górskich.

A teraz sprawa składu grupy naukowej. Jeśli ma ona naprawdę współdziałać z grupą sportową, wykorzystać w pełni okazję, jaką daje jej obecność na tego rodzaju wyprawie, to musi działać w terenie wysokogórskim. Na to zaś musi się składać z naukowców, posiadających pewne wykształcenie taternicze. Sądzę, że przy obecnym rozbudowaniu szkolenia taternickiego i rosnącej liczebności taterników nie będzie to trudne.

Grupa naukowa musi pracować kolektywnie. Jeśli zaś taka praca kolektywna ma dać dobre wyniki, zespół naukowy musi być utworzony dość wcześnie. Musi on mieć możliwość przestudiowania literatury, odnoszącej się do terenu swego przyszłego działania, przy czym zresztą może współpracować z grupą sportową. Nie byłoby nawet źle, gdyby cały zespół wyprawy mógł uprzednio odbyć dłuższą wspólną wycieczkę w Tatrach dla zżycia się i ustalenia metod współpracy. Zwarty, odpowiednio przygotowany i planowo pracujący kolektyw naukowy nie zmarnuje na pewno okazji, jaką może mu dać wyprawa do gór wysokich.

Kazimierz Kowalski

MACIEJ SIECZKA (1826–1897)

*W 75-lecie zdobycia przez
niego Mnicha, Jastrzębiej Tur-
ni i Szatana.*

Maciej Sieczka urodził się w Zakopanem. Tak jak wielu w owych czasach Podhalań, chodził w poszukiwaniu zarobku na Węgry, gdzie pracował w kopalniach, a tak jak niejedyn zakopianin stał się też namiętnym koziarzem i w ten sposób poznał doskonale Tatry. Z kłusownika jednak stał się po tym — pod wpływem Maksymiliana Nowickiego i Eugeniusza Janoty — strażnikiem i jednym z najgorliwszych obrońców tatrzańskich kozic i świstaków. Razem ze swym przyjacielem Jędrzejem Wałą starszym był strażnikiem przez wiele lat, w czasie których dzięki ich gorliwości stan zwierzyny w Tatrach wybitnie się poprawił.

Okolo połowy ubiegłego stulecia naukowcy i turyści zaczęli coraz częściej przyjeżdżać do Zakopanego i w Tatry, i wtedy powstało wzrastające zapotrzebowanie na przewodników. Jednym z najlepszych i najsłynniejszych stał się szybko Maciej Sieczka.

Turystów i naukowców prowadził Sieczka w Tatry jeszcze przed powstaniem Towarzystwa Tatrzańskiego i był jednym z najbardziej cenionych i lubianych przewodników, czego wyraz znajdujemy w opisach wycieczek, ogłoszonych przez ludzi, których wiódł w góry, jak np. przez Władysława Ludwika Anczyca, który napisał o nim: „Kto chce widzieć najdziksze skały Tatr i wrócić szczęśliwie, niech bierze Sieczkę“. Poeta Adam Asnyk poświęcił mu piękny wiersz pt.: „Maciejowi Sieczce, przewodnikowi w Zakopanem“, gdzie między innymi pisze:

*„Mój przewodniku! tyś mnie wiodł przez góry,
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Nie zeszeponą mdłych legend odzież...
Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej...
Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć...
Dobrze mi było, idąc za twym śladem,
Zdobywać z trudem mało znane szczyty,
I z rącznych kozic spotykać się stadem...
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci...“*

W powyższym wierszu Asnyk wyraża Sieczce wielką wdzięczność, że nauczył go we właściwy sposób patrzeć na Tatry i górali. Z drugiej strony wiemy skądinąd, że Sieczka opowiadał o Sewerynie Goszczyńskim, który mieszkał w jego chacie w Zakopanem, że wiele go nauczył: „co jest pięknego w tych Tatrach... i o tym duchu, co człowieka do góry zawsze, na szczyty pędzi“. Sławny przewodnik Klimek Bechleđa nadzwyczaj wysoko cenił Macieja Sieczkę, jako znakomitego przewodnika i człowieka o nieprzeciętnym rozumie; uważał go za swego mistrza.

Sieczka wodził w Tatry wielu znanych naukowców i taterników. Między innymi chodzili z nim Wincenty Pol, Eugeniusz Janota, Maksymilian Nowicki, Józef Stolarczyk, Adam Asnyk, Mieczysław i Jan Gwalbert Pawlikowscy, Tytus i Ludwik Chałubińscy, Leopold Świerż oraz jedna z pierwszych taterniczek sławna pianistka Natalia Janothówna.

Wśród ważniejszych wypraw tatrzańskich Sieczki warto wymienić następujące: I wejście na wyższy wierzchołek Świnicy (r. 1867), jedno z najwcześniejszych wejść na Lodowy Szczyt (r. 1870), II wejście na Wysoką (r. 1876), I wejście na Mięgoszowiecki Szczyt (r. 1877), wejście nową drogą od północy na Łomnicę (r. 1878), I wejście na Mnicha (r. 1879 lub 1880), I wejście na owianą legendami Jastrzębią Turnię (ok. r. 1880), I wejście na Szatana (ok. r. 1880), II wejście na Durny Szczyt (r. 1881) nową drogą z Doliny Dzikiej).

Był też na wielu innych rzadko zwiedzanych wówczas szczytach, gdzie musiał sam odszukiwać drogi, nieraz nie wiedząc nawet (jak na Wysokiej), że miał już poprzedników. Jego zdobycie Mnicha (przy tym bez użycia sprzętu taternickiego) jest epokowym wydarzeniem w dziejach taternictwa. Podkreślić należy, że w wyprawie na Mnicha Sieczka był jedynym przewodnikiem Pawlikowskiego, a w innych był zawsze głównym lub jednym z głównych. Jeszcze na kilka lat przed śmiercią, w roku 1891, wyprowadził Sieczka turystów na Durny Szczyt z Doliny Dzikiej.



MACIEJ SIECZKA

Według drzeworytu Walerego Eljasza.

Brał też Sieczka udział w badaniach jaskiń Doliny Kościeliskiej, przeprowadzonych przez Jana Gwalberta Pawlikowskiego, a więc jest jednym z pierwszych tatrzańskich „grotołazów“. Budował ścieżki i zakładał klamry w Tatrach, między innymi na Mięgoszowieckiej Przełęczy, Rysach i Wysokiej, i w ogóle gorliwie opiekował się urządzeniami turystycznymi: majątkiem Towarzystwa Tatrzańkiego w górach, jak wynika z zachowanych listów, jakie ten nieprzeciętny człowiek pisywał do Walerego Eljasza.

Maciej Sieczka zmarł w Zakopanem i został pochowany na starym cmentarzu, gdzie niedawno odkryto jego zaniedbany i zapomniany nagrobek. Nazwisko i zasługi Macieja Sieczki są jednak trwalsze od kamienia położonego na jego mogile.

Witold. H. Paryski

LAT TEMU CZTERDZIEŚCI...

Publikujemy poniżej wspomnienie Jerzego Landego, poświęcone pamięci Juliana Marchlewskiego.

Kim był Julian Marchlewski, „duma i chluba polskiego ruchu robotniczego, wielki rewolucjonista i wielki partiot“ (Bolesław Bierut), wybitny przywódca polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego — wiadomo dziś każdemu uczniowi szkoły podstawowej, wiadomo dziś dokładnie każdemu, kto poznał dzieje polskiej myśli i polskiego czynu rewolucyjnego. Ze natomiast Julian Marchlewski w chwilach swoich czasów był również zawołanym turystą — wiedzieli nieliczni, póki nie zostały w roku 1951 przetłumaczone i wydane jego, opublikowane w jednej z gazet niemieckich „Skizce o Tatrach“.

Marchlewski nie był taternikiem szukającym nowoczesnych dróg, nie wiązał się z ideologią współczesnego mu alpinizmu, zwracał się swymi uczuciami górkimi raczej ku czasom chałubińszczyzny, był w turystyce po trosze laudatorem tem-

poris acti, w 1911 roku powtarzał anachroniczne poglądy o alpinistach jako o zimnych rekordzistach i zalecał używanie na wycieczkach tatrzańskich serdaka i ciupagi...

To wszystko prawda i nie ma powodu wyraźnie o tym nie mówić. Ale trzeba zarazem stwierdzić, że Marchlewski był turystą świadomym, zainteresowanym wszechstronnie przyrodą gór, które zwiedzał. Był zapamiętałym obrońcą przyrody i gorącym zwolennikiem jej ochrony, pod tym względem wyprzedzając większość sobie współczesnych. Dostrzegał też, łatwo zrozumieć, społeczne wartości turystyki i w ich imię atakował „pożeraczy kilometrów“, którzy po „zrobieniu“ paru szczytów uważają, że „załatwili się z Tatrami“. Jego wspomnienia świadczą, że tkwił w nim obserwator spraw górskich bystry i wnikliwy.

Tatrzańskie itineraria Marchlewskiego nie są znane; wiemy zresztą, że trudy rewolucjonisty nie pozwoliły mu ani systematycznie, ani przez wiele lat uprawiać umiłowanej turystyki. Ale rwał się do niej zawsze, korzystał gdy tylko mógł, z następczających się okazji. Jeden przykład. W 1921 roku wyjechał Marchlewski na Daleki Wschód, by w imieniu Republiki Radzieckiej prowadzić rokowania z Japonią. I oto pisze w liście z Dajrenu: „Próbowałem swych sił taterniczych; jeszcze mnie nogi noszą! Były galerijki, ławki, kominy, przewieszki, wszystko nie bardzo groźne, nie bardzo wysokie, chodziłem dość swobodnie...“

„...Dokota góry wysokie, skaliste, typu alpejskiego. W ten dzień nic nie robiłem. Marzyły mi się Tatry“ — pisał Marchlewski z nad Jeziora Bajkalskiego. A w zaraniu swego taternictwa, w 1903 roku, projektował w korespondencji z Orkanem zrobienie w Tatrach „mocarnych rzeczy“. Nie dane mu ich było dokonać. Całe życie walczył, by takie jak jego marzenia turystyczne mogły realizować tysiące i miliony tych, którym kapitalistyczny ustrój uniemożliwiał poznanie piękna gór. Toteż turyści w Ludowej Polsce będą o nim zawsze pamiętać i w nowoczesnych dziejach polskiej turystyki wysokogórskiej nazwisko Marchlewskiego znajdzie sobie miejsce.

(J. A. Szcz.)

Pierwsze wyjście na Krupówki po przyjeździe z Warszawy. Idę wolnym krokiem przed siebie i wdecham głęboko znajome, kochane powietrze. Czuć w nim typowe zapaszki zakopiańskiej ulicy: wapienny kurz szosy z domieszką końskiego nawozu, woń jarzyn i nafty, buchająca z otwartych sklepików — ale przez wszystko to przebijają się zwycięsko powiew od gór, lekki a potężny, pełen słońca i chłodu, rzeźwiący jak zamrożone wino, pociągający t a m z nieodpartą siłą.

T a m stoją Tatry. Znajome, te same, choć takie zmienne. Dziś są niebieskie, powiewne, bez cieni; grają niskimi obłokami, splatając się i rozplatając z nimi pod słońcem w pogodną melodię śności i bieli. Zapraszają? Nie, one są doskonałe, bosko obojętne. My to sami ciągniemy ku nim — po radość piękną, walk i zdobyczy, po utrapienie trudów i niepowodzeń. Dziś wobec wszystkiego, co widzę — i tych koślawych domków na Krupówkach, i tych Tatr za nimi w głębi — rozpiera mię cicha, wielka radość oczekiwania: całe lato górskie przede mną!

Ale oto idzie na moje spotkanie postać męska i twarda — pan Mariusz Zaruski. Wita mię mocnym uściskiem dłoni, dopytuje się, czy długo będę w Zakopanem. I od razu proponuje: może w końcu miesiąca, jeśli nie mam innych zobowiązań, poszlibyśmy we dwóch na parę pięknych graniówek? Oczywiście, przyjmuję zaproszenie z zapałem.

W moim programie letnim tego roku 1913 ów koniec lipca stanął jako punkt niezachwiany. Tymczasem, w ciągu 10 dni, jakie mię od niego dzieliły, odbyłem parę wycieczek ze Stanisławem Roguskim, który już na mnie czekał w Zakopanem. Nie chodziliśmy dotąd razem, ale po kilku rozmowach, odbytych w Warszawie, postanowiliśmy wypróbować się nawzajem w Tatrach. Parę trudniejszych wspinaczek w bliższym terenie wykazało, że odpowiadamy sobie dobrze: sprawnie nam się szło w skałę, a różne decyzje przed akcją i po niej, gdzie łatwo powstają spory, osiągałyśmy jakoś

zgodnie. Ta próba uczyniła z nas parę towarzyszy, związanych przyjaźnią i linią na długie lata. A gdy się zbliżył 26 lipca, wyznaczony na wyprawę pana Mariusza, ucieszyło mnie, że na mój wniosek Staś został dopuszczony jako trzeci uczestnik do tego ezoterycznego przedsięwzięcia. Uplanowaliśmy sobie najpierw grań Miękuszwowieckich Szczytów, potem Smoczy i Wysoką i wreszcie przejście długiej grani od Żelaznych Wrót do Ganku. W owym czasie, gdy ściany jeszcze nie były modne, takie dłuższe graniówki należały do zadań najbardziej pociągających.

W sobotę 26 lipca stawiliśmy się ze Stasiem o godzinie drugiej na punkt zborny przy stacji samochodów. Pan Mariusz stał tam już, ubrany i uzbrojony po swojemu, według systemu, w którym każdy szczegół, aż do ostatniego rzemyczka, guziczka i sznureczka był dziełem głębokiego, samodzielnego namysłu i własnoręcznego wykonania. Ale cóż to? otacza go grono młodzieży, wyglądające nie na widzów, lecz na uczestników: z plecakami, ciupagami? Zaruski odprowadził nas na bok i, nie bez pewnego zażenowania, prosił, abyśmy nie mieli do niego pretensji: pójdzie z nami tych 8 osób, początkujących, ale będą stanowili partię odrębną, gdyż wziął dla nich przewodnika Staszka Byrcyna — ten uśmiechał się już do nas sympatycznie przez swe rude wąsy. Wspólne będą tylko noclegi i przejścia komunikacyjne, poza tym będziemy niezależni w wykonywaniu naszego programu... No — pomyślałem sobie — społecznik-wychowawca wziął jeszcze raz górę w panu Mariuszu. Będziemy niezależni? a figle pogody, a kaprysy ludzkie czy nam nie narzucą obowiązków opieki? Ale mniejsza o to, jakoś to będzie.

W kłębach dymu benzynowego dojechaliśmy do Morskiego. Tu kropił już deszczyk, na razie z przerwami. Resztę dnia, po urządzeniu się w pokojach, spędziliśmy przy stole na werandzie. Wychodziło się na ganek, pukało się w barometr; ten, bestia, opadał. Pan Mariusz wykladał zasady chodzenia po górach i zachowania się w nich, albo opowiadał swoim mocnym, barwnym stylem wspomnienia z wypraw taternickich i ratowniczych. Zapoznawałem się z nowym towarzystwem. Cztery panienki, przeważnie studentki z Krakowa lub Lwowa, patrzyły rozmodlonymi oczyma w naszego mistrza i wodza, przejęte głęboką czcią dla niego i powagą oczekujących je wyczyńców. Trzej młodzi panowie występowali śmiało i głośnie, wykazując własne poglądy i próby inicjatywy; mistrz w takich wypadkach pouczał ich w tonie dobrotliwym, ale pełnym autorytetu. Najciszej, z wielką dyskrecją, zachowywał się ósmy uczestnik grona, starszy już pan średniego wzrostu z krótką brodą. Przedstawił mi się jako Marchlewski, a pan Mariusz tytułował go profesorem. Mieszkał w Niemczech, zajmował się ekonomią i sprawą robotniczą.

O Julianie Marchlewskim nie zdarzyło mi się dotąd słyszeć. Dopiero w dobrych kilka lat później wypadki o wadze historycznej wyznaczyły mu rolę wybitną, a jeszcze później poznałem jego świetną pracę naukową o fizjokratyzmie w Polsce, drukowaną już w roku 1897. Znajomość i wyraźna sympatia, jaka Marchlewskiego łączyła z Zaruskim, tłumaczy się łatwo. Pan Mariusz miał przeszłość lewicową: usunięty z uniwersytetu w Odessie za jakieś akcje studenckie, był aresztowany i skazany na zesłanie do Archangielska; tam mu się udało, obchodząc ograniczające go przepisy, ukończyć szkołę morską i rozpocząć karierę kapitana statków handlowych o dalekich rejsach. Gdy osiadł w Zakopanem, zamieniwszy morze na góry, nie wyzbył się swych przekonań, choć, zajęty pracami w organizacjach takich jak Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe lub Sekcja Narciarska Towarzystwa Tatrzańskiego, nie manifestował ich dobitniej na zewnątrz. Przyjaźnił się jednak z emigrantami politycznymi, jak Józef Oppenheim lub Borys Wigilew. A pensjonat pp. Zaruskich, „Krywań“, gromadził zawsze przedstawicieli lewicy intelektualnej, artystycznej i politycznej, stanowiąc wysepkę wśród morza gości zakopiańskich, obojętnych ideowo albo wyznających zasady „narodowe“ lub „katolickie“.

Owej soboty Marchlewski wśród naszego gwaru usuwał swoją osobę w cień. Nie odgradzał się od towarzystwa, ale mówił niewiele, słuchając przemów Zaruskiego i reagując na wysoki młodzieży życzliwym uśmiechem.

W niedzielę wymarsz ku Przełęczy pod Chłopkiem pod rozkazami pana Mariusza odbył się przepisowo zaraz po szóstej. Ranek był blady, niewyraźny. Roguski, któremu wódz polecił prowadzenie, wiódł nas w znakomitym tempie, wolnym i marowym, z rzadkimi przystankami. Było zasadą stałą na tych wyprawach, że pierwszy szedł każdego dnia jeden z taterników młodszych, a Zaruski kroczył dalej w szeregu, zachowując tylko kierownictwo ogólne.

Niebo, początkowo jasne, zasnuło się pulapem białych, wysokich chmur. Gdyśmy już byli blisko celu, pod tym pulapem zaczęła się toczyć ku nam od północy chmura ciemna, niemal kulista — znak niedobry. Jakoż za chwilę połało nas deszczem, obsypało gradem i śniegiem. Na przełęczy przyczailiśmy się pod pierwszymi skałkami Środkowego Mięguszowieckiego. Ale zaraz zaczęły trzaskać pioruny, trzeba było posunąć się niżej. Pan Mariusz wydał rozkaz: gromadka ma zaraz schodzić ku Popradzkiemu, on jednak chce tu trochę przeczekać — czasu mamy dużo — kto się do niego przyłączy? Wymieniliśmy ze Stasiem krótkie spojrzenia spod obmokłych kapturów, przez zalane wodą okulary (obaj niestety należymy do gatunku okularników); z jego skrzywionej miny i znaczącego lypnięcia okiem w stronę południową wyczytałem, że marzy tylko o zejściu na dół. Ale jeden z nas musiał dotrzymać towarzystwa Mariuszowi, ofiarowałem się więc ja. Ku zdziwieniu powszechnemu przyłączył się do nas Profesor — dzielny widać z niego turysta.

Gromadka ruszyła ku Stawom Hińczowym pod opieką Stasia i Staszka. Stronie trawki, płytki i piargi pokrywał śnieg i oplukiwały strumienie wody. Panienki mogły zażyć dowoli spodziewanej „grozy górskiej“, a młodzieńcy mieli sposobność do wystawienia na próbę swej nonszalancji...

Nasza trójka przytuliła się pod jakąś skałką. Burza minęła, śnieg ustał, ale deszcz spokojny ustalił się na długo, jak było do przewidzenia. Po jakiejś godzinie Zaruski nagle oświadczył, że idziemy na szczyt. O Grani Mięguszowieckiej nie ma oczywiście mowy, ale skoro już tu jesteśmy, możemy skoczyć „drogą po głazach“ na Wielki Mięguszowiecki. Szkoda zmarnować dzień bez zdobycia szczytu; że obaj już znamy i szczyt, i drogę — to nie ma znaczenia.

Nastąpiły dalsze zarządzenia. Profesor mógł zachować swój plecak, gdyż miał lekki. Nasze, bardzo ciężkie, zostały pod przełęczą, ukryte pod głazem. Ja wziąłem swoją linę pod płaszcz gumowy oraz — na żądanie kategoryczne — aparat fotograficzny; ten miał format 9×12 cm, uważany wówczas za mały, a uzupełniały go klisze szklane w kasetach i składany statyw metalowy.

Wędrówka nasza była swoistym zabiegiem hydropatycznym. Deszcz padał, płyty pod nogami ociekały śniegiem i wodą, każdy z niezliczonych przekraczanych żlebków zamienił się w wodospad, ze skał nad głową lały się na nas strumienie, woda złośliwie przenikała nam za kołnierze i do rękawów. A w miarę jakeśmy się rozgrzewali marszem, wymagającym pewnego napięcia ekwilibrystycznego, pot pod naszymi nieprzemakalnymi okryciami wytwarzał drugą wilgoć, duszącą, dokuczliwą. Marchlewski na śliskim terenie doświadczał widocznie kłopotów, ale trzymał się dzielnie i odmawiał wszelkiej pomocy, nawet podania ręki. Posuwaliśmy się bardzo wolno. Na grzędce pod szczytem chmury nagle zrzedły i podniosły się nieco, odsłaniając dno doliny; trochę światła zaczęło grać między nimi. Pan Mariusz stał właśnie na platformce grzędy i przenikał wzrokiem mgły. Wymarzona to była chwila, by usprawnić dzwiganie aparatu: rozstawiłem go na trójnogu i zrobiłem zdjęcie wzorowego taternika w pozycji iście pomnikowej.

Na szczycie znów nas otoczyło mleko. Po wykonaniu więc na nim manewru „w tył zwrot“, zabraliśmy się natychmiast na dół, zwykłą drogą ku Stawom Hińczowym. Za-



W drodze na Mięgoszowiecki Szczyt (M. Zaruski).

Fot. J. Lande, 27. 7. 1913.

ruskiemu chodziło o to, by jak najprędzej i najbezpieczniej sprowadzić Profesora w dolinę. Osiągnąwszy piargi, wskazał mu też ścieżkę ku schronisku. My, niestety, musieliśmy wrócić na przełęcz po worki. Piła to była nudna i długa, w walce z pływającą z góry wodą. Potem z plecakami, które mimo osłonięcia głazem dobrze nasiąkły wodą i jeszcze przybrały na wadze, znów biegiem i skokami, trochę po wariacku, na dół. Na piargach pod ścianą — któż to moknie na deszczu? Oczywiście, nasz Profesor: nie skorzystał z dobrej rady zejścia do schroniska i pozostał — wzór lojalności — na miejscu, aby nas doczekać. A z zimna, mimo swej porządnej kurtki skórzanej, trząsł się jak w gorączyce.

Wszystkie cnoty nasze zostały rychło nagrodzone. Silny wiatr rozdmuchał trochę chmury i szybko nas wysuszył niemal zupełnie. Pan Mariusz, już o zmroku i niedaleko schroniska, nakazał popas w lesie, aby zjeść własną kolację, zgotowaną na maszynkach. Zachowanie jak najdalej idącej niezależności od schronisk należało do kodeksu jego zasad. Dopiero o dziewiątej wieczór doszliśmy do Stawu Popradzkiego. Towarzystwo nasze, dosyć przejęte swymi przygodami, a niespokojne o nasz los (chciano już nam wysłać Byrcyna na ratunek), dało się porwać naszym nastrojom tryumfu: cieszył się pan Mariusz, żeśmy nie skapitulowali przed pogodą, cieszyliśmy się i my dwaj ciepłem schroniska i ożywym wpływem herbaty z rumem.

Ranek poniedziałkowy powitał nas niespodzianie piękną pogodą. Można więc było przystąpić do wykonania wyznaczonego planu: była to dla nas graniówka od Żelaznych Wrót do Ganku, dla młodzieży — Ganek zwykłą drogą. Obie partie miały się spotkać na Ganku. Ale start nie poszedł łatwo. I pozostałości wczorajszych przygód,



Trawersowanie środkowej turni Żłobistego Szczytu (S. Roguski i M. Zaruski).

Fot. J. Lande, 28. 7. 1913.

pierwszy w życiu komin do zapierania — podbił moją ambicję gimnastyka i wypracowałem go na całej głąbości techniką zapierania, niesłusznie pogardzając giazami zaklinowanymi lub chwytami, które się miejscami nasuwały. Nastąpiło długie windowanie worków na linie. Gdyśmy usiedli na szczycie, gęste mgły były skupione w Dolinie Kaczej, od południa zaś poczęło przeświecać słońce. Temu zawdzięczam, że oglądałem tu, po raz pierwszy w życiu, zjawisko Brockenu: na tle mgieł w Kaczej ukazały się nasze sylwetki, znacznie powiększone a otoczone ramką tęczową; machały rękami i nogami, przysiadły i podskakiwały, powtarzając posłusznie ruchy przez nas im zadane.

Potem zaczęła się długa, długa zabawa z przekraczaniem licznych i wcale wysokich turni, obniżających się w kierunku Rumanowego. Ponieważ mgła się znów zamknęła i drogę w zejściu wypatrzeć było trudno, zjeżdżaliśmy najczęściej na linie, co upraszcza sprawę, lecz zajmuje dużo czasu. Oto stoimy na jakiejś większej turni — może to nareszcie Rumanowy? Nie, przez otwór we mgle zobaczyliśmy, że piętrzy się on blisko, ale jeszcze dość wysoko nad nami. Nasza turnia była ostatnią w opadającej grani Żłobistego. A jest już godzina szósta — z dalszej graniówki wypada zrezygnować. Hukamy — może nas usłyszy tamta gromadka? Tak, usłyszeli nas: doleciały nas głosy różnolite, od barytonów do sopranów, ale doleciały z daleka od lewej strony. Gromadka nas nie doczekała i schodzi już do schroniska. Połączyliśmy się z nią tam dopiero, znów o godzinie dziewiątej.

Nazajutrz fermenty wzrosły. Przyczynił się do tego lekki deszczyk. Byrcyn wyjaśniał wprawdzie paniom, że „to nie dysk, to ino odpaduje co sie słabo trzymie” — ale ta definicja nie przekonała wątpiących. Na próżno pan Mariusz puszczał w ruch swą logikę, nawoływał do wierności zasadom i kładł na szalę swą powagę wodza. Przed południem trzech młodych panów z jedną z panienek zagarnęło sobie Staszka i dokonało dezercji — przez Rysy do domu. Wytrwały trzy pozostałe panienki i lojalny zaw-

i jakieś komplikacje w związku z zamiarami na dziś i jutro nurtowały u naszej młodzieży. Pan Mariusz odbywał po kątach konferencje z poszczególnymi osobami, tłumaczył, godził namawiał — i tak, mimo jego umiejętności narzucania swego autorytetu, zeszedł nam czas aż do dziewiątej przeszło. Plan miał być jednak wykonany — z pewnym skróceniem naszej graniówki ze względu na późniejszą porę.

Nasza trójka ruszyła pierwsza. Rozpoczęliśmy grań od Zachodniego Szczytu Żelaznych Wrót. Tu już nas otoczyła gęsta, biała mgła, na szczęście sucha. Był pewien kłopot ze znalezieniem strony, w której należało szukać dalszego przebiegu grani. Na jednej z przełączek oglądaliśmy i uwieczniliśmy fotograficznie oryginalne okno skalne, przebijające na wylot skałę. Po przejściu gładkiego obeliska, noszącego dość bezzasadnie nazwę Szczytu Żłobistego Środkowego, stanęliśmy pod pionowym kominem, wiodącym na szczyt główny; pan Mariusz opowiadał mi już o nim cuda — ze słyszenia. Tego dnia mnie z kolei przypadło prowadzenie. Komin — mój

sze Profesor. Ten nie brał nigdy udziału w dyskusjach i zachowywał uśmiechnięty spokój. Po odejściu buntowniczej gromadki nasz dowódca nie omieszczał wobec swego wiernego grona napiętnować wymownie jej haniebnego czynu. Zaległo na chwilę milczenie. Aż rozładował nastrój Marchlewski, taktownie proponując, by panie poszły z nim do Szczyrbskiego Jeziora; poznać je warto, a deszcz wygląda dość niewinnie. Projekt przyjęto chętnie i czwórka ruszyła w drogę.

Niebawem deszcz nieco ustał, namówiliśmy więc Zaruskiego, by skoczyć chociaż na Szarpane Turnie. Ale zaledwieśmy doszli do równinki nad lasem w Dolinie Złomnisk, figlarny deszcz lunął znowu z całą siłą. Schronienie nam dała znana, mała ale sucha koleba. Mając ze sobą, na szczęście, maszynki, gotowaliśmy tam sobie kolejno wszelkie potrawy, na jakie pozwalały nasze zapasy. Te rozkosze gastronomiczne urozmaiciło nam niespodziewane widowisko: stadko kozic rozpoczęło ćwiczenia na pobliskim stromym śniegu. Matki wtajemniczały systematycznie swe małe w technikę wchodzenia, trawerrowania i zjazdu na kopytkach. Ukryci w ciemnej kolebie jak w łoży, cieszyliśmy się tym miłym przedstawieniem przez czas dłuższy. Wreszcie kozice ukończyły swój kurs i odeszły. Powlekliśmy się i my ku schronisku. Wkrótce wróciły też panienki ze swym opiekunem, zadowolone z poznania Szczyrbskiego i zachwycone obiadem w hotelu. Z deszczem tatrzańskim już się zaczęły oswajać.

We środę od rana deszcz lał znów rześście i uparcie. Oziębilo się, na szczytach mógł być śnieg. Sytuacja nie budziła wątpliwości: pozostawał nam tylko powrót przez Rysy do domu. Pod nieustannym tuszem wlekliśmy się powoli do góry, przerywając ten pochód częstymi przestankami: pan Mariusz wpadł w werwę i opowiadał nam coraz to nowe epizody ze swych bogatych wspomnień górskich, coraz to zatrzymując całe towarzystwo, by wszystkim razem odmalować plastycznie jakąś sytuację. Jego spokój i humor oddziałal na panienki: przestały uważać swój los dzisiejszy za groźny, nabierały humoru. Zmieniło się to nieco w kotlinie pod Wagą. Deszcz zastąpiła tu gęsta, choć spokojna śnieżycza, piargi pokryte już były dobrą warstewką śniegu. Z gęstej białej mgły wynurzyły się nam na spotkanie trzy postacie. Byli to turyści niemieccy, widać nie wysokiej klasy: idąc od Stawu Popradzkiego chcieli zdobyć Rysy i cofnęli się z Wagi ze względu na śnieg. Zdumieni byli, że chcemy „ryzykować“ przejście na drugą stronę, w dodatku z paniami. Według ich przekonania, oczekiwała nas tam pionowa ściana, po której trzeba się spuszczać na rękach. Gdy Roguski im wyjaśnił, że prowadzimy panie przez Rysy, uważając tę drogę za najwygodniejszy gościńiec przy niepogodzie, uznali nas wyraźnie za grono szaleńców. Na jednym z zakosów szerokiej, kładzionej z głazów ścieżki podszczytowej zatrzymałem towarzystwo, aby upamiętnić jego uczestnikom przygodę z kurniawą w dniu 30 lipca. Nie wiedziałem, że zdjęcie to będzie dla mnie samego pamiątką wycieczki z Julianem Marchlewskim.

Na szczycie, przed zejściem, pan Mariusz urządził loterię: każda z trzech panienek, ciągnąc rożek chustki, zdobyła sobie osobistego opiekuna w jednym z nas. Pomoc ta okazała się potrzebna. Moja dama miała suknię „krótką“, tzn. do kostek (dwie pozostałe miały jeszcze dłuższe), a doświadczenie górskie bardzo krótkie, bo dwudniowe. Nie dziw, że każda niewinna płytka grzędy, pokryta śniegiem, wydawała się jej trampoliną mającą zrzucić ją w „przepaść“. Szedłem stale przed nią, podając jej rękę i wskazując dogodne miejsce do postawienia każdej nogi, udeptane już lub oczyszczone ze śniegu przeze mnie. Dama moja odczuwała jednak niezwalczoną obawę przed postawieniem kroku w dół i przepraszając mię poczciwie za nieposłuszeństwo, śladała na płycie i zjeżdżała w pozycji siedzącej. Przy tych ruchach sukienka i dostosowane do niej w stylu miejskim dessous wykazywały jeszcze większą niż u ich właścicielki chęć do pozostawiania w górze i dama przy każdym zjeździe wyprzedzała swe szatki, co w niej wywoływało wielkie zażenowanie. Po kilku zjazdach i biała haleczka, i spódniczka ujawniały już widoczne skutki zetknięcia z topniejącym śniegiem i ostrzejszymi występami skały. Z trudem mi się udało przekonać moją damę, że na wysoko-



Odpoczynek w zejściu z Rysów (pierwszy od prawej J. Marchlewski).

Fot. J. Lande, 30. 7. 1913.

ściach powyżej 2000 m chodzi o to, by wydobył się cało z kłopotu człowiek, losy ubrania są sprawą błażą, a na banalne przepisy przyzwoitości możemy patrzeć z pogardą, z góry. Dama istotnie zdobyła się na rezygnację, a potem stopniowo zaczęła się wdrażać w ruchy właściwsze. Zresztą grzęda stawała się coraz mniej stromą, śnieg się skończył, zeszedł na piargi.

Pozostałe dwie panienki zachowywały się mniej więcej tak samo. Profesor siedł cały czas samodzielnie na końcu, powolutku — tempo musiało być zastosowane do pań — ale sprawnie, na nogach.

W zwięzaniu żlebu usiedliśmy na odpoczynek pod dużą wantą. Chwilowo nie nie padało. Panienki siedziały w milczeniu, przetrawiając ostatnie wrażenia. Przy Czarnym Stawie, załedwieśmy stanęli nad jego ciemną, zawsze urzekającą wodą, deszcz lunął na nowo. Nic nie zapowiadało na jutro poprawy. Gdy się więc okazało w schronisku, że samochód właśnie rusza i ma miejsca dla nas, załadowaliśmy do niego nasze mokre „gnaty, szaty i graty“, nie rzuciwszy nawet okiem w tył na świat górski, którego ciemnoszara mgła pochłonęła nasze wielogodzinne mozoly i wzruszenia. Ciągnęło nas Zakopane, zmiana ubrania, kąpiel, kolacja, ciepłe łóżko. Na wspomnienia przyjdzie czas później...

Z Julianem Marchlewskim nie sądzono mi było spotkać się nigdy więcej. Po tych pięciu dniach tatrzańskich pozostało mi wspomnienie miłego, mądrego pana o zachowaniu się szczególnie zrównoważonym i dyskretnym. W schroniskach nie było sposob-



W drodze na Rysy w kurniawę (od lewej pierwszy J. Marchlewski, w środku S. Roguski, ostatni M. Zaruski).

Fot. J. Lande, 30. 7. 1913.

ności do rozmów prywatnych. Obmyślanie planów, godzenie przeciwności, niezaradność lub kaprysy młodych wywoływały wciąż potrzebę różnych naszych czynności oraz ingerencji Mariusza. Poza tym każdy chciał się wysuszyć, najęść i wyspać. Czasem — pamiętam — odczuwało się chętkę porozmawiania z tym nieznanym, a inteligentnym i bardzo kulturalnym panem, ale gorączkowe tempo wycieczki z jej przygodami wciąż temu przeszkadzało.

Skromna i powściągliwa postawa Marchlewskiego sprawiła, że brałem go za turystę początkującego, tyle że starszego od pozostałego grona, więc rozsądnego i opanowanego. I dopiero niedawno, gdym sobie kupił jego „Szkice o Tatrach“, pięknie wydane w osobnej książeczce z datą 1951 roku, doznałem niespodzianki. Szkice te, ogłoszone po niemiecku w „Leipziger Volkszeitung“ w roku 1911, wykazują, że Marchlewski już dwa lata przed naszym spotkaniem był w Tatrach dobrze zadomowiony. Na końcu książki dano reprodukcję jego legitymacji członkowskiej Towarzystwa Tatrzańskiego z tego samego roku 1913, w którym się odbyła nasza wycieczka. W sprawozdaniach „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego“ można też wyczytać, że był wówczas członkiem Sekcji Ludoznawczej T. T. A że miał już wprawę w chodzeniu po górach, świadczy o tym jego udział w roku 1912 w wyprawie ratunkowej po Aldonę Szystowską, stwierdzony w książce Zaruskiego „Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe“ (1922).

I jak nam mówią „Szkice“, autor ich już w owym czasie wyrobił sobie stosunek do Tatr dojrzały, zupełnie samodzielny i piękny. Stosunek ten streszcza znakomicie jedno zdanie z początku „Szkiców“: „Wabią mnie wprawdzie zażarte zapasy z górami, rozkosz wdzierania się na turnie, ale niemniej pięknie je t w owych tatrzańskich ko-

tinach, gdzie żyje tylko płochliwy świstak, przesiadywać nad brzegiem któregoś z przepastnie głębokich, otoczonych wysokimi skałami jezior i toczyć rozmowę ze swymi najtajniejszymi myślami“.

Marchlewski uznaje więc w taternictwie, podobnie jak Karłowicz i Zaruski, pierwiastek walki o zdobycie skalną i w nim widzi jego stronę sportową. Zaznacza kilkakrotnie uznanie dla walki i osobisty swój pociąg do „niebezpiecznej gry, przy której pozostają w napięciu wszystkie siły ciała i duszy, przy której stawką jest życie“. Ale wyraz „wprawdzie“ na początku przytoczonego zdania i cały pozostały tekst „Szkiców“ wskazują, że dla niego osobiście najcenniejsze były godziny spędzane na samotnej kontemplacji w dalekiej od gwaru ludzkiego dolinie. „Samotny piechur“ — oto formuła, którą najlepiej siebie charakteryzuje. Lubił „podkraść się o wczesnym świdzie... na siodło górskie“, aby obserwować, nie płosząc ich, świstaki przy ich rannych zabawach.

A jakaż była treść tych „rozmów z własnymi najtajniejszymi myślami“, jakie prowadził nad wodą stawu lub na trawiastym siodle? Były to przede wszystkim myśli badacza, dążące do zrozumienia wszystkich zjawisk otaczających. Marchlewski przytacza z zapałem wyniki stoczonej niedawno na tle Tatr walki między Uhligiem a Lugeonem o teorię powstawania gór; siedząc nad stawem, rozmyśla o procesach, które wywołały powstanie tych stawów, a teraz dążą powoli i niezłomnie do ich zniszczenia; zastanawia się nad genezą ludu góralskiego i jego tak swoistych właściwości; stojąc na przełęczy Żelaznych Wrót cieszy się wrażeniem piękna, ale zaraz wpada na trop myśli, jak widok słonecznej i żyznej krainy węgierskiej musiał pociągać góralski do zbójnictwa (ten piękny ustęp jest może nieświadomą reminiscencją noweli Tetmajera ze „Skalnego Podhala“).

Ale myśl naukowa Marchlewskiego nie jest myślą suchą uczonego pedanta. Splata się ona u niego stale z żywym prądem emocjonalnym. Przedmiot badania jest dla niego zawsze, zarazem przedmiotem umiłowania, zachwytu, współczucia, tkliwości. Od groźnych turni, barwnych stawów, ustronnych dolin z ich roślinnością, przez lud góralski z jego wadami i zaletami, aż do „przyjaciół świstaków“ — wszystko porusza jego wrażliwe serce. I z tego wynika troska o zachowanie pierwotnego piękna. Tatr, o ochronę ich przed zalewem przez „hałaśliwy strumień międzynarodowych globtrotterów“, przez „wspaniałe hotele, zębate kolejki“ i tłumy „gnuśnych leniuchów“, „jarmarczne zbiegowisko dystyngowanego świata“.

Tak zwana ideologia taternictwa odbiła się w licznych enuncjacjach i w zażartych sporach. Przedstawiciele poszczególnych kierunków głosili je przeważnie z przesadną jednostronnością spowodowaną stanowiskiem polemicznym: sami w swoim stosunku do Tatr kierowali się niewątpliwie motywami bogatszymi i bardziej różnorodnymi. Szkoda, że piękne „Szkice o Tatrach“, ogłoszone w Niemczech, były nam wówczas nieznane. Znalazła w nich wyraz szczerzy i prosty, pozbawiony wszelkiej megalomanii, ideologia tatrzańska głęboka i mądra, daleka od jednostronności, obejmująca cały bogaty akord motywów i nastrojów, jakie mogą człowieka łączyć z górami. Zbliży ją do Karłowiczowskiej łącznie momentów sportowych z głębszym odczuwaniem gór. Lecz gdy u Karłowicza, artyście, w tej drugiej warstwie wysuwa się na czoło doznanie estetyczne i brzmią, jako jego sublimacja, młodopolskie, indywidualistyczne nastroje „roztapiania się we wszechistnieniu“, u Marchlewskiego w tej warstwie gra nastawienie umysłu badawczego na objęcie wszystkich zjawisk zrozumieniem, połączone z gorącym uczuciem, które go spaja ze skałą, jeziorem, rośliną, góraliem i świstakiem w jedną jakby społeczność braterską. „Samotny piechur“ uprawiał swą samotność względem ludzi z miast, filistrów mieszczańskich lub snobów sportowych, ale w tej samotności wytwarzał sobie inną więź społeczną, opartą na zrozumieniu i umiłowaniu — z całym światem Tatr.

Tak, ten cichy starszy pan miałby wiele do powiedzenia naszej młodzieży w chwilach wypoczynkowych wycieczki. Mógłby mówić o stosunku człowieka do gór i o stosunku człowieka do człowieka; mógłby też się z nami podzielić niejednym wspomnieniem ze swych wycieczek, których miał za sobą więcej niż myśły przypuszczali. Wolał swoją osobę i swoje poglądy dyskretnie pozostawić w cieniu. Chciał zapewne uszanować rolę kierowniczą pana Mariusza. A może, obrawszy sobie rolę „samotnego piechura“ w Tatrach, wolał też w naszym gronie, dość mieszanym i różnolitym, zachować tę samotność, pozostawiając swoje „najtajniejsze myśli“ dla siebie?

Kraków, w marcu 1953 r.

Jerzy Lande

Powyższe wspomnienie jest ostatnią pracą taternicką Jerzego Landego, napisaną w r. 1953 dla „Taternika“.

Jerzy Lande urodził się w Dorpacie 13 listopada 1886 r. Po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu petersburskiego pracował w adwokaturze warszawskiej i Ministerstwie Sprawiedliwości. W 1921 r. objął katedrę teorii prawa w Uniwersytecie Stefana Batorego, w 1929 r. został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wraz z innymi profesorami krakowskimi w r. 1939/40 spędził trzy miesiące w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Po Wyzwoleniu stanął z powrotem do pracy profesorskiej. Umarł 10 grudnia 1954 r. po długiej, ciężkiej chorobie serca.

To są krótkie dzieje oficjalnego żywota Jerzego Landego. Lecz obok jego działalności naukowej i pedagogicznej rozwijała się inna karta jego życia, karta bogata i barwna. Jerzy Lande był człowiekiem wszechstronnym, o zainteresowaniach bardzo rozległych, a traktowanych zawsze bardzo głęboko. Zapewne najważniejszym ośrodkiem tych zainteresowań były Tatry.

Poznał je w r. 1909. Już był intelektualistą, krajoznawcą, sportowcem, fotografem. Począł je chłonać, zmagać się z nimi, radować się nimi wszechstronnie. Początkowo wprowadzony w świat wysokogórski przez Bartusia Obrochtę, rychło się usamodzielniał jako taternik. Chodził zwykle z jednym lub dwoma towarzyszami. Z Mariuszem Zaruskim i Janem Małachowskim dokonał pierwszego wejścia zimowego na Kozie Czuby 26 marca 1913 r. Pierwszy (jako prowadzący) przeszedł grań Kościelca nie schodząc z ostrza grani. Z niezwykłą cierpliwością uczył wspinaczki młodych, mniej lub więcej niezadarnych entuzjastów. Zwierzał się z przeżyć tatrzańskich — wstrzeźmięzliwie, lecz z rzadko spotykaną trafnością i barwnością (por. np. opis dwu wycieczek zimowych w „Ziemi“ z 26 lipca i 2 sierpnia 1913 r.).

Jako fotograf Jerzy Lande zajmuje bardzo poczesne miejsce wśród tych, którzy po śmierci Mieczysława Karłowicza torowali drogę fotografii tatrzańskiej od krajoznawstwa i pamiętnikarstwa do sztuki. Mając ogromne wyczucie kompozycji światłocieniowej oraz wielką wrażliwość na piękno i wyraz nastrojowy zmian, jakim ulega krajobraz górski zależnie od zmian atmosferycznych, widząc — jeden z pierwszych, na równi z Bułhakiem — wartość estetyczną fragmentów świadomie wyodrębnianych z szerszego, bardziej panoramicznego pola widzenia oka i obiektywu, znając zresztą produkcję artystyczną zagranicznej fotografii górskiej (Selli, Defnera) — Lande tworzył pejzaże piękne, klasycznie zrównoważone kompozycyjnie, przesubtelne grą światła, pełne atmosfery, poezji, pogody. Jeden z pierwszych — obok Józefa Oppenheima i Jana Jaroszyńskiego — może pierwszy z nich, wprowadził do polskiej fotografii tatrzańskiej temat turni spowitych w chmury („Suche mgły“ z r. 1911 w „Ziemi“ z 15 czerwca 1912 r.).

Na szczególną wzmiankę zasługuje humor Landego. Nadzwyczaj oryginalny, oparty nieraz na niespodziewanych, zaskakujących a głęboko trafnych zestawieniach albo na konsekwencji w rozwoju jakiejś myśli lub pomysłu aż do absurdu, stawał się najostrzejszy, najjadowitszy, gdy kierował się pod własnym adresem. I tu Tatry wraz z tym wszystkim, co się z nimi wiąże, były często wdzięcznym twórczym.

„Byli chłopcy byli, ale się mineli“. Dla tych którzy go znali, śmierć tego myśliciela, artysty i niezwykle szlachetnego człowieka stwarza w życiu lukę nie do zapelnienia. —

(J. Sunderland)

Pamięci kolegów: Zdzisława Dąbrowskiego, który zginął we wrześniu, w chwili upadku Warszawy i Jazona Bluma, zamordowanego w getcie warszawskim.

Mokra mgła oblepiała grań. Na stanowiskach asekuracyjnych dręczył wilgotny, przenikliwy chłód.

Nie wyczuwałam skalnej drogi, wytkniętej wśród przestrzeni, tylko jakieś jej fragmenty, wlepione ra ślepo w mgłę. Męczące było uczucie, że rozbijam jedność naszej trójki związanej liną: bo koledzy naprawdę „robują“ tę drogę, a ja tylko marzną i błąkam się we mgle.

Dopiero u stóp pionowego uskołu pozbyłam się tej świadomości. Wystarczyło na to tylko jednego spojrzenia w górę. Gładka, kilkunastometrowa płyta... Jakaś niewyraźna, pionowa ryska... Jeden mały stopień, którego będzie można osiągnąć bardzo wyciągniętym krokiem stąd, z siodelka.

Skąpe słowa narady mieszały się z pobrzękiem karabinków u pasa Jazona, który miał iść pierwszy. Nie przed wejściem w ścianę, ale już teraz zbierałam całą wolę na pokonanie trudności.

Zdzisław powiedział do mnie: — Tutaj ja będę asekurował — okręcił linę wokół sterzącego bloku i zaparł się między nim a ścianą, tracąc z zasięgu wzroku płytę. Patrzyłam w górę i od czasu do czasu informowałam go o skuteczności wysiłków prowadzącego.

— Wygląda tak, jakby tam nie było wcale chwytów w tej rysie... Chce wbić trzeci hak, ale...

— No, co? — zniecierpliwił się po chwili Zdzisław.

Z góry dobiegł głuchy, metaliczny dźwięk.

— Trzyma?

— Tak.

Po jakimś czasie spytał znowu: — No, co?

Jednocześnie Jazon z góry uśmiechnął się do mnie smutnawo i zrobił jakiś gest na temat, że „nie jest lekko“. Pokiwałam mu głową.

— Wszedł jeszcze ze dwa metry, ale wraca — odpowiedziałam Zdzisławowi. Musiałam rozetrzeć na karku ból unieruchomionych mięśni. Ile czasu to już trwa? Która to godzina?

Wreszcie mogłam powiedzieć: — Przetrawersował całkiem na lewo. Tam jest szalona ekspozycja, ale truchę wyżej jest już nieco mniejsze nachylenie. Nie widzę dobrze, ale zdaje mi się, że teraz...

— Teraz już puści — oznajmił Jazon z góry.

Zdzisław spojrział na zegarek: prawie godzina. Wysunął się zza bloku, stanął koło mnie i wymijając mój wzrok powiedział:

— To można ominąć, wprost z siodelka, tędy na prawo. Jest całkiem łatwo... Więc. Widocznie myślał, że się boję.

— Nie — odpowiedziałam i, dosięgnąwszy ledwie widocznego stopieńka, zaczęłam szukać po skale punktu zaczepienia dla rąk.

Z tego miejsca, co to „teraz już puści“, spojrzalam wreszcie w dół. Tak jak poprzednio Zdzisław na mojej, tak obecnie ja na jego twarzy ujrzałam refleks wę-

drówki po płycie w górę. Wydał mi się trochę przedramatyzowany teraz, kiedy płyta była już poza nią, więc roześmiałam się i zawołałam:

— Czy to naprawdę było takie strasznie trudne?

Podczas powrotu do Rożtoki mówiliśmy o naszej nowej drodze w Grani Apostołów, o tatrzańskiejskiej skali trudności, o dopiero co przebytej nadzwyczaj trudnej „płycie Bluma“. Idąc spokojnie dobrze znaną ścieżką nie przeczuwaliśmy, że nadchodząca przyszłość kryje w sobie sprawy tak trudne, że zabraknie dla nich miejsca w skali naszych dotychczasowych ludzkich przeżyć.

Halina Wyżanowicz

Z DZIEJÓW ALPINIZMU RADZIECKIEGO I WALK NA KAUKAZIE W CZASIE WOJNY

W sierpniu 1942 r. sytuacja wojskowa na Kaukazie była poważna i skomplikowana. Wojska hitlerowskie parły na wschód wzdłuż gór, usiłując jednocześnie przedrzeć się przez główny ich grzbiet na południowe stoki. Wąwozami zachodniego Kaukazu posuwały się ku Elbrusowi dywizje alpejskie. Ciężkie walki trwały w rejonie Przełęczy Kluchowskiej, przez którą prowadzi droga z północy na południe, do portu Suchumi, leżącego nad brzegiem Morza Czarnego, już poza barierą wysokich gór.

Oddziały strzelców niemieckich przedostały się na zbocza Elbrusu. Przez przełęcz Chutiu-tau dotarły do schroniska pod szczytem i do obserwatorium meteorologicznego. Stąd usiłowały przeciąć wszelką łączność działających w Kabardzie oddziałów radzieckich z leżącą na południowych stokach Kaukazu Swanecją. Co prawda łączność ta, ze względu na wysokość przełęczy i ich alpejski charakter, wydawała się problematyczna, a jakkolwiek ewakuacja przez nie większych oddziałów wojskowych czy cywilnej ludności nie wydawała się możliwa.

W owym czasie hitlerowskie radio i prasa obwieściły światu o nowym „wspaniałym zwycięstwie“, o pełnym rozbiciu radzieckiego garnizonu, broniącego ważnej placówki wojskowej: obserwatorium meteorologicznego pod szczytem Elbrusu. W istocie rozbity „garnizon“ składał się z jednego stróża, który pilnował budynku. Ale nie o rozbicie mitycznego garnizonu chodziło, a o nowe propagandowe sukcesy. Pobyt wysuniętych oddziałów górskich w okolicach Elbrusu pozwalał na wypuszczenie sensacyjnych komunikatów. I tak kolejno podano do wiadomości zdobycie schroniska, a wkrótce potem — wielka sensacja — zatknięcie flagi na Elbrusie, najwyższym szczycie Europy, symbolu „bezustannego postępu naprzód wielkiej armii niemieckiej“.

Tymczasem na północy wojska hitlerowskie parły dalej, przebijały się w kierunku na Nalczyk. Na drodze z Piatigorska do Nalczyku opanowały osadę Ruski Baksan, gdzie szlak się rozwidla, wysyłając boczną odnogę, podchodzącą od wschodu pod Elbrus. W ten sposób przerwane zostało wygodne połączenie górnej części Doliny Baksanu z Nalczykiem. Sytuacja Górnej Baksanu była krytyczna.

Dzieje walk w Kaukazie zostały opisane kilkakrotnie w literaturze radzieckiej. W grubym tomie poświęconym 25-leciu radzieckiego alpinizmu: „K wierszinam sowietzkiej ziemi“ (1949), dziejom ewakuacji załogi kopalni położonej w dolinie Górnej Baksanu poświęcił artykuł A. Sidorenko, a laureat nagrody stalinowskiej N. Tichonow poświęcił jeden ze swych wierszy walkom o Przełęcz Sancarską. Najobszerniej opisał walki o Kaukaz korespondent wojenny W. Zakrutkin. Tłumaczenie jego książki jest u nas od dawna wyczerpane. Tom opowiadań Zakrutkina został wznowiony w ZSRR w r. 1954 pt. „Kawkazskie zapiski“. Podajemy w streszczeniu dwa epizody z walk według Sidorenki i Zakrutkina.

Wierni wezwaniu dowództwa: „niczego wrogom nie zostawić“ — pracownicy kopalni rudy, położonej w Dolinie Baksanu, przygotowywali się do wysadzenia kombinatu w powietrze. Obsada obozu alpinistycznego „Bolszewik“, odległego o 17 km od opanowanego przez wroga szczytu Elbrus, wezwana została do przeprowadzenia ewakuacji pracowników kombinatu i ich rodzin; razem było około 1500 ludzi, w tym wiele kobiet, starców i dzieci.

Jedyną możliwością, która pozostawała wobec odcięcia dróg, prowadzących z gór, było przejście szlakami, wiodącymi przez wysokie przełęcze Głównego Grzbietu Kaukaskiego na Zakaukazię.

Wznoszące się ponad 3000 metrów przełęcze Beczo i Donguz-Orun, dla alpinistów nie były poważną przeszkodą. Aż do czasu wojny każdego lata liczne grupy turystów, zdobywających umiejętności alpinistyczne, przedostawały się między szczelinami lodowców, przechodziły przez skały, strzegąc się kamiennych lawin i wychodziły na przełęcze po stromych, śnieżnych zboczach. Ale to byli ludzie przygotowani. Oni sami wybierali szlak, mieli świadomość jego trudności, byli w odpowiedniej kondycji fizycznej. Prowadzeni przez doświadczonych przewodników turyści osiągnęli śnieżne przełęcze i schodzili w dół, do Swanecji.

A teraz sześciu ludzi miało przeprowadzić przez te przełęcze kobiety z niemowlętami, dzieci i starców, chorą na gruźlicę maszynistkę o jednym płucu i starca z poważną wadą serca.

Postanowiono iść przez przełęcz Beczo. Alpiniści w bazie turystycznej Tegenekli przygotowywali, uczyli i uspakajali ludzi przed wymarszem. Wywiesili szkic drogi, fotografie ze szlaku, schematy wyjaśniające przejście. Wynieśli z magazynu sprzęt górski i demonstrowali jego użycie. Podzielono wszystkich na grupy (po 100—120 osób), które kolejno miały przebywać trasę. Każdą grupę przeprowadzało przez przełęcz dwóch alpinistów-instruktorów.

Prześcieradłami przywiązywano matkom młodsze dzieci na piersiach, starsze na plecach. Dorośli otrzymali, wobec braku odpowiedniej ilości czekanów, zaostrzone na końcach kije. Rozdano przeciwodblaskowe okulary. Za przewodnikiem na początku pochodu szli najslabsi, dyktując odpowiednie dla swoich sił tempo.

Szlak między szczelinami lodowymi wyznakowano kopczykami z kamieni. Na stromych miejscach wyrabano stopnie. Ostrożnie przechodzono lodowe mosty, trzymając się rozpiętej poręczy z lin. Miejsca znajdujące się pod obstrzałem kamieni i urywających się z góry kawałków lodu, kolumna przechodziła jak najszybciej, małymi grupkami. Jak dotąd — szczęśliwie obywa się bez wypadków.

Nagle niesący żywność osiołek, nie mogąc utrzymać się na lodowym stoku, wali się w dół, strącając następnego. Szybko nabierają pędu, spadają po urwiskach. Po chwili pochłonęła je szczelina lodowa. Dzieci są przerażone. Alpiniści przenoszą je kolejno przez niebezpieczne miejsca. Chorą, bezsilną maszynistkę cały czas niosą na plecach.

Wreszcie przełęcz. Wysokość 3375 metrów. Wyczerpani ludzie długo i ciężko dyszą. Ale twarze się rozjaśniają: na przełęczy spotkano żołnierzy, którzy przygotowują obronę. Spotkanie jest wzruszające. Żołnierze na chwilę przerywają pracę, wspominają swoje rodziny, częstują dzieci cukierkami. Zmęczeni ciężką drogą ludzie poczuli się bezpieczni: widzą, że czuwa nad nimi Czerwona Armia.

Potem już tylko w dół, ale i tu droga nie łatwa. Nawet niżej czekają jeszcze groźne przepawy przez wzburzone górskie potoki przecinające szlak.

Przeprawa była trudna i ciężka. Ale nikt się nie skarżył. Mocniejsi pomagali słabszym. Uparcie przewyciężając trudności, 1300 dorosłych i 230 dzieci przybyło szczęśliwie przełęcz. Wypadku z ludźmi nie było. Większość dzieci przez wszystkie trudniejsze miejsca została przeniesiona na plecach alpinistów. Ewakuacja pracowników kombinatu została szczęśliwie zakończona.

Niedługo potem, w zimne jesienne dni, rozpoczęła się epopeja dywizji generała Kuparadze, o której opowiada korespondent wojenny Zakrutkin.

Po wyparciu hitlerowców z południowego brzegu Baksanu dywizja przez cały wrzesień i październik odpierała ataki wroga. W końcu października przyszło natarcie generalne: nieprzyjaciel rzucił w bój samoloty, czołgi, bataliony motocyklistów. Hitlerowskie komunikaty radiowe ogłaszały tryumfalnie, że rozpoczęło się niszczenie dywizji.

Dywizja odcięta była od dróg komunikacyjnych, a więc pozbawiona dowozu amunicji. Przyparta do gór, okrążona, za plecami miała wysokie góry i przełęcze, na których leżał już głęboki śnieg. Rozpoznanie mówiło, że przez przełęcze mogą przejść w tych warunkach tylko najwytrzymalsi i najzdrowsi ludzie. A więc szpital z rannymi, wszystkich słabszych, działa, tabory, samochody, oraz 28.000 sztuk bydła, owiec i koni, które ewakuowano z kolchozów — trzeba będzie zostawić w dolinach.

Tymczasem trzeciego listopada przyszedł rozkaz, który brzmiał: „Wyprowadzić dywizję na południowe zbocza“. Nie „próbować wyprowadzić“ — ale właśnie „wyprowadzić“.

Generał Kuparadze znał dobrze góry. Na pomoc musiało też przyjść całe doświadczenie radzieckich alpinistów i turystów. W dywizji było wielu Gruzynów wychowanych w osiedlach górskich.

Tym razem wybrano przełęcz Donguz-Orun. Leżał na niej 2-metrowy śnieg, szalały listopadowe zamiecie. Ogólna długość drogi przez przełęcz wynosiła około 8 km, w tym 2 kilometry bardzo stromego wzniesienia i 2 równie stromego spadku. Na 2 kilometry wzniesienia — półtora był to lód i śnieg.

Przełęcz należało przystosować do przejścia dywizji. Saperzy puścili w ruch aparaty tlenowe i do spawania elektrycznego. Przygotowano metalowe, spawane sanie. Z drzew i spilowanych słupów telegraficznych sporządzono prymitywne wyciągi. Przy pomocy haków i kotwic w najtrudniejszych miejscach trasy zostały umocowane dźwigi. Podciągano do góry wielkie bębny wyciągów.

Nacisk wojsk nieprzyjacielskich wzmagał się, ale kompania osłaniająca pod dowództwem polityczno-wychowawczego oficera Lursmanszwili jakby wrosła w swoją linię. Tu właśnie Lursmanszwili okrył się nieśmiertelną sławą; otrzymał potem tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Tymczasem 150 żołnierzy dzień i noc torowało drogę. Wiechami oznaczali szlak przez pola lodu i śniegu. Lopatami rozkopywali zasy, wyrąbywali lodowe progi, umacniali wyciągi do podnoszenia ciężarów. Pracując dzień i noc przebili trzy równoległe ścieżki, a wzdłuż każdej z nich przeciągnęli liny. Idąc po tych ścieżkach piechurzy mogli nie tylko trzymać się lin, ale i ciągnąć po linie skrzynki i worki z ładunkiem. Dla bydła wyrobiono specjalną ścieżkę wznoszącą się możliwie łagodnymi serpentynami.

Dnia 6 listopada wieczorem, w przeddzień 25-lecia Rewolucji Październikowej, zczerniali od mrozów, z opuchniętymi twarzami i łzawiącymi oczami, saperzy meldowali, że przełęcz Donguz-Orun jest już przygotowana do przemarszu dywizji.

Jako pierwsze poszły oddziały kwatermistrzowskie, szpital i sztab. Dowódca dywizji dowodził osłoną. Potok ludzi i zwierząt w głębokich ciemnościach ruszył w drogę. Ludzie szli wolno, często zatrzymując się, ciągnąc karabiny maszynowe, moździerz, granaty. Rannych niesiono jeszcze wolniej na noszach. Saperzy oczyszczali ścieżki, rozpalali na taflach lodowych ogniska, umieszczali wokół nich osłabłych żołnierzy. Sanitariusze udzielali doraźnej pomocy.

Przywiązani do lin ludzie powoli, metr za metrem zdobywali wysokość. Przystawali co dwie, co trzy minuty. Drętwiały im palce u rąk, oczy łzawiły od wichru i olśniewającej bieli śniegu, nogi drżały z wysiłku. Na ścieżce dla bydła trzeba było robić

stale nowe nacięcia, wytyczać nowe obejścia, przetrzymywać przerażone zwierzęta na wąziutkich platformach.

Ruch dywizji został wykryty. Oddziały wysokogórskie wroga, rozlokowane w rejonie Elbrusu, usiłowały przeciąć drogę. Bezsukutecznie! Specjalne oddziały radzieckie broniły całego systemu elbruskich przełęczy.

Przemarsz odbywał się dniem i nocą. Czwartej nocy czołowe oddziały zbliżyły się do grzbietu przełęczy. Pozostałe wyciągnęły się długimi węzami po ścieżkach. Zerwała się zamieć. Wściekły wiatr niósł nad górami chmury śniegu, zasypywał ścieżki, zbijał ludzi i zwierzęta z nóg, przelatywał z wyciem wawoży, porywając ze sobą bryły granitu i lodu.

Bataliony straży tylnej, którymi dowodził generał Kuparadze, oderwały się od nieprzyjaciela, niszcząc za sobą mosty i ścieżki.

Szóstego dnia czołowe oddziały minęły przełęcz i poczęły schodzić w dół, na południe. Przemarsz dywizji przez pokrytą lodem i śniegiem przełęcz Donguz-Orun trwał 10 dni i nocy. Dywizja przeniosła przez góry około 400 rannych, przetransportowała całe uzbrojenie i sprzęt, przeprowadziła na Zakaukazie tysiące sztuk bydła. Dywizja nie straciła przy tym ani jednego człowieka.

Dnia 22 listopada zaczęło się natarcie wojsk radzieckich pod Stalingradem. Niedługo już miała powiewać flaga hitlerowska na szczycie Elbrusu.

W początku 1943 roku zaczął się odwrót najeźdźców. Uciekali spod Elbrusu, uciekali pospiesznie z całego północnego Kaukazu. Wkrótce nie było już ich w górach, została tylko po nich flaga na szczycie.

Wtedy to alpinści radzieccy, wchodzący w skład zakaukaskich oddziałów wojskowych, zwrócili się do dowództwa z prośbą o pozwolenie wejścia na Elbrus celem zdjęcia wrogiej flagi. W mroźne dni lutowe (13 i 17 lutego) 20 oficerów radzieckich w dwu grupach pod wodzą zasłużonych mistrzów sportu N. Gusaka i A. Gusiewa weszło na oba szczyty Elbrusu, zrzuciło szczątki flag hitlerowskich i zatknęło czerwone sztandary.

Opracował *Justyn T. Wojsznis*

WYCIECZKA W GÓRY RILA

Wieczorem dnia 3 lipca 1955 roku znalazłem się, jako uczestnik wycieczki dziennikarzy polskich do Bułgarii, w hotelu Balkanturist przy sławnym klasztorze Rila w dolinie rzeki Rila, wgłębiojonej w masyw Rila Planina, najwyższego łańcucha górskiego na Półwyspie Bałkańskim. Dysponując nazajutrz kilku godzinami czasu (autokar wycieczkowy miał odjechać o godz. 15) dokonałem stąd — samotnie — szybkiego, „zrywowego“ wypadu na rdzenną grań Rila.

Wyruszyłem (w trampkach i krótkich spodniach, bez żadnego obciążenia) z klasztoru Rila (1148 m) o godz. 8,30, obierając do wejścia grzbiet, zbiegający z grani wprost do klasztoru. Wygodną leśną ścieżką osiągnąłem już o godz. 9,20 wysoki garb u górnej granicy lasu. Stąd owczymi perciami w górę, następnie stromym, trawiastym grzbieciem przechodzącym w grzbiet złomiski, porośnięty płozącymi się krzewami jałowca, które w Rila pełnią po trosze rolę kosodrzewiny tatrzańskiej (zresztą marszu nie utrudniającej).

Już o godz. 11,40 dotarłem do głównej grani, w dwuwierzchołkowym drugorzędnym szczycie, którego nazwy nie zdołałem się dowiedzieć (płaty śnieżne). Obracając się stąd ku wschodowi, osiągnąłem o godz. 12,10 wierzchołek Mała Malovica, po czym o godz. 12,30 stanąłem na wysuniętym ku północy, w bocznej grani wzniesionym, głównym wierzchołku Zachodniej Rila, szczycie Malovica (2731 m). Drogę w szerokiej,

trawiastej przechylinie wyznaczały drewniane paliki w kopczykach (na kopczyki typu tatrzańskiego natrafiłem poniżej w drodze grzbietowej), ostatnia część grani jest zwężona i jednostronnie skalista. Powrót — tą samą drogą — do klasztoru Rila: godz. 14,35. Pogoda, zrazu słoneczna i upalna, później stopniowo pogarszała się aż do wielkiej burzy (po południu).

Przeważna część gór Rila ma charakter zachodniotatrzański: wejście na Malowice przypomina wejście przez Blyszcz na Bystrą. Nie cała Rila pozbawiona jest jednak partii skalistych. Właśnie w pobliżu Malowicy — którą A. Bałkański w artykule „Góry Rila“ (ogłoszonym w czasopiśmie „La Bulgarie d'aujourd'hui“, zeszyt z maja 1955 r.) nazywa „la plus belle partie de la montagne“ — wznosi się grupa granitowych szczytów i turni, wyposażona w urwiste ściany. Jest to przede wszystkim gniazdo Orlovca, a także masyw Zlija Zab, w którego okolicy skupia się wspinaczkowa działalność bułgarskich alpinistów (Kolo Alpinistów w Wyższym Instytucie Fizykultury); prowadzą tu oni stałą szkołę wysokogórstwa. Alpinistycznie grupa jest już dość dobrze poznana, m. in. parokrotnie przebyta została pn. ściana Malowicy (ku wschodowi opada ów szczyt niskimi ściankami do zawalonego śniegiem kotła wysokogórskiego, podobnego do Wyżniej Równi Waksmundzkiej pod graniami Wołoszyna i Koszystej).

Piękny, przestrzenny widok z Malowicy obejmuje nie tylko całe pasmo Rila (rozsleglejsze nieco niż Tatry) wraz z położonym daleko ku wschodowi najwyższym szczytem Półwyspu Bałkańskiego, Stalinem (dawniej Musalla, 2925 m) — lecz również drugie najwyższe pasmo górskie Bałkanów, Pirin Planina (szczyty: Wichren, dawniej El Tepe, 2915 m i Kutala, 2910 m). Ów Pirin jest mniej schodzony niż Rila, ale — zdaniem alpinistów bułgarskich, z którymi miałem okazję rozmawiać w miejscowości Borovec („bułgarskie Zakopane“) — pod względem wysokogórskim ustępuje nieco Rile.

Wchodząc na Malowice nie dysponowałem żadnym przewodnikiem ani tym mniej mapą. Nie znaczy to, by Rila była niezagospodarowana (na jej terenie znajduje się 10 schronisk) i by nie istniała na temat tych gór obszerniejsza literatura. Jest ona jednak obecnie wyczerpana, a nowe opracowania jeszcze się nie pojawiły. Jako jedyny drogowskaz orientacyjny musiała mi więc wystarczyć książka „Turistyczeskije chiži w Bulgarija“, wydana w 1953 r. przez Fizkulturę; jest to spis schronisk, uzupełniony krótkimi uwagami topograficznej i przewodnikowej natury. Brak współczesnych dostępnych przewodników po Rila jest tym bardziej dotkliwy, że — o ile mogłem się zorientować — ruch turystyczny w tych górach jest dość żywy i również szkoła wspinaczkowa pod Zlija Zab cieszy się powodzeniem.

Na zakończenie jedna uwaga: w przeciwieństwie do rozległych, przez całą Bułgarię ciągnących się, dość monottonnych, o beskidzkim charakterze gór Stara Planina (Bałkany, najwyższy szczyt Botew, dawniej Jumruk czał, 2376 m) — są zarówno Rila Planina jak Pirin Planina malowniczymi pasmami o typie gór wysokich, alpinistów mogące również zainteresować. Są to przy tym góry naszych przyjaciół. Tym bardziej żalować należy, że poznanie ich przez turystów polskich ogranicza się dotychczas tylko do wejścia (zwykłą drogą, z Borovca) na szczyt Stalin (grupa geografów polskich w latach międzywojennych). Również podawane dotychczas, np. w „Taterniku“, informacje o tych górach (Tat. XIX, 79; XX, 110; XXII, 174) są nie tylko bardzo skąpe, ale i nie bez omyłek. Moim zdaniem, przemyślany projekt wyprawy alpinistów polskich w góry Bułgarii warto i należy wstawić w ogólny plan polskich zamierzeń wysokogórskich. Wycieczka taka mogłaby dać sporo doświadczeń, a nie musiałaby być ani wieloosobowa ani długotrwała. W jej składzie mogliby się znaleźć również speleolodzy, w Bułgarii nie brak bowiem ciekawych grot i istnieje Bułgarskie Towarzystwo Jaskiniowe, które w latach 1948/49 odkryło niezwykle rysunki przedhistorycznych artystów w jaskini Magura.

Jan Alfred Szczepański

PIERWSZA W POLSCE WIADOMOŚĆ O NAJWYŻSZEJ GÓRZE ŚWIATA

Przeglądając roczniki dawnego wydawnictwa pt. Księga Świata, wychodzącego w Warszawie w latach 1851—1858, natrafiłem na krótki anonimowy artykuł, który prawdopodobnie stanowi pierwszą w Polsce wiadomość o najwyższym na kuli ziemskiej szczycie, Czomolungma (Mount Everest). Przytaczam tu ten artykuł w całości:

NAJWYŻSZA GÓRA NA ZIEMI

Na jednym z ostatnich posiedzeń towarzystwa geograficznego w Bengalii, pan Thuillier doniósł zgromadzonemu, że pułkownik Waugh ukończył pomiar wysokości szczytów łańcucha Himalaja. Wypadkiem tej pracy jest pewnik, że góra Kunchinjing nie jest, jak dotychczas mniemano, najwyższym punktem naszego globu. Godność ta należy się górze położonej o 100 mil (franc.) dalej na zachód, między Kunchinjingą i Katmandu. Spostrzeżenia pułkownika Waugh dowiodły niezbicie, że wierzchołek tej góry podniesiony jest nad powierzchnią morza 29,002 stóp, gdy tymczasem wysokość Kunchinjinga wynosi tylko stóp 28,156, a Dawalagiri (przez wielu dotąd uważanej za najwysioślejszą) 26,826. Dla ust europejskich nieprawdopodobieństwem jest wymówić miejscowe miano nowozmierzony góry: pan Wough przeto nazwał ją Mont Everest, na cześć jednego z dawniejszych badaczy łańcucha Himalaja. Obecnie oczekiwane są w Europie bliższe o tej górze wiadomości.

(Księga Świata, tom 6, rok 1857, część pierwsza, str. 158).

Znamiennym jest podany w powyższym artykule fakt, że wbrew powszechnie powtarzanej wersji znana już wówczas była nazwa tubylcza tej góry, a mimo to Anglicy nadali jej nazwę sztuczną, Mount Everest (por. Tatarnik XXI, 1936/7, nr 5, str. 154—155).

Witold H. Paryski

PIERWSZE PRZEJŚCIE GŁÓWNEJ GRANI TATR

Dnia 3 września 1955 roku o godzinie 10,20 opuściliśmy gościniec nieco przed Zdziarską Przełęczą i zanurzyliśmy się w las. Było jesiennie, cicho i słonecznie, brzęczały muchy, pachniało igliwem i poziomkami. Wysoko ponad szczytami drzew, o 1100 metrów nad nami biała wysmukła piramida czub Hawrania.

Gdy w trzy godziny później stanęliśmy na jego szczycie, pierwszym szczycie głównej grani Tatr, otworzył się przed nami bezmierny świat. Słońce schodziło już z południa i pod jego mżącym blaskiem góry stały przymglone, błękitne, tajemnicze i bardzo dalekie. Na wprost nas leżał cały łuk Tatr Wysokich. Olbrzymi masyw Lodowego zawałił pół świata. Dalej ciągnęły się szczyty i szczyty bez końca, coraz bardziej błękitne i srebrne plany mieszające się, zachodzące jedno na drugie, kładące się na horyzoncie nieregularną, poszczerbioną piłą. Jej zęby znaczyły etapy zamierzonej drogi: Jaworowe, szeroki Świstowy, Zadni Gierlach, Wysoka, Rysy, Mięguszowieckie, daleka, och! jakżeż daleka Świnica, ledwo widoczna zza grani Granatów i Koziego Wierchu. Na prawo od niej widać było Kasprowy, a w oddali, za szerokim siodłem Gładkiej Przełęczy siało sfalowane, niekończące zda się morze szczytów Tatr Zachodnich.

Widok był ogromny, wspaniały. Cel był odległy, ciężki, daleki — lecz piękny. Czuliśmy się mali i słabi, lecz byliśmy spokojni i zdecydowani i cieszył nas trud, który nas czekał. Początek leżał już za nami, tam gdzie smuga gościńca wila się wśród lasu pod Małym Wierchem, pod Białą Ścianą. Końca nie było widać...

Główna grań Tatr ciągnie się zygzakowatą, łamaną linią od Zdziarskiej Przełęczy (1081 m) na wschodzie po Huciańską Przełęcz (ok. 930 m) na zachodzie. Długość jej wynosi 75 km, z czego 7 stanowią Tatry Bielskie, 26 Tatry Wysokie i 42 Tatry Zachodnie. Kulminacyjnymi jej wzniesieniami na całej długości są Lodowy Szczyt (2630 m) i Zadni Gierlach (2630 m) w Tatrach Wysokich, na odcinku Tatr Bielskich — Hawrań (2154 m), na długim odcinku Tatr Zachodnich — Banówka (2278 m) i Starorobociański Wierch (2175 m). Największe obniżenie w grani i tworzą przełęcz Palenica (1574 m) i Tomanowa (1686 m) w Tatrach Zachodnich i Przełęcz pod Kopą (1756 m) oddzielająca Tatry Bielskie od Wysokich. Prócz nich przełęcze w Tatrach Wysokich wyjątkowo schodzą poniżej 2000 m, zaś w Tatrach Zachodnich poniżej 1800 m. Różnica wzniesień całej grani, nie uwzględniając oczywiście wszystkich mniejszych zębów i niesamodzielnych turniczek, wynosi w przybliżeniu 22 100 m, z czego na Tatry Bielskie przypada około 2250 m, na Tatry Wysokie 10 700 m, a na Tatry Zachodnie 9150 m.

Ilość szczytów wznoszących się w głównej grani Tatr nie jest łatwa do ustalenia, gdyż coraz to mniejsze i mniej wybitne turniczki i kopy zyskują sobie oficjalne nazwy. Licząc oczywiście jako jednostki wszystkie szczyty dwu- i kilkuwierzchołkowe (jak Jaworowy, Wysoka itp.), a dalej nawet wszystkie obejmowane wspólną nazwą zbiorową (jak Papirosowe Turnie, Zbójnickie Turnie, Śnieżna Kopa, Suche Czuby lub Tzy Kopy), nie licząc natomiast tego rodzaju „samodzielnych“ i nazwanych kilkumetrowych „szczytów“ jak Chłopek lub Igła w Banówce oraz garbów takich jak Wyżni i Niżni Kostur i wzgórz w zasięgu regli na obu końcach, otrzymamy w całej grani 97 szczytów: 3 w Tatrach Bielskich, 62 w Tatrach Wysokich i 32 w Tatrach Zachodnich.

Nie było dotychczas próby, a o ile mi wiadomo nawet projektu przejścia w jednej wyprawie całej grani Tatr. Jako problem stawiane było zawsze przebycie wyłącznie grani Tatr Wysokich, ewentualnie z niewielkim odcinkiem Tatr Bielskich. Kilka prób taterników polskich w okresie przedwojennym (p. Tat. XV: 150; XIX: 28) nie doprowadziło jednak do jego rozwiązania. Problem okazywał się cięższy niż można było przypuszczać. Najbardziej zaawansowana próba Jana Staszla i Pawła Vogla w 1934 r., zaczynająca od Murania, załamała się po 11 dniach, wskutek uporczywej niepogody, na Rysach po przebyciu ok. 3/4 trasy. Rozwiązanie przyniosła dopiero pieczołowicie przygotowana sześciodniowa wyprawa Adama Górki i Kazimierza Paszuchy w lipcu 1946 r. (p. Tat. XXIX: 20,36). Później grań Tatr Wysokich stała się modną; doczekała się kilku przejść polskich i kilkunastu czeskich i słowackich, przejść kobiecych, przejść zimowych. Ciągłe jednak trawersowanie grani Tatr Wysokich pozostaje bardzo poważną pod każdym względem wyprawą, a niewywieńczone powodzeniem próby są o wiele częstsze od przejść.

Projekt naszej wyprawy pochodził od Jana Staszla i on też, jednomyślnie na to stanowisko obrany, był jej kierownikiem.

Dnia 13 września po południu schodziliśmy z Siwego Wierchu. Było jesienno, dżdżysto, mgliście i wietrznie. Od samego rana szliśmy w mlecznym тумanie i szalejącym z niezwykłą siłą halnym wietrze. Stanąwszy na Brestowej tylko niespodziewanemu chwilowemu przejaśnieniu zawdzięczaliśmy, że dojrzelśmy Siwy Wierch i mogliśmy w ogóle nań trafić. Omiatani wichrem niosącym fale uporczywego, drobnego, zimnego deszczu, zatopieni we mgle, schodziliśmy fantastycznym, zapuszczonym, starym szlakiem poprzez Białą Skałę, 900 metrów w dół, ku Huciańskiej Przełęczy. Ścieżyna wiała się wśród wapiennych turni, szczelin, uskoków, wspinała na granie, spadała w niespodziewane dolinki i rozpadliny. Z mgły wyrastały dziwne ogrody skalnych iglic, maczug, jakichś ni to ptaków, ni to smoków. Mokre trawy opływały nogi, kiście kosówek chłastały po twarzy i plecach.

O godzinie 16,30 wychynęliśmy z lasu na drogę przed leśnicówką Biała Skała, tuż pod Huciańską Przełęczą.

W parę godzin później, minąwszy Huty, gdzieśmy się wreszcie mogli najeść do syta chleba, szliśmy Wąwozem Kwaczańskim w dół. W wysokich dziurach między czarnymi chmurami migotały gwiazdy, wśród drzew zapalały się ogniki świętojańskich robaczek, głęboko w dole szumiał potok. Za lasem, za niższymi górami, daleko na południu wzrastała ogromna, krwawa łuna i oblewała niebo ponurym, rudym blaskiem. Gorzało gdzieś w stronie Liptowskiego Świętego Mikołusza, jakby

cień Janosika wrócił owym jesiennym wieczorem na tę ziemię — i wiódł nas ten daleki pożar ku dolinom...

Jak opowiedzieć tych jedenaście dni spiętych w całość klamrami dwóch przełęczy? ..Nocami zniżał się ku nam przepych wygwieżdzonego, wrześnieowego nieba i spóźniony księżyc wychodził spoza szczytów. Na stawach wykwitwały delikatne, szklane pióra mrozu...

Rankami, ledwo zamajczyło nad oczami płótno namiotu, wyrwał nas Jano ze śpiworów z nieładną precyzją budzika. Raz tylko, jeden raz, udało się nam urwać mu pół godziny, gdy mu Zbyszek przesunął wieczorem wskazówki zegarka...

Przez szereg dni z rzędu o tej samej porannej godzinie widzieliśmy na dole pociąg sunący niskimi polami gdzieś między Popradem a Ważcem: cieniutka, czarna wstążeczka pod białą smużką dymu...

W Dolinie Zimnej Wody kłębiło się zaróżowione wschodem morze mgieł, podpywało pod Żółtą Scianę. Z Rówienek pędziły ku nam fantastyczne stada spiętrzonych chmur, brzemienych deszczem i gradem. Mieliśmy szczyty słoneczne i szczyty we mgle. Mamiło nas widmo Brockenu...

Na Małym Jaworowym pioruny waliły w grań i turkot grzmotów staczał się długim echem w doliny. („Na Jaworowych mam zawsze burzę“ — mówił Jano. „Ależ nas tu złało!“ Nie było chyba szczytu, na którym by nie wspominał swojej wyprawy z Pawłem: „Tu nas złało“). Na Trzech Kopach, na Banówce, na Salatyńskim oddech halnego zwałal nas z nóg, tumaniała mgła...

Na Zędnim Gierlachu pierwszy raz powiedzieliśmy sobie: „Nie będziemy już mieli wyższego szczytu!“ — i uśmiechnęliśmy się radośnie. Pótem powtarzaliśmy to samo na Wysokiej, na Rysach, na Mięszowieckim, na Cubrynie, na Świnicy. A ostatniego dnia, od Rohaczy, liczyliśmy już niecierpliwie pozostałe do końca szczyty: jeszcze osiem, jeszcze siedem, jeszcze sześć... jeszcze jeden!

Spotykaliśmy na grani platformki przyłączone do skał, wyrównane pracowitymi rękami, murkiem odgradzone od przepaści: tu spali koledzy. Na niektórych szczytach było ich po kilka: na Batyżowieckim, na Zmarzłym, na Lawicy pod Wysoką. Nazwiska tych, co je budowali znajdowaliśmy w książeczkach szczytowych: szły, były, potem się gubiły, czasem pojawiały się na którymś z dalszych szczytów, często nie. Wpisywaliśmy i nasze. Byliśmy ostrożni — pisaliśmy tylko „od Zdziarskiej Przełęczy“. Nie pisaliśmy „do...“

Jak opowiedzieć tych sto szczytów, sto przełęczy, ową całą „słoneczność wielkich wyżyn“, a równocześnie cały niezmierny trud wyprawy? Bolesną szorstkość granitu i oszlizłość namokniętych porostów. Przygniatające brzemie worów, słone strużki potu spływające wzdłuż nosa. Gwizd kamienia mierzącego kilkusetmetrowym łukiem wprost w głowę Jurka, krzyk i skok, które uratowały mu życie. I ludzi, których mijaliśmy przechodząc: owe dwie mile dziewczyny poznane u wodopoju w przedwieczór wyjścia, pożegnane pod Oстрыm, tych chłopaków — Morawiaków, co nas poczęstowali puszką słodkiego mleka pod Wołową Turnią i samotnego turystę — w środku piekła szalejącego na Smutnej Przełęczy. I zapach trawy. I delikatne kształty goryczek. I płomień wiatry w ostatni wieczór pod Rohaczami. I smak ostatniej tabliczki czekolady...

Już nawet nie jak, ale co opowiedzieć, aby w tym była Grań...

Najważniejsze — żeśmy doszli!

Przejścia dokonaliśmy w pięciu: Zbigniew Hegerle (Kraków), Zbigniew Krysa (Warszawa), Jerzy Piotrowski (Kraków), Ryszard Wiktor Schramm (Poznań) i Jan Staszal (Warszawa). Najmłodszy z nas miał lat 30, najstarszy — 40.

Rozważając projekt przejścia całej grani Tatr postawiliśmy sobie dwa plany działania: plan maksimum przewidywał przejście całej grani ściśle poprzez wszystkie leżące w niej szczyty i przełęcze; plan minimum nie był dokładnie określony, a jego zasadniczym punktem było ukończenie przejścia niezależnie od warunków. Momen-

tem ograniczającym był czas: ze względu na konieczność przekroczenia granicy w określonym terminie mieliśmy do dyspozycji najwyżej 12 dni. Ułożony z grubsza „rozkład jazdy“, nie przewidujący żadnych dłuższych przerw, zamykał całość grani w jedenastu dniach. Ramowe plany były też ustalane na poszczególne dni.

Zdawaliśmy sobie w pełni sprawę z wielkości czekającego nas przedsięwzięcia i połączonego z tym wszechstronnego wysiłku, toteż szczególny nacisk położyliśmy z góry na równomierne jego rozłożenie oraz na wygodę biwaków mających możliwość regenerować zużyte siły. Podstawowym założeniem, którego trzymaliśmy się w czasie całego przejścia, było biwakowanie przy wodzie, toteż z wyjątkiem pierwszego biwaku schodziliśmy zawsze na noc z grani na górne piętra dolin. Powrót na grań z miejsca biwaku zajmował od 15 do 40 minut, uważaliśmy jednak, że ta strata czasu i wzniesienia sownie się nam opłaca.

Poszczególne odcinki dzienne przedstawiały się następująco:

1. (3.IX.) Kieżmarska Chata — Biała Woda Kieżmarska — Zdziarska Przełęcz (autem) — Hawrań — Przełęcz pod Kopą.
2. (4.IX.) Barani Zwornik Niżni.
3. (5.IX.) Ostry Szczyt.
4. (6.IX.) Rohatka.
5. (7.IX.) Wschodnia Bątyżowiecka Przełęcz.
6. (8.IX.) Żłobisty Szczyt.
7. (9.IX.) Wołowa Turnia.
8. (10.IX.) Czarna Ławka.
9. (11.IX.) Tomanowa Przełęcz.
10. (12.IX.) Przełęcz w Rohaczach.
11. (13.IX.) Huciańska Przełęcz — Kwaczany.

Pogoda przez cały czas dopisała niemal idealnie. Mieliśmy dwie przelotne burze: pod wieczór drugiego dnia i po południu czwartego (grad) oraz niewielki opad wieczorem dziewiątego dnia. Całkowicie zepsucie się pogody nastąpiło od rana ostatniego dnia: bardzo silny wiatr i mgła, po południu deszcz, jednak nie mogło to już przeszkodzić ukończeniu wyprawy. Na ogół po pogodnych rankach następowało dość duże zachmurzenie. Godzin bezchmurnych i silnej operacji słonecznej mieliśmy na szczęście niewiele. Temperatura w ciągu nocy opadała stale poniżej 0°.

Jednakże nawet te dwie przelotne burze w połączeniu z ograniczonym czasem i koniecznością oszczędzania sił zmusiły nas niemal od początku do odstąpienia od planu maksimum i opuszczenia kilku szczytów. W rezultacie w ciągu całej drogi byliśmy na 92 szczytach: 3 w Tatrach Bielskich, 56 w Tatrach Wysokich i 33 w Tatrach Zachodnich. Ze względu na warunki opuściliśmy więc niektóre fragmenty grani oraz następujące szczyty i turnie: Mały Ostry Szczyt, Zachodnią Rówienkową Turnię, Dziką Turnię, Kaczy Szczyt oraz Pośredni i Mały Ganek. W Tatrach Zachodnich oprócz wszystkich szczytów leżących w głównej grani weszliśmy również na ich najwyższe wzniesienie: Bystrą (2250 m).

Całą grań przeszliśmy w wibramach.

Ogromną większość drogi robiliśmy bez ubezpieczenia. Asekurację stosowaliśmy jedynie na niektórych odcinkach na następujących szczytach: Śnieżny Szczyt, Ostry Szczyt, Wielicki Szczyt, Niżnia i Wyżnia Wysoka Gierlachowska, Bątyżowiecki Szczyt, przejście ze Śnieżnej Kopy na Zachodnie Żelazne Wrota, Żabi Koń. Z wyjątkiem Zabiego Konia stosowaliśmy asekurację lotną idąc wszyscy na jednej pojedynczej zjazdówce. Na grani Tatr Wysokich posługiwaliśmy się przewodnikiem Chmielowskiego i Świerza.

Sprzęt wspinaczkowy: 2 liny zjazdowe, 3 młotki, 10 haków, 5 karabinków (wystarczyłyby 1 lina zjazdowa, 2 młotki, 5 haków i 3 karabinki). Sprzęt biwakowy: 2 namioty (1 szalas i 1 mały domkowy), 4 śpiwory i 1 komplet biwakowy (noga słonia i kurtka), 2 materacyki z dętek rowerowych. Sprzęt kuchenny: 1 prymus benzynowy, 1 kuchenka z palnikiem benzynowym, 1 kuchenka spirytusowa, 5 manierek 3/4—1 l. Paliwo: 4,5 l benzyny, 2,5 l spirytusu. Poza tym apteczka, reparatorka, przybory do szycia itp.

Żywność nie była dokładnie ważona, w przybliżeniu mieliśmy po 7—8 kg na osobę. W skład jej wchodziły: chleb, pumpernikel, płatki owsiane, grysik, konserwy mięsne, kielbasa sucha, boczek wędzony, ser, masło, jaja, rosół, barszcz, mleko w proszku, kawa, kakao, herbata, ekstrakt owocowy, czekolada, cukier, cukierki, blok orzechowy, keksy, ciasteczka, pierniki i inne słodczyce, owoce suszone, cebula, sól.

Ciepły posiłek sporządzaliśmy dwa razy dziennie: rano i wieczorem. W ciągu dnia spożywaliśmy zwykle jeden obfity posiłek około południa (ser, słodycze); cukierki i owoce suszone mieliśmy stale pod ręką.

Zestaw żywności okazał się jakościowo bardzo dobry, ilościowo — wskutek zredukowania w ostatniej chwili — niewystarczający; przez ostatnie 4 dni szliśmy na mocno głodowych racjach. W szczególności zbyt mało wzięliśmy cukru (razem ok. 5,5 kg) licząc na zastąpienie go słodyczami, oraz białka (sera, kielbasy). Również ilość paliwa przy stosowanym przez nas systemie dwukrotnego ciepłego jedzenia i picia okazała się nieco za mała.

Zabranie manierek — można śmiało powiedzieć — umożliwiło w ogóle przejście grani. Wskutek późnej pory, bardzo małej ilości śniegu i stosunkowo suchej pogody nie spotykaliśmy w ogóle wody na trasie poza miejscami biwakowymi i zabierana manierka płynu dziennie na osobę była niezbędnym minimum.

Przejęcia dokonaliśmy w najściślejszym tego słowa znaczeniu zespołowo. Wszystkie indywidualne ambicje, przyzwyczajenia itp. były od samego początku całkowicie podporządkowane wspólnemu celowi, wszystkie wysiłki skierowane na wzajemne pomaganie sobie i ułatwianie zadania. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w ciągu całej wyprawy nie doszło między członkami zespołu do najmniejszego zadrażnienia.

Wyprawa była połączona z ogromnym wysiłkiem. W ciągu 11 dni przeszliśmy 75 km terenem wysokogórskim oraz 17 km dolinami (Kiezmarska Chata — Biała Woda Kiezmarska i Huciańska Przełęcz — Kwaczany), pokonując około 25 km różnicy wzniesień. Ciężar worków był przerażający, a przecież, poza może częścią sprzętu wspinaczkowego, nie mieliśmy ze sobą ani jednej rzeczy niepotrzebnej. Już po załadowaniu worków, stwierdziwszy ich wagę, odrzuciliśmy w sumie około 10 kg żywności; dalsze zredukowanie wagi byłoby możliwe jedynie kosztem podstawowych wygod na biwakach, z czego nie chcieliśmy zrezygnować. W rezultacie w chwili wymarszu mieliśmy plecaki po 20 kg.

Szczególnie przy dłuższych zejściach oraz wieczorami na biwakach dokuczały nam silne bóle kolan. Również stopy, mimo że zwracaliśmy specjalną uwagę na ich pielęgnowanie i szliśmy w grubych butach, mieliśmy w późniejszych dniach wyprawy zmęczone i obolałe. W szczególnie opłakanym stanie były dłonie, zwłaszcza opuszki palców, odarte z naskórka i bardzo bolesne. Trzech z uczestników używało rękawiczek skórzanych, które jednak po kilku dniach przetarły się i nie chroniły palców.

Ogólny stan zdrowia uczestników był zadowalający. Poza wspomnianymi dolegliwościami, występującymi w mniejszym lub większym stopniu u wszystkich, u jednego z uczestników wystąpiła przejściowa ogólna niedyspozycja, kilku miało uporczywy katar, jeden parudniowe podrażnienie gardła. Zupełnie sporadycznie występowały bóle głowy.

Kondycja, pomimo że wychodząc na grań żaden z nas nie był w dobrej, a niektórzy wręcz w słabej formie i bez treningu, dopisała zadowalająco a nawet, uwzględniając warunki, miała przeciętnie tendencję zwyżkową. Przypisać to należy bardzo dównomiernemu rozłożeniu wysiłku, unikaniu zrywów, szczególnie na początku, racjonalnemu i dostatecznemu z wyjątkiem ostatnich dni odżywianiu i bardzo wygodnym biwakom. Organizmy wyraźnie przystosowywały się do ciężkich warunków wyprawy. Bardzo obfite i nieprzyjemne pocenie występujące u wszystkich w pierwszych dniach wędrówki, ustąpiło w późniejszych zupełnie. Tętno u wszystkich uległo zwolnieniu, powrót do normy po wysiłku stał się szybszy. Sen i apetyt dopisywały doskonale. Przez cały czas ani razu nie zaistniała konieczność użycia środków pobudzających (cardiamid, psychedryna), chociaż dla pewności mieliśmy je ze sobą. Długotrwały wysiłek odbił się najwyraźniej na wadze; wszyscy schudliśmy po dobrych kilka kilo.

Wstawaliśmy o świcie, a więc w początku wyprawy o godzinie 4, w ostatnich dniach o 4,30. Śniadanie i likwidacja biwaku zajmowały około 2 godzin, tak że wymarsz następował między godziną 6 a 7. Szliśmy regularnie 12 godzin dziennie z parą niewielkimi, kilkunastominutowymi i ewentualnie jednym większym odpoczynkiem połączonym z posiłkiem w południe. Biwak zakładaliśmy przed zmierzchem między godziną 18 a 19.

Przejście grani wymagało również wielkiego wysiłku i opanowania psychicznego. Ze względu na konieczność utrzymania szybkiego tempa szliśmy ogromną większość drogi bez asekuracji, co oczywiście przy dużej niejednokrotnie ekspozycji, wilgotnej często, rano oblodzonej skale, znacznej kruszyźnie na wielu odcinkach i w połączeniu z trudnościami technicznymi, ciężkimi plecakami i zmęczeniem wymagało największego napięcia uwagi i ostrożności. Zgodnie stwierdziliśmy, że pod tym

względem najbardziej męczące były dla nas odcinki łatwe i nieco trudne, szczególnie o ile teren był poprzerastany trawkami lub kruchy.

Kondycja psychiczna, podobnie jak fizyczna, u wszystkich uczestników dopisała bez zarzutu. Od początku do końca panował w zespole optymistyczny, bojowy, a równocześnie nie podniecony nastrój i doskonały humor. Bez wątplenia pierwszorzędym czynnikiem sprzyjającym była utrzymująca się dobra pogoda. Dla utrzymania dobrego samopoczucia i miłego nastroju w zespole spełnialiśmy bez umowy cały szereg funkcji uważanych normalnie przez ogromną większość taterników za stratę czasu: myliśmy się i golili regularnie, przepierialiśmy skarpety i chustki do nosa, czyściliśmy buty, szorowali naczynia...

Przez jedenaście dni — w czasie co minął — przeżywaliśmy najwyższą szkołę górskiego życia, zdawaliśmy najtrudniejszy egzamin. Wyszliśmy z niego bogatsi i mocniejsi. I bogatsi i mocniejsi stajemy przed czasem, który nadchodzi i który niesie — wierzę — nowy, szeroki oddech dla alpinizmu polskiego.

A Grań? Teraz, gdy minęło już cierpienie i rozkosz poznawania, przechodzi do skarbcza wspomnień i... do historii.

I dlatego przywykającymi znowu z wolna do pióra palcami, z których schodzi siódma skóra, piszę te słowa o trudzie i przyjaźni.

Ryszard Wiktor Schramm

HORARIUM PIERWSZEGO PRZEJŚCIA GŁÓWNEJ GRANI TATR

Przejścia tego dokonał zespół w składzie: Zbigniew Hegerle, Zbigniew Krysa, Jerzy Piotrowski, Ryszard W. Schramm i Jan Staszal, 3—13.IX.1955.

I dzień (3.IX.)

Zdziarska Przełęcz	10,20
Hawrań	13,35
Przełęcz 1977 m	14,00
Płaczliwa Skala	14,30
Szeroka Hielska Przełęcz	15,05
Szalony Wierch	15,30
Przełęcz pod Kopą	16,05

Biwak na przełęczy

II dzień (4.IX.)

Przełęcz pod Kopą	6,00
Jagnięcy Szczyt	7,40
Kołowa Przełęcz	8,15
Czerwona Turnia	9,10
Modra Ławka	9,20
Modra Turnia	9,30
Kołowa Szczerbina	9,45
Kołowy Szczyt	10,15
Czarna Przełęcz	11,00
Czarny Szczyt	12,00
Papirusowa Przełęczka	12,10
Wielka Papirusowa Turnia	12,45
Przełęcz Stolarczyka	13,10
Barani Zwornik	14,10
Barani Zwornik Niżni	15,40

Biwak pod Śnieżną Przełęczą

III dzień (5.IX.)

Śnieżna Przełęcz	5,15
Śnieżna Przełęcz Wyżnia	8,25
Śnieżny Szczyt	9,10
Lodowa Przełęcz Wyżnia	9,30
Lodowy Zwornik	10,15
Lodowy Szczyt	10,55
Kopa Lodowa	12,00
Lodowa Przełęcz	13,00
Harnaska Turnia	13,50
Harnaska Ławka	13,55
Mały Lodowy Szczyt	14,30
Zbójnicka Ławka	14,50
Wsch. Zbójnicka Turnia	15,05
Biała Ławka	16,45
Ostry Szczyt	18,00

Biwak pod Ostрым Szczytem

IV dzień (6.IX.)

Jaworowa Przełęcz	8,15
Jaworowy Szczyt	9,10
Mały Jaworowy Szczyt	11,40
Zawracik Rówienkowy	12,20
Wsch. Rówienkowa Turnia	13,20
Rówienkowa Przełęcz	13,40
Graniasta Przełęcz	15,00
Graniasta Turnia	15,20
Świstowa Przełęcz	16,00

Świstowy Szczyt	16,45
Turnia nad Rohatką	18,00
Rohatka	18,10
Biwak przy Zmarzłym Stawie	

V dzień (7.IX.)

Mała Wysoka	7,00
Polski Grzebień	7,30
Wielicki Szczyt	9,15
Wielicka Przełęcz	9,40
Litworowy Szczyt	10,55
Litworowa Przełęcz	11,00
Wielicka Turniczka	11,30
Lucywniańska Szczerbina	11,45
Niżnia Wysoka Gierlachowska	12,40
Gierlachowska Przełęczka	13,10
Wyżnia Wysoka Gierlachowska	13,50
Gierlachowska Przełęczka Wyżnia	14,20
Zadni Gierlach	14,55
Wsch. Batyżowiecka Przełęcz	17,00
Biwak pod Zach. Batyżowiecką Przełęczą	

VI dzień (8.IX.)

Zach. Batyżowiecka Przełęcz	6,45
Batyżowiecki Szczyt	7,20
Zmarzły Szczyt	10,20
Rumiska Przełęczka	11,15
Wsch. Szczyt Żelaznych Wrót	11,35
Wsch. Żelazne Wrota	13,45
Śnieżna Kopa (wsch.)	13,55
Śnieżna Kopa (środk.)	14,10
Zach. Żelazne Wrota	14,50
Zach. Szczyt Żelaznych Wrót	15,15
Żłobisty Szczyt	17,00
Biwak nad Rumanowym Stawkiem	

VII dzień (9.IX.)

Rumanowy Szczyt	7,10
Gankowa Przełęcz	7,35
Ganek	7,50
Wsch. Rumanowa Przełęcz	9,00
Wysoka	12,30
Przełęcz pod Wysoką	13,15
Ciężki (Czeski) Szczyt	13,25
Waga	14,00
Rysy	14,20
Zabi Koń	17,30
Zabia Przełęcz Wyżnia	17,40
Zabia Turnia Mięguszwiecka	18,00
Zabia Przełęcz Mięguszwiecka	18,10
Wołowa Turnia	18,30
Biwak nad Zabim Stawem Mięguszwieckim Wyżnim	

VIII dzień (10.IX.)

Wołowa Szczerbina	7,30
Hińczowa Turnia	7,40
Czarnostawiańska Przełęcz	8,15

Mięguszwiecki Szczyt Czarny	8,30
Mięguszwiecka Przełęcz	8,45
Mięguszwiecki Szczyt Pośredni	9,30
Mięguszwiecki Szczyt	11,00
Hińczowa Przełęcz	12,00
Cubryna	12,10
Przełęczka pod Zadnim Mnichem	13,30
Zadni Mnich	13,45
Ciemnosmreczyńska Przełęczka	13,55
Ciemnosmreczyńska Turnia	14,20
Przełęcz nad Wrotami	15,00
Kopa nad Wrotami	15,15
Wrota Chałubińskiego	15,30
Szpiglasowy Wierch	16,45
Czarna Ławka	17,30
Biwak nad Kobylim Stawkiem	

IX dzień (11.IX.)

Gładki Wierch	7,30
Gładka Przełęcz	7,40
Walentkowy Wierch	8,05
Walentkowa Przełęcz	9,30
Świnica	10,30
Świnicka Przełęcz	10,50
Pośrednia Turnia	11,00
Skrajna Przełęcz	11,05
Skrajna Turnia	11,10
Liliowe	11,20
Beskid	11,30
Sucha Przełęcz	11,35
Kasprowy Wierch	11,45
Goryczkowa Przełęcz nad Zakosy	13,50
Pośredni Wierch Goryczkowy	14,05
Goryczkowa Przełęcz Świńska	14,20
Czuba Goryczkowa	11,35
Suche Czuby	14,50
Suchy Wierch	7,45
Przełęcz pod Kopą Kondracką	15,25
Kopa Kondracka	15,40
Przełęcz 1929 m	15,50
Małolącziak	16,15
Krzesanica	16,45
Ciemniak	17,00
Stoly	17,35
Tomanowa Przełęcz	18,00
Biwak pod przełęczą	

X dzień (12.IX.)

Suchy Wierch	7,45
Tomanowa Polska	8,05
Smreczyńska Przełęcz	8,20
Smreczyński Wierch	8,50
ilińska Przełęcz	10,00
Kamienista	10,30
Pyszniańska Przełęcz	10,45
Elyszcz	12,00
Bystra	12,10
Przełęcz 1968 m	12,40
Raczkowa Przełęcz	12,55
Siwe Turnie	13,00
Przełęcz 1938 m.	13,05

Starorobociański Wierch	13,45	Trzy Kopy (środk.)	8,30
Kończysty nad Jarząbczą	14,10	Hruba Kopa	8,55
Jarząbczy Wierch	14,40	Banówka	9,40
Lopata	15,30	Panikowska Przełęcz	9,55
Wołowiec	16,15	Pacholec	10,15
Jamnicka Przełęcz	16,30	Spalona	10,35
Rohacz Ostry	17,00	Salatyński Wierch	12,10
Przełęcz w Rohaczach	17,20	Przełęcz 1872 m.	12,25
Biwak nad stawkiem w Rohackim Kotle.		Brestowa	12,40
		Przełęcz Palenica	13,30
		Siwy Wierch	14,30
		Fluciańska Przełęcz	16,30
		Kwaczany	19,30
XI dzień (13.IX.)			
Rohacz Płacziwy	7,35		
Smutna Przełęcz	8,00		

Jan Staszal

W OBLICZU PRZYSZŁYCH WYPRAW

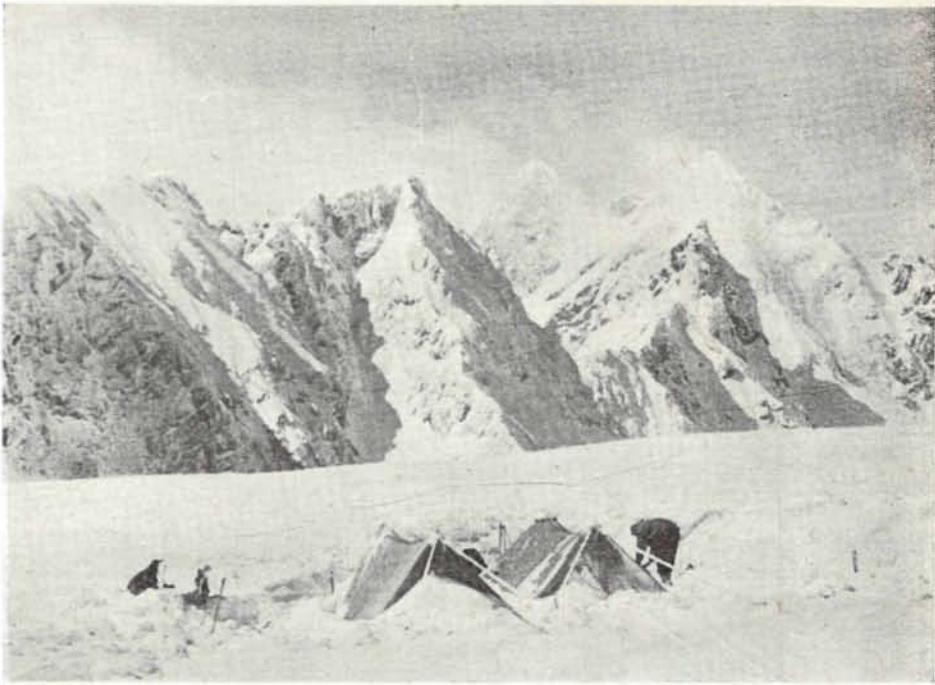
Po zakończeniu II Ogólnopolskiej Alpiniady Zimowej w kwietniu 1955 r., dano jej uczestnikom do wypełnienia ankietę. Miała ona między innymi przynieść odpowiedź na pytanie, czy organizowane na dużą skalę w Tatrach takie imprezy, jaką była ta Alpiniada, mają rację bytu i jakie mogą spełniać zadania, szczególnie dzisiaj, gdy stoimy w obliczu wypraw w góry wyższe. Ankieta dała ciekawe rezultaty. Niniejszy artykuł nie jest jednak ich zbiorczym opracowaniem, a stanowi tylko jedną z wypowiedzi, szerzej ujętą.

Wyprawy w góry wysokie składają się z wielu elementów, których w Tatrach przećwiczyć nie można. Dotyczy to np. techniki lodowcowej oraz oswojenia z ogromnymi przestrzeniami, wysokością, innymi warunkami atmosferycznymi i psychicznym działaniem, jakie wywiera taka akcja. Istnieją jednak elementy, i tych jest więcej, z którymi można zapoznać się w Tatrach, jeśli nie gruntownie, to w każdym razie w stopniu, który pozwoli uniknąć wielu przykrości i niespodzianek podczas właściwej akcji kiedy każda chwila stracona na naukę odbija się na wynikach wyprawy. Elementy te postaram się kolejno omówić.

S p r z ę t. Eksperymentowanie i tworzenie w Polsce nowych modeli, przy obecnym poziomie sprzętu w alpinizmie światowym, nie ma celu. Należy raczej sprowadzić sprzęt lub wykonać według wzorów zagranicznych i właśnie wypróbować go w Tatrach. Oczywiście warunki tatrzańskie nie pozwalają uczynić tej próby pełną, niemniej zorientują w ogólnej przydatności, pozwolą wybrać korzystniejsze rozwiązania nie tylko na podstawie doniesień prospektowych, ale także w oparciu o skromne choćby doświadczenia. Ponadto pozwolą zapoznać się z techniką użycia sprzętu; swoboda pod tym względem jest dla alpinisty rzeczą podstawowego wykszolenia.

T e c h n i k a p o r u s z a n i a s i ę. Wchodzi tu szereg zagadnień z dziedziny sposobów transportu (indywidualny, grupowy, sztafetowy, kolejkami linowymi, na saniach, z użyciem tragarzy), torowania drogi (zmiany w kolumnie marszowej, specjalne grupy), zakładania poręczówek, pętli, drabinek, wytyczania i znakowania szlaku, pakowania i przygotowywania bagażu do transportów. Wszystko to z pełnym powodzeniem może być u nas przećwiczone i wyuczone.

T a k t y k a. Ogólne zasady operowania grupami będą podobne w Tatrach i w górach wyższych. Można tworzyć takie warunki i takie obozy, na których doskonale można będzie stwierdzić: jakie grupy mają największą operatywność przy wykonywaniu określonych zadań, ilosobowe, o jakim składzie, a dalej czy wprowadzać podziały na grupy specjalistyczne, jakie itd. Taktyka zdobywania szczytu, w ogólnych zarysach możliwa do opracowania wcześniejszego, zazwyczaj ulega w terenie pew-



Obóz II Alpinady na Krzyżnem (na dalszym planie od lewej Mała i Wielka Buczynowa Turnia oraz środkowy i pn. wierzchołek Granatów).

Fot. Roman Petrycki

nym zmianom. Składa się na to szereg niemożliwych do przewidzenia okoliczności. Jednakże istnieją elementy tej taktyki, które zawsze pozostają niezmienione i dają się stosować w rozmaitych ich zestawieniach i kombinacjach. Ich właściwy dobór i doskonale opanowanie decydują o zwycięskiej „walce o górę“. Będą to np. zakładanie łańcucha obozów, szybkie ataki szczytowe („rush up“), wyczekiwanie w wysuniętym obozie, szybki odwrót do bazy, pospieszna likwidacja obozów. Teoretyczna jedynie znajomość takich akcji nie ma w terenie większej wartości, a uczenie się ich praktycznie za granicą w zakresie, w którym można to uczynić także w kraju, byłoby niewłaściwe.

O b o z o w a n i e. Nikt nie ma chyba wątpliwości, że życie w obozie, w namiotach, przy założeniu całkowitej izolacji od pomocy i dostaw z zewnątrz nie różni się zasadniczo od życia w bazie wielkiej wyprawy. Wybór miejsca na obóz, rozstawienie, rozbijanie i okopywanie namiotów, budowa osłaniających murów ze śniegu, kopanie jam śnieżnych, stawianie igloo, urządzenie kuchni, latryny, śmietnika — są to wszystko umiejętności, których nabycie wymaga wielu prób i ćwiczeń; nie podobna odkładać tego na czas samej wyprawy.

Jeśli chodzi o osobistą umiejętność biwakowania uczestników wyprawy, to oczywiście jest, że ta, jaką nabyli w czasie parodniowych wspinaczek w Tatrach, okaże się nie wystarczająca. Natomiast parotygodniowy obóz, choćby odbyty w tym samym, tatrzańskim terenie, da szereg cennych doświadczeń. Pokaże, jak trzeba dobierać ekwipunek osobisty, aby nie odczuwać braków w trakcie akcji, co jest naprawdę użyteczne w ciągu wielu tygodni, kiedy każda improwizacja może stać się prawdziwym utrapieniem, a każdy drobny luksus sprawić wiele radości. Jak ubierać się, jak gospo-

darować zapasem odzieży, jak organizować życie w namiocie, jak najwygodniej układać się na noc i jak odbywać poranne wstawanie

A p r o w i z a c j a. Wyżywienie jest jednym z tych elementów, które w sposób zasadniczy decydują o sukcesie wyprawy. Na wszelkie genialne improwizacje nie ma tu absolutnie miejsca. Pod tym względem mamy ostatnio doświadczenia dwóch obozów na Słowacji oraz I i II Alpiniały. Charakter tych imprez nie pozwolił oczywiście na przeprowadzenie pełnej próby ogniowej przyjętego systemu i jakości wyżywienia. Akcja nie trwała długo, nie była skrajnie wyczerpująca, nie narzekano na brak apetytu, nie było wysokogórskich dolegliwości żołądkowych, nie musiano zbytnio ograniczać wagi produktów. A jednak i tu okazało się jakie produkty spożywano chętnie, a jakich zdecydowanie brakowało. Jakie pozornie wartościowe, smaczne czy z innych względów godne polecenia artykuły, w warunkach obozowych traciły całą wartość i odwrotnie. Okazało się, jak ważnym jest urozmaicenie i właściwe zestawienie jadłospisu.

W czasie przygotowywania żywności zjawia się problem, który jest zawsze trudny do rozwiązania: trzeba przyjąć system racjonowania. Robi się to na podstawie planu taktycznego i takich czy innych karkołomnych kalkulacji teoretycznych. Jeśli przyjętego rozwiązania nie sprawdzi się praktycznie, można oczekiwać na wyprawie wielu niemiłych i czasem nawet niebezpiecznych niespodzianek. Podobnie rzecz się ma z systemem pakowania. O tym czy skrzynki mają być blaszane czy drewniane, woreczki większe czy mniejsze, papier taki czy inny, nie powinny decydować wyłącznie teoretyczne przewidywania czy cudze doświadczenia, o których nie wie się przecięż wszystkiego.

Warto jeszcze powiedzieć kilka słów o samym przygotowaniu posiłków do bezpośredniego spożycia. Praca w kuchni, gotowanie dla kilku czy kilkunastu osób, nie jest rzeczą łatwą. Posiłki nie tylko muszą być bardzo smaczne, ale i urozmaicone. Do wysokich umiejętności kucharskich dochodzi się tylko drogą ćwiczenia i wprawy.

Ł a c z n o ś ć. W wyprawach w wysokie góry jest ona czynnikiem ogromnej wagi. W chwili obecnej nie posiadamy sprzętu łącznościowego, nie umiemy się nim posługiwać i nie mamy wypracowanego stałego kodu, który należałoby doskonale znać na pamięć. Odsuwanie nauki na czas samej wyprawy, nawet gdyby miała ona nosić charakter treningowy, mogłoby się okazać niepotrzebnym ryzykanctwem i niedbalstwem. Naukę można odbyć w całości i doskonale w Tatrach.

D o w o d z e n i e. Kierowanie całością wyprawy, czy jednym z jej działów, należy do umiejętności tego typu, które znajdują uniwersalne zastosowanie. Zawsze i wszędzie kierownictwo spotyka się z pewną ilością wciąż tych samych problemów. Nie odegrają tu roli zmienne warunki terenowe, czasowe, atmosferyczne czy aprowizacyjne, choć nadadzą one pracy pewną specyfikę i zaostrzą szereg spraw, wydobędą rozmaite konflikty. Oto jak wygląda zespół cech dobrego kierownika: umiejętność panowania nad całością akcji, kierowanie się dobrem wyprawy i ludzi, wybieranie właściwych metod taktycznych, odpowiednie posługiwanie się zastępcami, sprawiedliwość w podziale pracy, obiektywny i słuszny wybór ludzi do różnych akcji, umiejętność łagodzenia konfliktów oraz taki stosunek do towarzyszy, który nie podrywałby własnego autorytetu, a odznaczał się pełnym koleżeństwem. „Manewry tatrzańskie“ mogą stać się jakby „szkołą dowódców“. Jednocześnie kierownictwo naszego alpinizmu, obserwując młodzież, może typować pewne jednostki na bardziej eksponowane funkcje, nie ryzykując przykrych omyłek.

D o b ó r u c z e s t n i k ó w. Od uczestników wielkich wypraw wymaga się innych kwalifikacji niż od wspinaczy w Tatrach. Wielotygodniowe akcje, pobyt w najcięższych warunkach, zupełne odcięcie od pomocy z zewnątrz — wymagają większej

niż w Tatrach wytrzymałości, siły, odporności psychicznej, koleżeństwa, poczucia zespołowego działania, bojowości itp. Jest rzeczą oczywistą, że najlepsi nawet wspinacze mogą nie spełniać koniecznych wymagań. Egzamin praktyczny w kraju byłby tu znakomitym uzupełnieniem „wykazów przejść“.

Cechy osobiste uczestników. Można je wyrobić na obozach, które są szkołą zbiorowego działania. Najważniejszą jest tu kwestia umiejętności podporządkowania się interesom wyprawy, porzucenia taternickich indywidualistycznych przyzwyczajzeń, całkowitego posłuszeństwa względem kierownictwa, spokojnego rezygnowania z udziału w atrakcyjniejszych akcjach i wreszcie wkładania takiej sumy pracy, na jaką rzeczywiście każdego stać. Warto wspomnieć o współżyciu pomiędzy uczestnikami. Pewne konflikty, czy to zadawnione, czy powstałe dopiero na wyprawie, urazy i niechęci osobiste w wyniku obcowania pod dachem namiotu przez długie dni i noce — nabierają siły i ostrości. Wpływa to fatalnie na przebieg akcji, osłabia bojowość, może być przyczyną pewnych załamań u młodszych, mniej doświadczonych. Ta przykra strona stosunków między towarzyszami na linie ujawnia się także w kraju. Umiejętność pewnych rezygnacji osobistych, przechodzenia nad wieloma sprawami do porządku dziennego, nie ulegania nastrojom, nie pogłębiania rozbieżności — są to cechy dość rzadkie, a zdobyć je można tylko przez obcowanie z ludźmi i to nie w trakcie przypadkowych spotkań, ale długiego i przymusowego współżycia.

B a d a n i a n a u k o w e. Wszystkie wyprawy w góry egzotyczne, mające cele eksploracyjne w sensie zdobywczym, dysponują również programem badań naukowych. Dokonują ich zazwyczaj alpinści-naukowcy. Polskie tradycje są pod tym



Drugi dzień II Alpinady. Transport przez Kopy Soltysie na Waksmundzką Polanę.

Fot Roman Petrycki

względem bardzo piękne. Obecnie jednak nikt z młodych nie posiada praktycznej umiejętności prowadzenia badań w najcięższych warunkach, a wymaga to czasem naprawdę wielkiego hartu i doskonałego wypracowania systematyki badań i opanowania strony technicznej.

Jest tu jeszcze sprawa drobna ale charakterystyczna. Jest to niechętny stosunek niektórych kolegów do przedsięwzięć badacza, jako ich zdaniem mniej ważnych niż sama akcja, lub osobiście niewygodnych, np. gdy chodzi o obserwacje fizjologiczne. Tego stosunku trzeba ich oduczać i to możliwie najwcześniej.

U w a g i o g ó l n e. W stosunku do wypraw rolę takich obozów treningowo-szkoleniowych jak ostatnia Alpinada można porównać do roli szkółek skałkowych w taternictwie. Można tu szkolić wielu ludzi, ułatwiając sobie późniejszy wybór. Można z nimi eksperymentować i wypróbować ich w różnych specjalnościach, dobierając najważniejsze. Szkolenie nie łączy ze sobą żadnego ryzyka i ono jest zasadniczym i pierwszym celem imprezy. Czym więcej nauczymy się w kraju, tym mniej pozostanie na naukę za granicą, tym prędzej będzie się można poświęcić celom zdobywczym. Należałoby doprowadzić do tego, aby w przyszłości wysłać ludzi o możliwie kompletnej wiedzy wyprawowej. Oczywiście nie będzie ona całkowita i nie wykluczy potrzeby wypraw treningowych, ale wtedy ich zadaniem byłoby tylko danie tych umiejętności, jakich w kraju żadnym sposobem nabyć nie można.

Typ akcji w górach wysokich jest skrajnie odmienny od wspinaczek tatrzańskich. Wymaga całkowitego przestawienia się: psychicznie, fizycznie, technicznie, organizacyjnie. Lepiej tego przestawienia dokonać w kraju póki wszelkie błędy można bez szkody prostować. Wyprawy zagraniczne są drogie, po co na nich tracić czas na rzeczy, które można zrobić w Tatrach? Wyprawy w dalekie góry noszą charakter reprezentacyjny dla naszego sportu, obowiązują nas pewne tradycje. Powinny więc takie wyprawy mieć charakter w pełni poważnych akcji gwarantujących jak najlepsze wyniki. W wyprawach wreszcie bierze udział tylko ograniczona, niewielka ilość ludzi, a w obozach i imprezach przygotowawczych znacznie większa, mogą one więc stać się prawdziwą atrakcją dla tych, którzy nie pojadą i źródłem przynajmniej niektórych wartości, jakie daje wielki alpinizm.

Przeszkolenie wyprawowe powinno więc być prowadzone w Tatrach na specjalnych obozach posiadających swoje własne miejsce w planach sportowej działalności Sekcji Alpinizmu.

Maciej Kuczyński

Przypisek Redakcji.

Dawno już zdawano sobie sprawę z faktu, że Tatry mogą być doskonałym terenem dla podstawowego przygotowania przyszłych eksploratorów egzotycznych gór. Pierwszy Adam Karpiński w okresie międzywojennym, przygotowując się do będących jego marzeniem wypraw w Himalaje, próbował w tym celu wykorzystać zimowe warunki tatrzańskie. W okresie powojennym W. H. Paryski wysunął pomysł organizowania w Tatrach wieloosobowych obozów zimowych na wzór wielkich wypraw egzotycznych (Tat. XXX, 1948, nr 1—2, str. 59—61). Próba realizacji tego pomysłu był przeprowadzony zimą 1948 roku Tatrzański Obóz Zimowy, a kontynuacją wówczas nakreślonego programu była II Ogólnopolska Alpinada Zimowa w kwietniu 1955 r. O wymogach, jakim powinni odpowiadać kandydaci na uczestników wypraw pisał Stanisław Siedlecki w artykule pt. „Kilka wniosków wyprawowych“ (Tat. XXXI, 1949, nr 1—2, str. 49—55). Główną uwagę zwraca Siedlecki na cechy charakteru, jako decydujące dla oceny i doboru przyszłych członków wypraw, przy czym podkreśla dużą rolę wychowawczą, jaką mogą odegrać Tatry.

Wartość ogłoszonego powyżej artykułu M. Kuczyńskiego polega na tym, że w przeciwieństwie do poprzedników, którzy naświetlali interesujące nas zagadnienia tylko fragmentarycznie lub w najszerzych, ogólnikowych ramach, autor analizuje je bardziej szczegółowo. Podkreśla zarówno cechy charakteru jak i umiejętności, których mogą nabyć przyszli uczestnicy wypraw już w warunkach tatrzańskich. Wypowiedzi Kuczyńskiego powinny wywołać dalszą dyskusję.

DZIAŁ TECHNICZNY

Linowa kolejka transportowa. Opisywaną kolejkę zastosowano podczas II Ogólnopolskiej Alpiniady Zimowej w kwietniu 1955 r. Stanowiła ona fragment transportowego łańcucha sztafetowego w trakcie powrotu z Waksmundzkiej Polany przez Skalnite do Capowskiego Lasu, a jej celem było pokonanie zalesionego urwiska w kierunku z góry do dołu. Odcinek ten przy transporcie pieszym byłby nadzwyczaj uciążliwy. Kolejka składała się z dwóch lin nośnych o rozpiętości między stacjami ok. 180 m w linii powietrznej i o różnicy poziomów ok. 50 m. Po swobodnie zwisających linach ładunki — zawieszane na karabinkach — zsuwały się siłą ciężkości z dużą szybkością.

Opis techniczny:

Stacja górna. Zaczep dla lin stanowił świerk o średnicy pnia w miejscu zaczepu ok. 16 cm. Liny nośne przywiązano na stałe bezpośrednio do drzewa.

Stacja dolna. Zaczep dla lin stanowił świerk o średnicy pnia w miejscu zaczepu ok. 6 cm (na wysokości 2,5 m) i wysokości ok. 6 m. Wobec silnego wygięcia, wzmocniono pień łącząc go odciągami z liny zjazdowej z drugim drzewem o podobnych wymiarach. Każdą linę nośną przewleczono przez osobny karabinek umocowany do opisanego wyżej świerka i zaczepiono w podwójnych pętlach Prusika przywiązanych z kolei do drzewka o średnicy ok. 2 — 3 cm (patrz rysunek). System ten umożliwił częste poprawianie naciągu lin.

Liny nośne. Dwie liny nośne, wiszące swobodnie obok siebie, wykonano z sześciu lin zjazdowych, sisalowych, skręconych, o średnicy 8 mm. Połączenia lin dokonano przez spleatanie końców, niewielkie zgrubienia na długości kilkunastu centymetrów nie stanowiły przeszkody dla ruchu karabinków.

Zwis lin, początkowo nieznaczny, wzrastał w miarę postępowania transportu coraz silniej i wobec tego, że ładunki zawadzały o gałęzie istniała konieczność



Bagaż zgromadzony przy dolnej stacji kolejki.

Fot. Roman Petrycki

poprawiania naciągu po przesłaniu każdego trzech, czterech ładunków. W terenie niezalesionym udało się zapewne dokonać całego transportu bez poprawek. Liny przebiegały na wysokości ok. 10 m nad ziemią, na stacji dolnej ok. 3 m. Ta ostatnia wysokość utrudniała poważnie odbiór ładunków, jednak nie można było jej zmniejszyć bez opuszczenia całej liny na las.

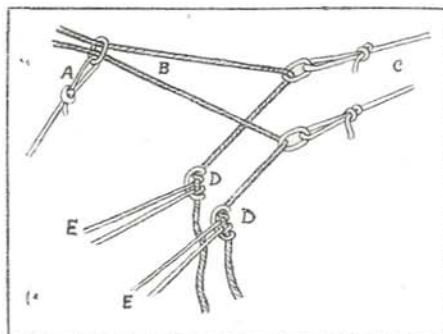
Po zdemontowaniu kolejki okazało się, iż liny znacznie zmniejszyły średnicę, do ok. 6 mm, i uległy poważnemu wydłużeniu. Na ich powierzchni nie dostrzeżono uszkodzeń mechanicznych. Włókna ściśle przylegały do siebie tworząc gładką, wyszlizną powierzchnię. Splotki w miejscu połączenia lin nie poniosły również żadnych uszkodzeń.

T r a n s p o r t. Każdy ładunek zawieszano równocześnie na obu linach nośnych za pomocą automatycznych, owalnych karabinków. Wobec dużej wagi ładunków (często ponad 30 kg) i zaczepiania przez nie o gałęzie drzew, istniała konieczność maksymalnego ich unieruchamiania na linie przez podwieszanie



Dolna stacja kolejki (widać sposób hamowania).

Fot. Roman Petrycki



Schemat umocowania lin na dolnej stacji kolejki (A: urządzenie hamujące; B: umocowanie do drzewa na stałe; D: pętle Prusika do napinania lin nośnych; E: umocowanie do drzewka na stałe).

w dwóch, a nawet trzech punktach. Ładunki zawieszane pojedynczo spadały z lin wskutek otwarcia się karabinka. Ponadto warto dodać, że tarcie o linę powodowało silne rozgrzewanie się karabinków, uniemożliwiające ich odpinanie gołymi rękami.

Ilość ładunków przesłanych kolejką wynosiła ok. 40 sztuk. Były to małe piecaki, duże wory transportowe, zwinięte namioty i skrzynki drewniane. Małe piecaki były zbyt słabe, aby znieść bez szkody gwałtowne szarpnięcia i uderzenia; częściowo winę ponosi tu niewłaściwy sposób zawieszania, później dopiero wypracowany. Małe pakunki przyczepiane do większych na ogół odrywały się przy silnym kołysaniu lub uderzeniu o gałęzie. W sumie, na ogólną ilość 40 przesłanych ładunków, oderwały się i spadły cztery.

H a m o w a n i e. Na stacji dolnej pędzące ze znaczną szybkością ładunki zatrzymywano przy pomocy karabinka założonego na obie liny nośne z dowiązaną doń linką. Hamowanie odbywało się na przestrzeni 5—6 m. Kilkakrotnie ładunki wyrwały linkę z rąk hamującego i uderzały w drzewo stanowiące końcową podporę. Hamujący zabezpieczał sobie ręce grubymi, brezentowymi rękawicami.

C z a s p r z e j a z d u. Nie wliczając czasu potrzebnego dla zawieszania i zdejmowania ładunku, czas przejazdu wynosił przeciętnie 21 sekund.

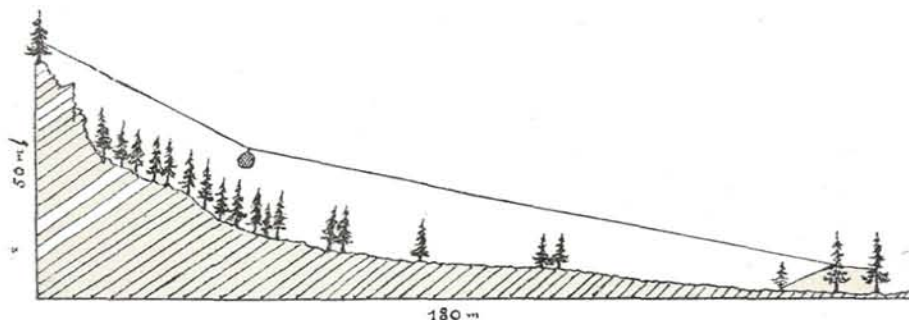
O b s ł u g a. Zasadniczo obsługi kolejki dokonywało pięciu ludzi: dwóch na stacji górnej, trzech na dolnej. Jednakże do naciągania lin wzywano dodatkowo pomocy dwóch jeszcze ludzi. Liczeb-

ność obsługi na stacji dolnej tłumaczyła się koniecznością ściągania lin do zasięgu ramion, przytrzymywania ich w tym położeniu, następnie unoszenia ładunku tak, aby odciążyć karabinki i móc je odpiąć. Przy linie zbiegającej nisko wystarczyłoby dwóch ludzi.

M o n t a ż. Montażu dokonano zawieszając najpierw jedną linę. Rozwinęto ją w terenie, a następnie po wielu

Kolejka, mimo iż nie funkcjonowała idealnie i wymagała częstych poprawek i wzmocnień, w sumie dała dużą oszczędność czasu i sił ludzkich. Przepustowość kolejki w stosunku do możliwości sztafety ludzkiej w tym samym czasie wynosiła 3:1, nie wliczając czasu budowy i demontażu.

Warto dodać, iż znaczna długość kolejki i ilość transportowanych ładunków



Schemat linowej kolejki transportowej na II Alpijadi (z górnego progu Skalnitego)
Dolna stacja kolejki (widać sposób hamowania).

wysiłkach zdołano wynieść ponad wierzchołki drzew. Zauważono przy tym, że jedna, dwie cienkie gałązki potrafiły przytrzymać linę ciągniętą przez kilku ludzi. Po zawieszanej pierwszej linie puszczono plecak z dowiązaną drugą, której rozpięcie nie nastąpiło większych trudności. Ogólny czas montażu, w którym brało udział 7 ludzi, wyniósł około czterech godzin, przy czym blisko 2,5 godz. zajęły trudności wynikłe z zalesienia terenu. Przy wprawie budującego zespołu czas montażu nie powinien przekroczyć dwóch godzin.

D e m o n t a ż. Likwidacja kolejki, wraz ze zwinięciem lin i rozwiązaniem skomplikowanych węzłów w odciągaciu, zajęła niecałą godzinę.

stawiały wysokie wymagania techniczne. Pozwoliło to ujawnić szereg braków i wad konstrukcyjnych, których w innym wypadku w ogóle by nie napotkano. Z nowych rozwiązań, które nasunęły się w trakcie eksploatacji kolejki, a których nie wypróbowano, trzeba wymienić system hamowania na rozwidlonych przy stacji dolnej linach nośnych, spiętych dodatkowym karabinkiem prowadzonym na linie. Użycie karabinków zakręcanych zapobiegłoby ich odpinaniu się w czasie jazdy.

Ogólnie biorąc, bez względu na jej wady, kolejka stała się jednym z niezwykle pozytywnych doświadczeń Alpijadi.

Maciej Kuczyński

I T I N E R A R I A

Grań Doliny Pięciu Stawów Polskich.
Przejście zimowe od Marchwicznej Przełęczy do Wołoszyna: Zdżistaw Jakubowski i Adam Skoczylas, 22—25.I.1955.

H o r a r i u m :

22.I.1955. Wyjście ze schroniska przy Morskim Oku 8,00. Marchwiczna Przełęcz 10,15. Szpiglasowy Wierch 12,00. Gładki Wierch 14,30. Walentkowy Wierch 16,00. Biwak założono o godz. 17,15 na grani między wierzchołkiem Walentkowego Wierchu a Walentkową Przełęczą.

23.I. Wyruszenie z miejsca biwaku 8,00. Walentkowa Przełęcz 12,00. Swinica 15,00. Gąsienicowa Turnia 16,00. Niebieska Przełęczka Wyżnia 17,10. Zawrat (obchodząc grań) 18,30. Biwak na siodle przełęczy.

24.I. Wyruszenie z Zawratu 8,15. Mały Kozi Wierch 9,00. Zmarzła Przełęcz 10,00. Zamarła Turnia 10,30. Kozia Przełęcz 10,50. Kozie Czuby 11,30. Kozia Przełęcz Wyżnia 11,45. Kozi Wierch 12,10. Przełęczka nad Doliną Buczynową 13,10. Zadni Granat 14,00. Pośredni Granat 14,30. Skrajny Granat 14,45. Granacka Przełęcz 15,00. Orla Baszta 16,10. Wielka Buczynowa Turnia 17,40. Biwak założono o godz. 18,10 na pd. zboczach Wielkiej Buczynowej Turni.

25.I. Wyruszenie z miejsca biwaku 8,10. Krzyżne 9,00. Wołoszyn 11,00. Most nad Wodogrzmotami 14,00. Morskie Oko 15,20.

P o g o d a :

Przez wszystkie dni bezchmurna. W godzinach południowych temperatura podnosiła się do ok. 20° C, zmuszając do przerywania wspinaczki, szczególnie pierwszego, drugiego i czwartego dnia. W nocy temperatura nie spadała poniżej —10° C. Powietrze nadzwyczaj suche. Załozzone taśmy raków na rano były zawsze zupełnie suche i elastyczne wskutek intensywnego parowania lodu. Z silniejszym wiatrem nie spotkaliśmy się.

W a r u n k i ś n i e g o w e :

W godzinach rannych i wieczornych dobre, w godzinach południowych (11—14) wprost beznadziejne wskutek intensywnego nasłonecznienia; bardzo uciążliwe torowanie w mokrym śniegu sięgającym po kolana. Na pn. zboczach z reguły „cukier“.

S p r z ę t :

Raki, czekany, 1 lina zjazdowa, 5 karabinków, 5 haków (w tym jedna igła lodowa), 1 młotek, 2 kurtki puchowe, 1 noga słonina, 1 śpiwór, 1 płachta biwakowa z pokostowanego batystu, 1 kuchenka, po 3 pary zapasowych rękawic, po 4 pary zapasowych skarpet, okulary przeciwsłoneczne etc. Sprzęt wspinaczkowy był wystarczający. Sprzęt biwakowy (sporządzony według norm przyjętych w Klubie Wysokogórskim) zbyt lekki i nie izolujący wystarczająco w czasie biwaku. Wydaje się celowym szyć sprzętu puchowego o znacznie większej zawartości puchu.

Ż y w n o ś ć :

Ponieważ liczyliśmy się z przejściem grani w 3 dni (a tym samym ze zjedzeniem kolacji trzeciego dnia w schronisku), zabrana ilość żywności okazała się — przy wolnym tempie — nie wystarczająca i ostatni jaki taki posiłek mieliśmy trzeciego dnia rano (24.I); dalej już szliśmy na głodno. W czasie przygotowywania ostatniego biwaku (trzeciego dnia wieczorem) zauważyliśmy nawzajem u siebie rozkojarzenie czynności psychicznych, mówienie od rzeczy itd. Po wejściu do śpiworów trzęśliśmy się z zimna. Dopiero po wypiciu kilku łyków herbaty z resztką cukru, objawy te ustąpiły. Następnego, tj. ostatniego dnia odczuwaliśmy wielkie zmęczenie i osłabienie woli wskutek hypoglikemii. Spotkani koledzy (Sawicki, Szymański) podratowali nas kilkoma kostkami cukru. Z posiadanych zapasów bardzo przydały się nam cytryny.

K o n d y c j a :

Na ogół kondycja nie zawiodła nas, odliczywszy straty wynikłe z niedożywienia (w ostatnie dni) i bardzo wysokiej, jak na zimę, temperatury w godzinach południowych. Ten ostatni czynnik spowodował, że drugiego dnia pokonałszy stosunkowo mały odcinek grani, gdyż upała na Walentkowej Przełęczy był nieznośny i pola śnieżne ciągnące się ku wierzchołkowi Swinicy okazały się nadzwyczaj lawiniaste. Poza nieznacznymi odmrożeniami obyło się bez wypadków.

T r a s a :

Poza Niebieską Turnią i Zawratową Turnią nie obchodziliśmy szczytów. Z Niebieskiej Przełęczki Wyżniej byliśmy

zmuszeni zejść na pd. z powodu bardzo późnej pory i niemożności założenia biwaku na grani.

Adam Skoczylas

Spadowa Kopa. I wejście zimowe zach. filarem (drogą 1045 WHP): Stanisław Biel i Jerzy Wala, 28.II 1955.

Ze schroniska przy Morskim Oku o godz. 5,00. Wejście w filar o godz. 6,30, w miejscu gdzie śniegi podchodzą najwyżej pod pn.-zach. ścianę Niżnich Rysów. Stąd odcinkiem A drogi 1045. Pokonanie pionowego, załodzonego progu w „kominowatej rynnie” stanowiło najtrudniejsze miejsce drogi. Następnie osiągnięto siodełko na krawędzi zach. filara. Pierwszy jego uskoki (odcinek B drogi 1045) obeszliśmy zachodem śnieżnym w lewo w górę (ok. 40 m), by następnie pierwszym narzucającym się systemem półek i zachodzików wyostać się na ostrze filara tuż ponad uskokiem. Stąd po śniegu lub miejscami po skale wprost

w górę na olbrzymią półkę pod ponownym spiętrzeniem filara. Uskok ten omijamy depresją śnieżną tuż za lewą jego krawędzią. Następnie ostrzem filara na „niewybitną przełączkę”, skąd odcinkiem F drogi 1045 na wierzchołek Spadowej Kopy (godz. 13,30).

Droga o charakterze skalno-śniegowym, z lodem jedynie w opisanej na początku rynnicy. Czas przejścia 5 godzin.

Warunki pogodowe: Rano niebo bezchmurne, temperatura -12°C . W ciągu dnia wzrost zachmurzenia oraz stopniowe ocieplenie. W południe opad śnieżny. Temperatura -8°C . Śnieg kopny i słabo związany.

Zejście: Wariantem B drogi 1047 WHP w dół na Ciężką Przełączkę, skąd drogą 1967 w dół z pomocą zjazdu na linie, do Żlebu spadającego z Białczańskiej Przełęczy Wyżniej (prawdopodobnie I zejście zimowe).

*Stanisław Biel
i Jerzy Wala*

KARTA ŻAŁOBNA

ZBIGNIEW ABGAROWICZ (25. VI. 1919 — 5. IV. 1950)

Dnia 5 kwietnia 1950 r. zmarł z wyczerpania w czasie próby III przejścia zimowego (I przejścia środkiem) pn. ściany Miękusowieckiego Szczytu mgr Zbigniew Abgarowicz. Przebywszy w okresie wojny samotnie własną drogą do Tatr, do których tęsknił od dzieciństwa, wszedł do taternictwa zorganizowanego w zimie 1947 r., stając się w krótkim czasie jednym z najbardziej czynnych i najwybitniejszych taterników. W jesieni tegoż roku został członkiem zwyczajnym Klubu Wysokogórskiego. W ciągu niedługiej swej działalności tatrzańskiej dokonał szeregu pierwszorzędných, niejednokrotnie pierwszych przejść letnich i zwłaszcza zimowych. Opuściwszy po studiach Poznań był jednym z założycieli i najczynniejszych członków Koła Śląskiego K. W. Wszelkieronnie uzdolniony, pogodny, czynny i ekspansywny, obdarzony świetnym humorem i błyszczącym dowcipem, fanatycznie kochający góry, należał do najpopularniejszych i najbardziej lubianych postaci świata taternickiego. Głęboka kultura i pręwość jednały mu powszechny szacunek u wszystkich, z którymi się stykał. Doskonały towarzysz, był jednym z tych nielicznych, którzy w górach mają tylko przyjaciół. Zginął na ścianie najbardziej przez siebie ukochanego wierzchu tatrzańskiego w rok po odniesionym na tej samej ścianie skomplikowanym złamaniu nogi, które unieruchomiwszy go przez ostatni sezon stało się pośrednią przyczyną jego śmierci uniemożliwiając mu odpowiedni trening przed tak ciężką wyprawą.

(R.W.S.)

STANISŁAW BODNIAK (1898 — 1952)

Dnia 15 października 1952 r. zmarł nagle dr Stanisław Bodniak, profesor Uniwersytetu Poznańskiego i dyrektor Biblioteki Kórnickiej. Wielki znawca i miłośnik Tatr był raczej typem turysty wysokogórskiego najwyższej klasy niż taternika. W ramach swoich samotnych z reguły wycieczek dokonywał nie tylko krótkich wspinaczek, ale i poważnych wypraw największymi ścianami, jak np. wejście pn. ścianą Miękusowieckiego Szczytu.

(R.W.S.)

FERENC KIENAST

Dnia 16. XII. 1953 roku zmarł w Casablanka (Maroko) budapeszteński taternik Ferenc Kienast, w 74 roku życia. W pierwszym dziesiątku lat bieżącego stulecia Kienast dokonał w Tatrach, z przewodnikami i bez wielu pierwszych przejść, z których najbardziej znane są następujące: pn. grań Małej Wysokiej, droga Kienasta na Gierlach, pierwsze trawersowanie Batyżowieckiej Grani w kierunku ze wschodu na zachód (w ten sam dzień, kiedy pierwszego przejścia tej grani w odwrotnym kierunku dokonali Klemensiewicz, Kordys i Znamięcki) i pd.-wsch. grań Szarpanych Turni. Podjął on też (z W. Wanjurą) jedną z pierwszych prób przejścia pn. ściany Galerii Gankowej, docierając wtedy bardzo wysoko, do tzw. Ścianki Wanjury.

(Gyula Komarnicki)

KAROL WILAK (20. XII. 1907 — 24. VIII. 1950)

Dnia 24 sierpnia 1950 r. zmarł po długiej i ciężkiej chorobie mgr Karol Wilak, księgarz, wydawca, fotografik i taternik. Zmarły był wszechstronnym turystą i wielkim miłośnikiem przyrody. Zamiłowany narciarz i taternik miał za sobą szereg pięknych wspinaczek i wypraw taternickich letnich i zimowych. Jako fotografik zajmował się przede wszystkim fotografią górską i na tym polu należał do najwybitniejszych w kraju. Położył wielkie zasługi jako propagator turystyki wysokogórskiej i taternictwa na terenie Wielkopolski. Mimo iż nie był członkiem Klubu Wysokogórskiego, ubył nam z jego śmiercią człowiek bardzo bliski, bo związany z nami nie formalnie, lecz tym co najważniejsze — prawdziwą miłością do gór i pracą dla nich.

(R.W.S.)

Mogily dawnych przewodników tatrzańskich. W sierpniu 1953 r. w południowo-wschodniej części Cmentarza Zasłużonych (tj. starego cmentarza) w Zakopanem odnaleziono (Juliusz Zborowski i Tadeusz Staich) dwa groby dawnych przewodników tatrzańskich: Jędrzeja Wali starszego i Macieja Sieczki. Groby te uchodziły za już nieistniejące. Stan obu mogił zły, stosunkowo dobrze zachowane są nagrobne głazy granitowe. Na pierwszym odczytano następujący napis: „Jędrzejowi Wali Bachledzie Pierwшему Przewodnikowi po Tatrach 1820 — 1875 Towarzystwo Tatrzańskie“. Na drugim glazie przytwierdzona tabliczka żelazna z napisem: „Maciej Sieczka Gąsienica prze-

wodnik tatrzański ur. 3 kwietnia 1824 w Zakopanem um. 25 września 1897“.

Stałą i troskliwą pieczę nad tymi mogiłami, jak również nad miejscem spoczynku wielu przewodników i taterników na Cmentarzu Zasłużonych i na nowym cmentarzu (Klimek Bachleda, Bartuś Obrochta, Jakub Wawrytko, Mieczysław Świerz, Wincenty Birkenmajer, Józef Oppenheim, Michał Kirkor, Lida i Marzena Skotnicówny i in.) winni objąć członkowie Koła Przewodników Tatrzańskich PTTK, TOPR i Sekcji Alpinizmu w Zakopanem.

(tst)

SPELEOLOGIA I TATERNICTWO JASKINIOWE

Rozwój organizacyjny taternictwa jaskiniowego w Polsce. Polscy taternicy jaskiniowi skupieni są w Sekcjach Taternictwa Jaskiniowego przy oddziałach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Pracą tych sekcji kieruje Komisja Taternictwa Jaskiniowego przy Sekcji Alpinizmu Zarządu Głównego PTTK, utworzona w r. 1954. W skład tej Komisji, powołanej przez Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK, wchodzi przedstawiciele wszystkich ośrodków. Prezy-

dium Komisji mieści się w Krakowie (ul. Bohaterów Stalingradu 20). Przewodniczącą Komisji wchodzi w skład Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i bierze stale udział w jego pracach.

Oddziałowe Sekcje Taternictwa Jaskiniowego powstały dotąd w Krakowie, Zakopanem, Toruniu i Warszawie. Są one zorganizowane na zasadzie kół PTTK i niezależne od istniejących w tych miejscowościach Sekcji Alpinizmu, z którymi jednak z reguły blisko współpracują.

Sekcje we wszystkich ośrodkach organizują wycieczki do jaskiń, zebrania, referaty, prowadzą zaopatrzenie swych członków w sprzęt, tworzą bazy sprzętu społecznego, prowadzą szkolenie podstawowe i treningi. Liczą one łącznie około 100 członków, przy czym najliczniejsza obecnie jest sekcja krakowska.

W czasie dotychczasowej swej działalności Komisja Taternictwa Jaskiniowego zorganizowała szereg imprez ogólnopolskich: kurs instruktorski i kurs dla zaawansowanych w Tatrach, dwie wyprawy odkrywcze do Jaskini Zimnej, wyjazdy grup grotolazów do jaskiń Tatr Słowackich. Zorganizowała również ogólnopolski zlot taterników jaskiniowych w r. 1954 w Sokolich Górach pod Częstochową. W r. 1955 podobny zlot odbył się na terenie Złotego Potoku w Jurze Krakowsko-Wieluńskiej, zorganizowany na zlecenie Komisji przez sekcję warszawską. Komisja prowadziła starania w sprawie zaopatrzenia w sprzęt, organizowała bazę sprzętu dla imprez ogólnopolskich, opracowywała prototypy sprzętu specjalnego. Zajmowała się również sprawami wydawnictw i propagandy tej nowej u nas gałęzi turystyki. Komisja zorganizowała udział taterników jaskiniowych w ogólnopolskiej alpiniadzie zimowej w r. 1955 i współdziałała w pracach różnych komisji Sekcji Alpinizmu ZG PTTK.

Kazimierz Kowalski

Szkolenie w taternictwie jaskiniowym.

Jednym z najważniejszych dla rozwoju taternictwa jaskiniowego w Polsce zadań jest szkolenie. Taternictwo jaskiniowe wymaga nie tylko znajomości techniki taternickiej, ale i rozmaitych technik specjalnych. Polska jest jedynym krajem na świecie prowadzącym systematyczne i zorganizowane szkolenie w zakresie taternictwa jaskiniowego, toteż nie można się tu było oprzeć na żadnych gotowych wzorach. Dotychczasowa akcja szkolenia miała w wielu wypadkach charakter przypadkowy, ale niemniej dała duże rezultaty i umożliwiła na uzyskanie wielu doświadczeń.

Podstawą wyszkolenia w taternictwie jaskiniowym powinno być teoretyczne i praktyczne, elementarne wyszkolenie taternickie. Adeptów zgłaszających się do szkolenia w taternictwie jaskiniowym powinni więc mieć już za sobą wyszkolenie taternickie. W praktyce nie zawsze jednak było to możliwe, gdyż zgłaszający się do Sekcji Taternictwa Jaskiniowego adepci nie mieli możliwości szybkiego ukończenia szkolenia taternickiego. Ponadto przejście wyszkolenia na kursach organizowanych przez Sek-

cje Alpinizmu powoduje niejednokrotnie odejście adepta od taternictwa jaskiniowego. Dlatego w praktyce wszystkie niemal Sekcje Taternictwa Jaskiniowego stanęły przed problemem własnego szkolenia adeptów, mimo braku wyszkolonej kadry instruktorskiej i braku doświadczeń. Kursy takie zorganizowała sekcja warszawska, zakopiańska i krakowska. Terenem kursu warszawskiego były okolice Złotego Potoku, kursu zakopiańskiego — skałki reglowe i jaskinie tatrzańskie, a krakowskiego — dolinki podkrakowskie i sąsiednie jaskinie.

Kurs warszawski odbyty w dniach od 4 — 11.VIII. 1954 miał charakter obozu i obejmował wykłady, wspinaczki na powierzchni i wycieczki do jaskiń o różnym stopniu trudności.

Kurs krakowski, na który zgłosiło się 50 osób, rozpoczął się od wykładów, po których nastąpiły zajęcia praktyczne w czasie sześciu kolejnych niedziel. Trzy dni szkolenia praktycznego poświęcono na wspinaczki na powierzchni ze szczególnym uwzględnieniem elementów, które są najważniejsze w jaskiniach: zjazd, wspinaczka zapieraniem, podchodzenie na pętłach Prusika. Zapoznano też uczestników z użyciem drabin sznurowych. Trzy dalsze dni obejmowały wycieczki do jaskiń z wyszkoleniem w zjazdach, wspinaczkach i podchodzeniu na linie w warunkach podziemnych. Kurs ukończyły 24 osoby.

Jedyny zorganizowany dotąd kurs dla zaawansowanych odbył się w Tatrach Zachodnich w r. 1954. Miał on charakter ogólnopolski, kierownikiem jego był Jerzy Tomaszewski z Torunia. Kurs obejmował wykłady, ćwiczenia praktyczne i wycieczki do jaskiń. Uczestnicy zapoznali się ze specjalnymi technikami taternictwa jaskiniowego (użycie masztu, sprzęt do pokonywania wody i jego użycie, sprzęt lodowy, kolejka linowa) i zwiedzili szereg trudnych jaskiń, jak Miętusia, Chochołowska Szczelina, pod Pisaną, Lodowa w Ciemniaku i inne. Następny kurs odbył się również w Tatrach Zachodnich, w sierpniu 1955 r.

Kurs instruktorski taternictwa jaskiniowego odbył się na samym początku działalności Komisji Taternictwa Jaskiniowego w r. 1953. Celem jego było wyrównanie poziomu ówczesnej czołówki taterników jaskiniowych i przygotowanie ich do pracy nad budową taternictwa jaskiniowego w Polsce. Dlatego kurs ten, pomyślany zresztą jako wyprawa odkrywcza, miał w pewnej mierze charakter wyjątkowy.

Wydaje się, że w przyszłości potrzebne jest bliższe oparcie szkolenia w taternictwie jaskiniowym o szkolenie taternic-kie, zwłaszcza w zakresie kursów dla po-czątkujących i kursów instruktorskich. Należy jednak dążyć, aby adeptci przed szkoleniem taternickim przeszli teorety-czny kurs jaskiniowy i zapoznali się bo-daj z kilkoma łatwymi jaskiniami. Warto byłoby opracować program kur-su teoretycznego w formie skryptu, który byłby zarazem pierwszą próbą podręcznika taternictwa jaskiniowego. Zasadniczą formą szkolenia w tater-nictwie podziemnym będą jednak kur-sy dla zaawansowanych, szkolące lu-dzi mających już przygotowanie tater-nicckie w specjalnych technikach jas-kińowych. Kursy te, które powinny za-chować swój ogólnopolski charakter, bę-dą zarazem najlepszą okazją do wyrów-nania poziomu poszczególnych sekcji, wymiany doświadczeń i nauczania się współpracy.

Kazimierz Kowalski

Działalność odkrywcza sekcji taternictwa jaskiniowego w Zakopanem. Sezon speleologiczny roku 1954/55 Sekcji Tater-nictwa Jaskiniowego w Zakopanem roz-począł się dnia 1.XI 1954 odkryciem dal-szych korytarzy Jaskini Owczej, położonej na stokach Żaru nad wąwozem Kraków. W końcowej części tej nie-wielkiej jaskini dawał się zauważyć sil-ny przeciąg powietrza, co nasunęło przy-puszczenie, że poza zawaliskiem zalegają-cym dno korytarza znajdują się dalsze komory. Istotnie po usunięciu gruzu od-kryła się bardzo ciasna szczelina wycho-dząca nad skalny próg niewielkiej ko-

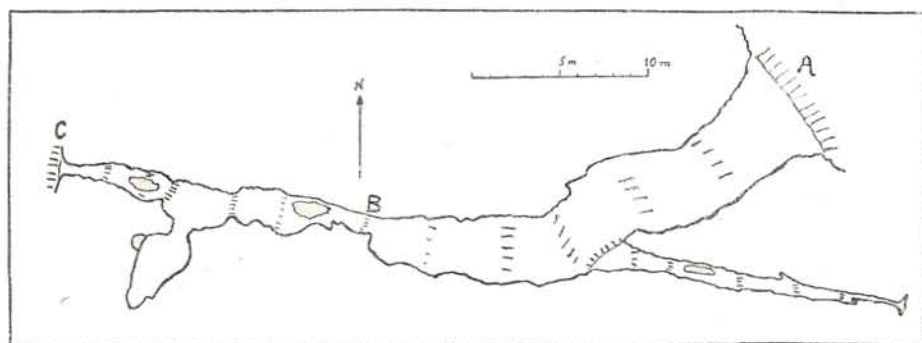
mary. Komora ta kończy się następnym skalnym progiem, który opada do kory-tarza zakończonym niewysokim komin-em wyprowadzającym na powierzchnię. Znaleziono ponadto bardzo ciekawą sal-kę, w której suficie znajduje się komin zaklinowany glazami.

W rezultacie tego drobnego odkrycia rozpracowano cały, niewielki zresztą sy-stem korytarzy przebijający na wylot turnię, w której znajduje się jaskinia Owcza. Przy pracach odkrywczych kie-rowano się przeciągiem powietrza, który z zasady wskazuje na obecność dalszych korytarzy czy też komór. Pracę usunię-cia rumowiska skalnego wykonało dwóch ludzi w czasie trzech godzin, posługując się tylko rękami i liną, przy pomocy której wyciągano co większe bloki skal-ne z ciasnego korytarza.

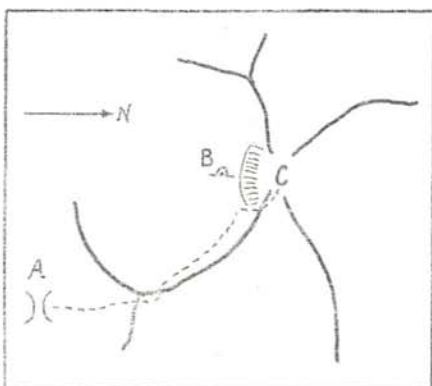
W tym samym okresie badano J a s-kińię Z a k o s i s t ą i jej okolice odkrywając szereg niewielkich jaskiń, przy czym wykonano bardzo ciekawy po-wierzchniowy zjazd na linie długości 48 m oraz powrót po linie do góry. Celem zjazdu było zbadanie niedostępnej nżyż skalnej.

W okresie zimowym praca Sekcji by-ła skierowana na dalsze badanie J a s-kiń i Z i m n e j. Trudnościami swymi ten system jaskiniowy nie ustępuje najtrudniejszym drogom skalnym, przy czym czas trwania jest wielokrotnie dłuższy, gdyż wyprawy w głąb tej jas-kińi zajmują przeciętnie od 20 do 80 go-dzin. Technika wspinaczkowa, ze wzglę-du na charakter korytarzy podziemnych, posługuje się tu sztucznymi ułatwieniami, jak maszty, drabinki itp.; używa się też łódek gumowych.

Członkowie sekcji zakopiańskiej w re-zultacie swych ostatnich wypraw do Jas-



Przekrój poziomy Jaskini Owczej (A: wylot; B: przekop; BC: część nowoodkryta).
Na podstawie planu Stefana Zwolińskiego uzupełnił Konstanty Stecki jun.



Szkic sytuacyjny nowoodkrytej jaskini w Kominiarskim Wierchu (A: Iwaniacka Przełęcz; B: jaskinia; C: rówień szczytowa Kominiarskiego Wierchu). Wg szkicu *Konstantego Steckiego jun.*

kini Zimnej stwierdzili, że nie jest ona jeszcze całkowicie zbadana mimo ogłoszenia swojego czasu w prasie codziennej wiadomości o zakończeniu eksploracji tej jaskini. Na początku r. 1955 sforsowali oni trudny próg skalny w tzw. Białym Korytarzu i odkryli dalsze duże



Wspinaczka w Jaskini Zimnej (wyprawa z r. 1954)
Fot. Ryszard Gradziński



Transport sprzętu przez jeziorko w Jaskini Zimnej (wyprawa z r. 1953).

Fot. Ryszard Gradziński

komory o długości ponad 160 m. Wyprawy do jaskini zostały przerwane na skutek nadspodziewanie wczesnych roztopów i zalania części korytarzy wodą. Badania będą kontynuowane.

Równocześnie w okresie zimowym badano jaskinię *Szczelinę Chocholowską*. Celem badania było stwierdzenie, skąd przychodzi świeże powietrze w końcowej komorze tej jaskini. Jednakże ani sekcji zakopińskiej, ani sekcji krakowskiej nie udało się osiągnąć dalszego ciągu korytarzy. Sekcja krakowska wykonała bardzo pracochłonny przekop i utknęła po kilkunastu metrach w lawicy piasku sklejonego lepiszczem wapiennym. Sekcja zakopińska starała się przebić przez rumowisko skalne, co też nie dało wyników. Problem dalszych korytarzy tej jaskini czeka na rozwiązanie.

Rewelacyjnego, jak na polską skalę odkrycia dokonano w okolicy tzw. Żlebu Czternastu Progów nad wąwozem Kraków. Podczas przeszukiwania znanych już otworów grupa zakopińskich grotożuwów pod kierownictwem Józefa Frączka w dniu 10.VII 1955 r. natrafiła na dużą grootę, której nadano potem nazwę: *Jaskinia Wysoka*. Dotychczas

odkryto w niej i pomierzono ok. 600 m głównego ciągu korytarzy. Jest to jaskinia bardzo trudno dostępna i składa się z szeregu pionowych, kilkudziesięciometrowych studni połączonych korytarzami. Rozpiętość w pionie wynosi ok. 200 m. Badanie jaskini będzie kontynuowane.

Planowane jest też dalsze badanie Jaskini Bystrzej, jednej z najtrudniej dostępnych w Tatrach.

W czerwcu 1955 r. Władysław Habił i Konstanty Stecki jun. odkryli niewielką jaskinię pod szczytowymi skałami Kominów Wierch (Wierch Wierch) (Kominów Tylkowych), od strony południowej. Dojście od ścieżki wiodącej z Iwaniackiej Przełęczy na Kominowski Wierch, trawersiem w kierunku zachodnim pod ścianami szczytowych skał; od ścieżki 8 minut (por. rysunek). Za szerokim otworem jaskinia dzieli się na trzy odnogi, z których najdłuższa liczy 21 m. Jaskinia mało ciekawa, ma jednak duże znaczenie jako schron przeciwdeszczowy dla turystów.

Konstanty Stecki jun.

Zimowa wyprawa do jaskiń Słowacji. W dniach od 7 — 24.III. 1955, w ramach polskiego obozu taternickiego na Słowacji, wyjechała również grupa 10 taterników jaskiniowych. Wyjazd ten był pierwszą zorganizowaną wyprawą zagraniczną polskich taterników jaskiniowych. Bazą grupy była miejscowość Tatrzanska Kotlina (Jaskinie Bielskie). Uczestnicy wyjazdu nawiązali bliski i serdeczny kontakt ze speleologami słowackimi i czeskiemi, z którymi ściśle współpracowali w czasie całej wyprawy.

Polscy grotolazi zwiedzili najciekawsze jaskinie północnej części Słowacji, jak Jaskinia Bielska, jaskinie doliny Demenowskiej w Niżnich Tatrach; Pustą, Wywieranie, Wolności (Svobody), Pokoju (Mieru) i Lodową, Jaskinię Ważeczką i Dobszyńską. Zwiedzono również w Tatrach jaskinię Huczawę, Lodową w Buńczym Wierchu i Stefkówkę.

Głównym terenem prac odkrywczych była Jaskinia Bielska w Tatrach. Jest ona znana i badana od kilkudziesięciu lat, toteż szanse na odkrycia były tu niewielkie, tym bardziej że brak planu jaskini utrudniał orientację i stwierdzenie, które chodniki zostały już zwiedzone. Mimo to, dzięki zastosowaniu nowoczesnej techniki, pokonano tutaj po raz pierwszy Komin Plevy, z którego swego czasu wycofali się w połowie badacze słowaccy. Na jego dnie znaleziono no-

wy, 70-metrowy chodnik. Odkryto również i zwiedzono po raz pierwszy dużą studnię w innej części jaskini. Przy użyciu masztu osiągnięto i zwiedzono kilka kominów w ścianach i stropie jaskini, które jednak kończyły się ślepo.

W jaskini wodnej Stefkówce (czyli Jaskini Rohackiej) w pobliżu Zuberca zwiedzono całość mało znanej groty wraz z częścią zalaną wodą.

Wyprawa prowadziła badania naukowe i obserwacje z zakresu geologii i biologii.

Kontakty ze speleologami czechosłowackimi staną się niewątpliwie podstawą dalszej bliższej współpracy. O działalności grupy pisała prasa słowacka.

*Kazimierz Kowalski
i Ryszard Gradziński*

Jaskinia Wiercica. W dniu 9 lipca 1954 r. w czasie kursu taternictwa jaskiniowego dla początkujących, opierając się na informacjach poszukiwaczy kalcytu (którzy dotarli nie wiele poza otwór), grupa członków warszawskiej Sekcji Taternictwa Jaskiniowego odkryła w lasach Złotego Potoku na terenie Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej nową jaskinię, której nadano nazwę Wiercica. W październiku tegoż roku sekcja warszawska zorganizowała specjalną wyprawę mającą na celu zbadanie i splanowanie jaskini. Wzięło w niej udział 14 osób.

Wysokość otworu nad poziom morza wynosi 398 m. Głębokość jaskini wynosi 37 m, długość korytarzy około 200 m. Otwór jest sztuczny, zrobiony przez poszukiwaczy kalcytu. Za nim wąska szczelina prowadzi stromo w dół, a potem pionowo na dno niewielkiej, szczelinowatej komory. W połowie jej wysokości znajduje się półka z charakterystycznym okrągłym otworem („Dziurawa Półka”), prowadząca do dalszych partii jaskini. Idzie stąd w dół kilka kominów, które ostatecznie doprowadzają do wielkiej komory („Sala za Kolumną”). Ma ona 20 m długości, 10 m szerokości i 15 m wysokości. Dno zasłane jest głazami, wśród których znaleziono mnóstwo kości zwierząt współczesnych i wymarłych.

Poza głównym ciągiem jaskinia obejmuje wiele bocznych korytarzy i kominów. Kryje ona liczne i różnorodne nacieki.

Jaskinia Wiercica jest jedną z najpiękniejszych i najciekawszych taternicko jaskiń Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej. Szczegółowy plan i opis jaskini zamieszczono w pierwszym numerze biuletynu warszawskiej Sekcji Taternictwa

Jaskiniowego. Biuletyn nosi tytuł „Wiercica“. Reportaż z wyprawy do jaskini ukazał się w piśmie „Dokkoła Świata“. Jaskinie zwiedzili uczestnicy drugiego ogólnopolskiego zlotu taterników jaskiniowych w lipcu 1955 r.

Andrzej Chodorowski

Odkrycia w Jaskini Rybiej. W grudniu 1953 r. zwiedziliśmy Jaskinię Rybią w Dolinie Chochołowskiej. Stan wody był niski, potok częściowo zamrożony. Dzięki temu udało się nam przebyć korytarze pomiędzy dwiema znanymi dotychczas częściami jaskini, jak również zwiedzić normalnie zupełnie niedostępne chodniki w południowej części jaskini.

Ogólna długość nowoodkrytych korytarzy wynosi około 100 m. Do jaskini weszliśmy otworem południowym przez korytarz zalany wodą do wysokości około 1 m. Kończy się on bardzo wąską szczeliną, niebezpieczną z powodu wiszących głazów. W lewo odchodzą wąskie pęknięcia z głęboką wodą, nad którą zapierając się można dostać się do środkowej części jaskini.

Środkowa partia jaskini składa się z wielu szczelin krzyżujących się pod różnymi kątami. Na szczególną uwagę zasługuje Płaska Komora o wysokości 30—70 cm i wymiarach około 8 do 10 m. W okolicy tej komory znaleźliśmy zabawne utwory z piasku w postaci małych (około 5 cm), silnie rozgałęzionych krzeczków.

W południowej części jaskini dostaliśmy się nieco dalej niż K. Kowalski, odkrywając kilka korytarzy zakończonych syfonami.

Oleg Czyżewski
i Kazimierz Grotowski

SPRAWOZDANIE Z OBOZU TATERNIKÓW JASKINIOWYCH W TATRACH SŁOWACKICH W LECIE 1955 R.

Dane ogólne

W skład grupy wchodził: Przemysław Burchard (Kraków), Władysława Chodorowska (Warszawa), Andrzej Chodorowski (Warszawa), Oleg Czyżewski (Kraków), Władysław Danowski (Kraków), Wojciech Dembiński (Toruń), Leszek Dzięgiel (Kraków), Ryszard Gradziński (Kraków), Kazimierz Grotowski (Kraków), Ryszard Karpiński (Warszawa), Mieczysław Mielcarski (Toruń), Andrzej Ostrowicz (Kraków), Andrzej Radomski (Kraków), Jerzy Tomaszewski

(Toruń), Tomasz Umiński (Warszawa). Razem 15 osób.

Kierownikiem obozu był J. Tomaszewski, kwatermistrzem P. Burchard. W obozie obecny był również Kazimierz Kowalski jako delegat Prezydium Sekcji Alpinizmu.

Baza obozu znajdowała się w Dolinie Koperszadów Zadnich. Od zarządu Tatrzńskiego Parku Narodowego (TANAP) uzyskano zezwolenie na biwakowanie i wstęp do rezerwatów ścisłych.

Przebieg pracy obozu

4.VIII. O godz. 11,00 wyjazd z Zakopanego, do godz. 14,00 przejście granicy przy Lysej Polanie. Stąd sprzęt przewieziono wozem do ujścia Doliny Koperszadów Zadnich i część przeniesiono na miejsce obozu. Rozbito namioty.

5.VIII. Cały dzień ulewny deszcz. Przeniesiono resztę sprzętu na miejsce obozu.

6.VIII. Cały dzień ulewny deszcz. Uzyskano zezwolenie na korzystanie z dcmku myśliwskiego TANAP u i przeniesiono tam obóz.

7.VIII. Cztery osoby ruszają do Jaskini Bielskiej. Reszta idzie do Jaskini Murańskiej. W sąsiedztwie jej odkryto trudno dostępną jaskinię Murańskie Okno, którą częściowo zbadano.

8.VIII. Inna grupa 5-osobowa poszła do Jaskini Murańskiej. Druga grupa poszukiwała jaskiń na terenie Szerokiej Jaworzyńskiej, znalazła jednak tylko szereg leńów krasowych. Grupa 4-osobowa udała się przez Tatry Wysokie do Doliny Cichej, aby zbadać teren krasowy na pd. stoku Czerwonych Wierchów.

9.VIII. Grupa 3-osobowa zbadała Murańskie Okno. Wykonano jego plan. W pobliżu znajduje się niewielka Jaskinia nad Piargiem. Druga grupa odnalazła Mckrą Dziurę w Dolinie Jaworowej i odkryła dwie nowe jaskinie w tej dolinie.

10.VIII. Jedna grupa wykonała plan Mckrej Dziury. Druga grupa splanowała i zbadała dwie poprzednio odkryte groty w Dolinie Jaworowej. Jedna z nich zawiera lód. Odkryto ponadto jeszcze dwie nowe jaskinie w tym terenie i w jednej znaleziono liczne kości niedźwiedzi.

11.VIII. Dzień wypoczynku. Nieustannie ulewny deszcz. Jedna grupa znalazła dwie małe jaskinie w stokach Tatr Bielskich od strony Koperszadów Zadnich.

12.VIII. Powróciła grupa z Czerwonych Wierchów. Odnalazła ona i splanowała

nowała Tomanową Dziurę oraz znalazła kilka otworów jaskiń i lejów wymagających zbadania. Grupa 5-osobowa wyruszyła do Jaskini Bielskiej i Alabastrowej.

13.VIII. Grupa w Jaskini Alabastrowej znalazła nowe chodniki i uzupełniła plan groty. Inni splanowali odkryte poprzednio jaskinie w Dolinie Jaworowej i znaleźli bardzo trudno dostępny otwór jaskini w ścianach nad Doliną Jaworową.

14.VIII. Zwiedzano jaskinie Tatr Bielskich. W Jatkach znaleziono nowy korytarz w Jaskini Koziej i parę małych dziur. Powróciła grupa z Jaskini Alabastrowej.

15.VIII. W odkrytej poprzednio jaskini w ścianach nad Doliną Jaworową odkryto po usunięciu głazów ok. 120 m chodników z ciągiem wody. Jaskinię splanowano. Istnieją tu duże możliwości dalszych odkryć.

16.VIII. Na zaproszenie dyrektora przedsiębiorstwa państwowego „Turista“ przejechano do Starego Smokowca.

17.VIII. Część uczestników wzięła udział w wycieczce do Jaskini Demeńskich zorganizowanej przez „Turistę“, inni było na Gierlachcu.

18.VIII. Zwiedzono Jaskinię Ważecką, a następnie odbył się pokaz filmów o tematyce jaskiniowej.

19.VIII. Powrót do Polski.

Wyniki odkrywcze.

Jaskinia Murańska. Odkryto ok. 100 m nowych korytarzy nieoznaczonych na najnowszym planie Sekyry. Znaleziono i pokonano ku górze 30-metrowy komin.

Murańskie Okno. Efektowna, trudno dostępna jaskinia, dotąd nie opisana, choć we wstępnej części byli ludzie (kopczyk). Długość ok. 100 m.

Jaskinia nad Piargiem. Nowa, 25-metrowa jaskinia w Muraniu.

Jaskinia Alabastrowa. Odkryto 60 m nowych chodników w końcowej części jaskini.

Mokra Dziura. Najpiękniejsza wodna jaskinia Tatr, opisywana w dawnych latach, ale od kilkadziesiąt lat w literaturze zapomniana. Zwiedzono ją w całości i splanowano. Długość ok. 100 m.

Jaskinia nad Jaworem. W Dolinie Jaworowej, dotąd nieznaną, długość ok. 30 m.

Jaskinia Niedźwiedzia Jaworowa. Nowa, długość ok. 30 m.

Jaskinia Ciasna. W ścianach nad Doliną Jaworową, dotąd nieznaną, długość 120 m.

Ponadto odkryto kilka mniejszych grot i nowych chodników w znanych jaskiniach, np. w Koziej Jaskini w Jatkach.

Łącznie odkryto 5 większych i kilka drobnych jaskiń, odkryto i splanowano w sumie 500 m nowych korytarzy jaskiniowych. Dokonano całego szeregu trudnych wspinaczek jaskiniowych (podziemnych) oraz wspinaczek powierzchniowych do otworów jaskiń.

Najciekawszym odkryciem naukowym było znalezienie w jeziorkach Jaskini Bielskiej przez Andrzeja Chodorowskiego reliktozego skorupiaka *Bathynella natans* i wirka *Microdalyellia*.

Kontakty, wyniki propagandowe.

Nawiązano kontakt z kierownictwem przedsiębiorstwa państwowego „Turista“. Kierownik jego działy jaskiniowej przyjechał z Bratysławy dla spotkania się z uczestnikami obozu. Wszyscy uczestnicy dostali książki o jaskiniach z dedykacjami, wręczono nam również pamiątkowy album zdjęć. „Turista“ zarządza udostępnionymi jaskiniami Słowacji i prowadzi odkrywcze prace jaskiniowe.

Wiadomości o obozie i jego pracach ukazały się w prasie słowackiej. O wyjeździe na obóz i o jego wynikach pisała również prasa krakowska.

Omówienie wyników obozu.

Obóz należy uznać za udany. Pozwolił wości odkrywcze i możliwości sportowe terenów krasowych, wykazał, że w Tatrach zakres taternictwa jaskiniowego. Nastrój i współzycie koleżeńskie w czasie obozu były dobre, nie było żadnych tarć trach słowackich istnieje wielkie możliwości na poznanie nowych jaskiń i nowych między uczestnikami z różnych ośrodków. Przygotowania zdały egzamin, wyżywienie było dobre i celowe.

Wyniki obozu byłyby daleko lepsze, gdyby nie fatalna pogoda. Przez cały prawie czas lał deszcz, widoczność była mała, co ogromnie utrudniało poszukiwania jaskiń. Poziom wody w jaskiniach był wyjątkowo wysoki.

Wadą obozu był brak dewiz, co utrudniało poruszanie się i uniemożliwiało drobne nawet wydatki.

Jerzy Tomaszewski
Kierownik obozu
Kazimierz Kowalski
Delegat Sekcji Alpinizmu

Rozwój speleologii i tafernictwa jaskiniowego w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej. Obszary krasowe występują w ZSRR na Uralu, na Krymie, w Zakaukazji i w Środkowej Azji. Pojedyncze prace o krasie pojawiały się w Rosji już od końca XVIII wieku, lecz żywsze zainteresowanie jaskiniami zaczyna się dopiero w ostatnich latach. Zainteresowania naukowe badaczy radzieckich idą obecnie w dwu głównych kierunkach: geologiczno - morfologicznym, z silnym naciskiem na praktyczne problemy obszarów krasowych, oraz biospeleologicznym.

Głównym organizatorem badań morfologicznych jest G. M. Maksymowicz, profesor geologii dynamicznej i geomorfologii Uniwersytetu Mołotowskiego. Zasadą jego jest założenie terenowej stacji speleologicznej w rezerwacie Przeduralie na brzegach rzeki Sylwy. Stacja ta pracuje w łączności z miłośnikami nauki w terenie, a zarazem jest miejscem szkolenia studentów i młodych naukowców.

Jak już wspomniano, zainteresowania geomorfologiczne mają w ZSRR wyraźny aspekt praktyczny. W r. 1933 odbyła się w Kisielewie pierwsza konferencja krasowa, poświęcona głównie zagadnieniom wydobywania węgla w obszarach krasowych. W r. 1947 zwołano do Mołotowa drugą konferencję o znacznie szerszej problematyce. Zjawiskom krasowym poświęcone jest w ZSRR specjalne pismo „Karstowiedienie“.

Badania biospeleologiczne prowadzone są przede wszystkim na Krymie i w Zakaukazji. Obszary te pod względem fauny jaskiniowej są przedłużeniem obszaru śródziemnomorskiego, mają jednak wiele form swoistych. Prace poświęcone biospeleologii drukowane są w wydawnictwach Moskiewskiego Towarzystwa Badaczy Przyrody jako seria pt. Biospeleologia Sovietica.

Młodsze niż naukowe są w ZSRR sportowe zainteresowania jaskiniami. Terenem ich są przede wszystkim jaskinie Gruzji. Alpinści radzieccy zainteresowali się tymi jaskiniami dopiero w r. 1933. Pierwsza wyprawa, zorganizowana w owym roku, miała na celu zbadanie jaskiń Abrskila i Chwamli. Wyprawą kierowali A. Dżaparidze i L. Maruaszwili. W

grocie Abrskila przebyto około kilometra, grotę Chwamli, która jest trudno dostępną jaskinią sztuczną, zbadano całkowicie. W lecie r. 1943 L. Maruaszwili wraz z grupą pracowników Kutaiskiego Instytutu Pedagogicznego badał grotę zachodniej Gruzji. Najdłuższa ze zwiedzonych wówczas grot, jaskinia Nazodelawo, ma 2 km długości. W r. 1944 powstała Komisja Speleologiczna Klubu Alpinistycznego Gruzji. Pod kierunkiem jej przewodniczącego, prof. Sadowskiego, badano jaskinie zachodniej Gruzji, w r. 1945 zorganizowano wyprawę do sztucznych grot południowej Gruzji, a w r. 1946 wyprawę do groty Abrskila, którą tym razem poznano do końca. Zwiedzono również grotę Głowa Otapa i pokonano w niej szereg wodospadów.

W latach 1947—1951 zajmowano się głównie sztucznymi jaskiniami. Najciekawszym wydarzeniem w tym okresie było znalezienie i zbadanie w r. 1948 grotty Betlemi, uważanej do tego czasu za legendarną. Znajduje się ona na wysokości ok. 4100 m, w 400-metrowej ścianie masywu Kazbelka. W grocie znaleziono szereg cennych zabytków z XI — XVIII wieku.

Cały szereg wielkich naturalnych jaskiń w Biharze. Opis ich wypraw czytelnicy, Kumisi, Konnisi, Grakali, Wanati i inne czekają jeszcze na szczegółowe zbadanie.

O speleologii w Chinach Ludowych nie wiele wiadomo. Prowadzone są tam obecnie dalsze badania wykopaliskowe w jaskiniach Czu-ku-tien, gdzie znaleziono szczątki *Sinanthropus pekinensis*, istoty przedludzkiej z wczesnego pleistocenu. Wiadomo, że w południowych Chinach znajduje się wiele jaskiń, znane są też z dawniejszych prac jaskinie Korei. Wiemy również, że w Wietnamie jaskinie były często schronieniem w czasie wojny z kolonizatorami francuskimi. Wartości naukowe tych jaskiń czekają jeszcze na odkrycie dla nauki światowej.

Pośród krajów demokracji ludowej w Europie najbogatsza w jaskinie jest Czechosłowacja. Ma ona dawną i świetną tradycję badań jaskiniowych, posiada wzorowo udośćpnione jaskinie. Speleologii poświęcone są dwie organizacje. Speleologiczny Klub w Brnie skupia badaczy jaskiń z Czech i Moraw. Wydaje on piękne pismo „Ceskoslovensky Kras“. Na Słowacji Slovenska Speleologiczna Spoločnosť z siedzibą w Liptowskim Mikulaszu ma charakter naukowo-krajoznawczy. Wyniki jej badań publikuje pismo „Kras Slovenska“. Badaniami jaskiniowymi zajmuje się też nowo utworzony zakład speleologii Słowackiej Akademii Nauk pod kierunkiem dra A. Dropy i Mu-

zeum Krasu Słowackiego w Lipt. Mikulaszu, kierowane przez Wojtecha Benického.

Na Węgrzech jaskinie są nieliczne. Największa z nich, Baradla, leży blisko granicy Słowacji. W jej pobliżu odkryto niedawno nową, piękną jaskinię nazwaną Jaskinią Pokoju (Beke-Barlang). Specjalnego towarzystwa speleologicznego obecnie na Węgrzech nie ma. Jaskiniami zajmują się głównie naukowcy: geolodzy i zoologowie.

W Rumunii działa w dalszym ciągu Instytut Biospeleologiczny w Cluj w Siedmiogrodzie. Pracownicy jego zajmują się ostatnio także problemami meteorologii jaskiniowej i opublikowali niedawno pracę na ten temat. Młodzi speleolodzy rumuńscy zajmują się badaniem jaskiń Gruzji, jak Kishishewi, Kwabebisliemy niedawno w prasie polskiej.

Bułgaria miała niegdyś własne towarzystwo speleologiczne i własne czasopismo poświęcone jaskiniom. Niestety aktywność tego towarzystwa zanikła, mimo szeroko zakrojonych badań w pierwszych latach powojennych.

Albania posiada piękne jaskinie, znane jednak jedynie z dawniejszych prac obcych. Ze względu na krasowy charakter większości terenu Albanii badania jaskiniowe mogą mieć nie tylko ogromne znaczenie naukowe, ale i praktyczne, przy poszukiwaniu wody do nawodnień, przy pracach budowlanych i górniczych itp. Polscy speleolodzy i taternicy jaskiniowi winni starać się pomóc Albanii w zbadaaniu jej jaskiń i rozwinięciu tej dziedziny badań.

Niemiecka Republika Demokratyczna posiada jaskinie głównie na terenie Harcu. Działa tam towarzystwo speleologiczne w Nordhausen pod kierunkiem F. Schustera, będącego zarazem wiceprezsem ogólnoniemieckiego, działającego w strefie zachodniej towarzystwa dla badań krasowych i jaskiniowych.

*Oleg Czyzewski
Kazimierz Kowalski*

Odkrycia archeologiczne w jaskini Akczunkur w Tiań-Szaniu. W trudno dostępczej części wschodniego Tiań-Szania odkryła w r. 1953 radziecka wyprawa archeologiczno-alpinistyczna szereg jaskiń, z których najciekawszą jest grota Akczunkur. Kierownicy wyprawy, A.P. Okladnikow i W. I. Racek opisali tę jaskinię w roczniku „Izwestia Wsesojużnogo Geograficznego Obszczestwa” za r. 1954 (t. 36, s. 447—452).

Jaskinia leży na wysokości 3 000 m nad poziomem morza, pół kilometra od brzegu

rzeki Tarim, a 15—18 km od lodowców Sjemienowa i Muszkietowa. Długość jaskini wynosi 45 m, a wysokość do 4,8 m. Na ścianach znaleziono szereg grup rysunków wykonanych ochrą. Przedstawiają one sceny łowieckie, ludzi i różne gatunki zwierząt. Rysunki mają 13—15 cm wysokości. Styl ich przypomina liczne jaskiniowe rysunki Kirgizji, ale technika ich wykonania jest swoista. Zdaniem autorów pracy rysunki pochodzą z końca neolitu lub początku epoki brązu.

Wykopaliska w jaskini doprowadziły do odkrycia wyrobów krzemieniowych o typie neolitycznym, wykonanych z surowca nie spotykanego w pobliżu jaskini. Odkryto również liczne kości zwierząt łownych.

K. K.

Biwak w jaskiniach tatrzańskich.

Na całym świecie wyprawy do dużych jaskiń związane są nierozzerwalnie z biwakowaniem pod ziemią. Na każdej z wielkich wypraw grupa szturmowa — ta która działa najgłębiej i najdalej w jaskini — spędza tam przynajmniej kilka dni. Akcja toczy się tak długo i jest tak uciążliwa, że w czasie jej trwania konieczny jest dłuższy odpoczynek, trzeba spać w jaskini. Miejscem odpoczynku są zazwyczaj namioty czy nawet skonstruowane specjalnie chatki-schrony.

Biwak w dużych i trudnych do zwiedzania jaskiniach jest zagadnieniem ogromnej wagi. Wszędzie tam, gdzie był w grocie musi trwać powyżej 30 godzin, jest on właściwie czynnikiem decydującym o możliwościach przeprowadzenia akcji. Bez biwaku pod ziemią wielkie jaskinie nie mogłyby zostać zbadane. Zasadniczą trudnością biwaku podziemnego jest stałe nasycenie powietrza parą wodną, co powoduje zawilgocenie sprzętu biwakowego.

W dawniejszych wyprawach do jaskiń polskich, których rozmiary nie przekraczały zazwyczaj kilkuset metrów, biwaki nie były konieczne. Już jednak w czasie badań Jaskini Miętusiej, prowadzonych przez krakowską grupę grotolazów w latach 1948 — 1952, nieprzerwaną akcję prowadzono w jaskini bez odpoczynku przez 23 godziny, co przy uwzględnieniu długiego i uciążliwego dojścia do otworu stanowiło niemal dopuszczalne maksimum. Wielkie zmęczenie i brak snu zwiększa bowiem znacznie możliwość wypadków.

Odkrycie głębokich części Jaskini Zimnej sprawiło, że problem biwakowania stał się ważnym także i w polskim ta-

ternictwie jaskiniowym. Pierwsza próba biwakowania w namiotach, przeprowadzona w Jaskini Magurskiej w listopadzie 1952 r., wykazała, że namioty nie są w jaskini wygodne. Co więcej, głębokie części Jaskini Zimnej nie pozwalały na ustawienie namiotów dla większej grupy ludzi. Zdecydowano się więc na użycie specjalnego schronu biwakowego. Schrony takie używane były przez speleologów austriackich. Konstrukcja naszego schronu biwakowego, którego projekt wykonał Maciej Kuczyński, była całkowicie oryginalna. Użycie go w czasie ogólnopolskich wypraw do Jaskini Zimnej w latach 1954 i 1955 wykazało wielką jego przydatność, a zarazem pozwoliło na poznanie wad pierwotnego projektu, których na przyszłość można będzie uniknąć.

Założenia schronu użytego w czasie wyprawy w 1954 r. przewidywały, że ma on być użyty jednorazowo dla biwaku 7 ludzi w okresie 4—5 nocy. Okazało się jednak, że konstrukcja drewniana dobrze wytrzymała rok pobytu pod ziemią i po wykonaniu nowego wycieplenia i nowego pokrycia schron służył w r. 1955 do biwaku dla dwu grup wyprawy w ciągu 7 dni. Założenia techniczne przewidywały dalej, że schron winien posiadać minimalne wymiary, konstrukcję pozwalającą na prosty montaż łatwych do transportu elementów, szczerne pokrycie z możliwością ogrzania wnętrza i dostateczną wytrzymałość. Konstrukcja kołowa miała być niezależna od obudowy. Pokrycie miało być tanie i wodoodporne.

Wymiary zewnętrzne schronu o kształcie sześciangu ($2,4 \times 2,7 \times 2,0$) okazały się za duże. Nie znaleziono miejsca, gdzie można by go w całości ustawić, tak że zaistniała konieczność zmniejszenia objętości, co zresztą nie było rzeczą trudną. Bełeczki ścian przybito bezpośrednio do kołki, nie odsuwając ich o 10 cm, jak to było w projekcie. Najprostsze nawet z zaprojektowanych połączeń okazały się zbyt skomplikowane w warunkach grotu. Pokrycie z parafinowanego kartonu okazało się odporne na wilgoć i rozdarcia. W czasie drugiej wyprawy zastosowano jednak praktyczniejsze pokrycie z ceratki. Koje zbudowano w trzech piętrach o 60 cm, jako ramy o wymiarach 50 na 180 cm, na których rozpięto plecionkę z pasów gurtowych. Podczas drugiej wyprawy zamiast pasów zastosowano plecionkę ze sznurka. Siódmy uczestnik biwaku spał na ruchomej kołce umieszczonej na noc pomiędzy przyczepami piętrowymi, na podłodze. Koje piętrowe połączono kilkoma poprzeczkami i krzyżul-

cami zapewniającymi zupełną ich sztywność.

Schron ogrzewany był przed noclegiem przy pomocy prymusa, co pozwoliło na podniesienie temperatury wnętrza o 3—4^o w stosunku do ciepłoty zewnętrznej wynoszącej około 4^o C., a co więcej na uniknięcie zawilgocenia śpiworów w nasyconej parą wodną atmosferze jaskini. Schron zapewniał pełny wypoczynek siedmiu ludziom podczas czterech dni pobytu w jaskini.

W przyszłości należałoby pomyśleć o konstrukcji schronu przenośnego, najlepiej z rur duralowych, krytego brezentem. Piętrowe koje w warunkach jaskiń tarzańskich okazują się celowym i koniecznym rozwiązaniem. Schron znajduje się w przyszłości niewątpliwie dalsze zastosowanie w badaniach jaskiń tarzańskich i to zarówno przy pracach odkrywczych w największych naszych jaskiniach, jak Zimna, Kasprowa Niżnia i Miętusia, jak i przy rozmaitych badaniach naukowych w głębi jaskiń, pochłaniających bardzo wiele czasu.

Nasuwa się tu również projekt, dysktutowany już na jednym z plenarnych posiedzeń Komłsi Tatarnictwa Jaskiniowego, stworzenia w głębi Jaskini Zimnej stałego schronu biwakowego, który ułatwiłby bardzo poważnie odbywanie wycieczek i prowadzenie badań w tej największej i tajemniczo najciekawszej naszej jaskini.

Maciej Kuczyński
i Ryszard Gradziński

Obliczanie głębokości studni. Najprostszy sposób badania głębokości pionowych studni, czy to w jaskiniach, czy na powierzchni, polega na wrzucaniu do niej kamienia i wnioskowaniu na podstawie długości czasu jego spadania. Często taka ocena „na wycieczkę” bywa mylna. Właściwą głębokość obliczyć można z wzoru

$$h = \frac{g}{2} \times t^2$$

gdzie h jest głębokością, $g = 9,81$ m/sek., a t czasem spadania w sekundach. Przy większych głębokościach trzeba uwzględnić opór powietrza oraz czas przebiegu głosu od dna studni do ucha obserwatora. Czynniki te wzór bardzo skomplikowanym.

W austriackim piśmie „Die Höhle” podano empirycznie sporządzony wykres, oparty na doświadczeniach w szybach kopalnianych, który pozwala znaleźć głębokość przy znanym czasie spadku. Podajemy tabelkę sporządzoną na podstawie tego wykresu:

czas spadku w sek.	głębokość w metrach
1	5
2	20
3	40
4	65
5	100

Kazimierz Kowalski

Kombinezon nurkowy w taternictwie jaskiniowym. Zalane wodą odcinki korytarzy są przeszkodą, z którą spotyka się mieni i jezior podziemnych odbywa się najczęściej z pomocą gumowych ubiorów lub napęcznionych powietrzem gumowych łodzi. W wypadkach, gdy korytarz przybiera formę syfonu i lustro wody dotyka stropu, pozostaje jedynie możliwość zlewarowania lub wyczerpania wody. Jest to jednak zawsze mozolne, a w niektórych przypadkach zupełnie niemożliwe. Zastosowanie kombinezonu nurkowego pozwala jednak i wówczas na przeprowadzenie rekonesansu dla stwierdzenia możliwości dalszego posuwania się w głąb jaskini. Metodę nurkowania stosują od dawna speleolodzy włoscy, francuscy i angielscy. W Polsce skafander nurkowy został po raz pierwszy użyty w jaskini przez wyprawę krakowskich grotolazów w czasie badań Jaskini Zimnej w Tatrach w lutym 1953 r.

Skafander wykonano własnymi środkami i według własnego projektu. Składał się on z gumowego kombinezonu z butami i rękawicami, wciąganej przez obszerny otwór szyjny, oraz z cylindrycznego hełmu z pocynkowanej blachy żelaznej. Połączenie obu części następowało przez zaciśnięcie śrubami gumowej krawędzi otworu między podkładanym pod nią osobnym pierścieniem żelaznym a szerokim kołnierzem hełmu. Okienko stanowiła dobrze uszczelniona płytka pleksiglasu. Łączność nurka z powierzchnią zapewniał telefon z umocowanym w hełmie na stałe mikrofonem i zakładaną na głowę słuchawką. Przewody telefoniczne biegły wewnątrz 30-metrowego węża dostarczającego powietrze z dwóch ręcznych pomp samochodowych. Nurka obciążono płytami ołowiu. Światła dostarczała pod wodą uszczelniona lampa akumulatorowa.

Zastosowany skafander nurkowy okazał się celowy i użyteczny, jego zakres użycia jest jednak ograniczony. Umożliwia on jedynie rekonesans podwodny na odległość około 30 m, nie pozwala natomiast na przerzucenie przez zalany syfon grupy ludzi zdolnych do dalszej akcji. Ponadto skafander ten jest ciężki i trudny do transportu.

Idealny kombinezon nurkowy winien opierać się na udoskonalonych w ostatnich latach i szeroko używanych za granicą autonomicznych skafandrach nurkowych, w których nurek nie jest połączony z powierzchnią wężem, lecz działa całkowicie niezależnie.

Skafander powinien być lekki i umożliwiać samodzielne ubranie się i rozebranie po drugiej stronie przebytego syfonu. Poważną trudnością w jaskiniach tatrzańskich jest niska temperatura wody. Wydaje się też, że w warunkach jaskiniowych konieczne jest — nawet przy skafandrze autonomicznym — zapewnienie połączenia telefonicznego i jakiejś formy asekuracji. Przy nurkowaniu w syfonie nie ma bowiem oczywiście mowy o wypłynięciu na powierzchnię w razie defektu aparatury.

Projekt skafandra nurkowego uwzględniającego warunki jaskiń polskich opracował ostatnio Andrzej Ostrowicz z krakowskiej Sekcji Taternictwa Jaskiniowego. Projekt ten powinien stać się punktem wyjścia dla dalszych prac.

Możliwości zastosowania skafandra nurkowego w polskich jaskiniach są duże. Widzimy je przede wszystkim w Jaskini Bystrej, Chochołowskiej Szczelinie, Rybiej, pod Pisaną i Kasprowej Niżniej w Tatrach. Posiadanie takiej aparatury zwiększyłoby też znacznie możliwości działania polskich speleologicznych wypraw zagranicznych.

Maciej Kuczyński
i Włodzimierz Starzecki

Światło czołowe. Zasadniczym problemem technicznym dla taternictwa jaskiniowego jest problem oświetlenia. Przy wspinaczkach w ciemności ogromne usługi oddaje elektryczne światło czołowe użyte w jaskiniach Polski po raz pierwszy przez Jeżego Tomaszewskiego z Torunia w latach powojennych. Światło czołowe pozostawia obie ręce wolne do wspinaczki, przy czym snop promieni kieruje się zawsze w tym kierunku, w którym patrzymy.

Wykonanie elektrycznej lampy czołowej nie nastęca trudności, można ją zrobić łatwo sposobem domowym z latarki elektrycznej. Światła używane przez członków krakowskiej Sekcji Taternictwa Jaskiniowego składają się z reflektora przytwierdzonego do rozciągliwej opaski z miękką podkładką umieszczonej na hełmie lub wprost na głowie oraz z baterii 6 V noszonej w kieszeni. Część zasilająca połączona jest z reflektorem za pomocą kabla z wtyczką i kontrwtyczką, co pozwala na szybką wymia-

nę zużytej baterii. Lutowanie wszystkich połączeń wewnętrznych zabezpiecza od strat energii na stykach. Baterie składane są z czterech tzw. „amerykanek“ każda, są dobrze izolowane warstwą parafiny i tkaniną. Światło czołowe—jak wykazała praktyka — działa niezawodnie nawet w silnym deszczu podziemnym, kiedy użycie lampy korbidowej jest niemożliwe. Świeci ono nieprzerwanie przez kilka godzin bez zmiany baterii.

W chwili obecnej na zlecenie Komisji Tatarnictwa Jaskiniowego opracowywany jest prototyp ulepszonego światła czołowego do produkcji seryjnej.

Wydaje się, że światło czołowe mogłoby znaleźć zastosowanie także i w ratownictwie górskim, przy nocnych wyprawach wspinaczkowych. Należy zaznaczyć, że wskutek automatycznego kierowania się snopu światła za ruchem głowy patrzącego usuwa ono w pewnej mierze wrażenie ciemności i umożliwia dużą swobodę poruszania się.

W alpinizmie podziemnym za granicą, a także w górnictwie, używane są światła czołowe z płomieniem acetylenowym. Woda i karbid lub butla ze sprężonym acetylenem noszone są przy pasie, a gaz dopływa do palnika rurką. Czas świecenia dochodzi tu do klikunastu godzin. Wadą tego urządzenia jest znaczny ciężar i niebezpieczeństwo eksplozji, niekiedy jednak mogłoby ono i w naszych warunkach znaleźć zastosowanie. Warto by więc przeprowadzić i u nas próby w tym kierunku.

Przemysław Burchard

Nietoperze z obrączkami w jaskiniach. Dla poznania wędrowek nietoperzy, ich długości życia i szeregu zjawisk z ich bio-

logii prowadzone są w wielu krajach badania przy pomocy obrączkowania. Nietoperze oznacza się przez umieszczenie na skrzydle aluminiowej blaszki, na której znajduje się adres instytucji naukowej prowadzącej obrączkowanie i kolejny numer. Przy obrączkowaniu wpisuje się nietoperza do odpowiedniej kartoteki. Jeśli oznaczony nietoperz znajdzie się w rękach ludzi, którzy nadesłają wiadomość o nim do badaczy prowadzących obrączkowanie, to wówczas porównanie miejsca i czasu obrączkowania i znalezienia pozwala na wysnucie ciekawych wniosków. Obrączkowanie pozwoliło więc stwierdzić, że nietoperze żyją kilkanaście lat, że odbywają długie przeloty odlatując na zimę ku południowi i wracając na lato do dawnych kwater itd.

W czasie wycieczek do jaskiń można niekiedy spotkać nietoperza z obrączką. Należy wówczas odczytać numer obrączki i przesłać numer wraz z datą i miejscem znalezienia nietoperza oraz nazwiskiem znalazcy do Zakładu Psychologii i Etologii Zwierząt Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ul. św. Anny 6; zakład ten prowadzi w Polsce akcję obrączkowania nietoperzy. Obrączkę należy pozostawić nienaruszoną na skrzydle nietoperza. Jeśli odczytanie numeru jest niemożliwe (np. wskutek uszkodzenia obrączki), albo obrączka uszkodziła skrzydło nietoperza, albo znajdujemy ją na martwym nietoperzu, wówczas należy przesłać pod wspomnianym adresem samą obrączkę, dodając oczywiście wszystkie dane o znalezieniu.

Spotykając nietoperze w jaskiniach powinniśmy pamiętać, że są to zwierzęta niezwykle pożyteczne i wskutek tego chronione. Bezwarunkowo nie wolno ich płoszyć, zabijać ani poruszać.

Kazimierz Kowalski

SPRAWY PRZEWODNICKIE

Z działalności Koła Przewodników Tatrzańskich w Zakopanem. Obecny Zarząd Koła Przewodników Tatrzańskich w Zakopanem (z kol. W. H. Paryskim jako przewodniczącym) przystąpił do opracowania nowej klasyfikacji przewodników i nowego typu szkolenia. Opracowuje się również nowy regulamin wewnętrzny. Prace te wiążą się zarówno ze zwiększonym ruchem turystycznym w Tatrach i Zakopanem, jak i z rozszerzeniem tego ruchu na obszar całego Podtatrze Polskiego z Pieninami i południowymi stokami Beskidów. Nowa klasyfikacja przewiduje dwie równoległe grupy specjalistyczne: przewodników tatrzańskich i przewodników podhalańskich. Wielką przeszkodą we wzmożonej działalności przewodniczej jest brak należytej opieki ze strony władz PTTK, brak własnego pomieszczenia (świetlicy, sali wykładowej) oraz podstawowych świadczeń socjalnych, jak np. ubezpieczenia chorobowego.

W dniach od 14 do 19 września 1955 r. przewodnicy odbyli wycieczkę szkoleniową w Tatry Słowackie pod kierownictwem kol. W. H. Paryskiego. Mimo ka-

pryśnej pogody uczestnicy przeszli grań Tatr Bielskich od Skalnych Wrót po Przełęcz pod Kopą, byli na Gierlachu (wejście przez Wielicką Próbę, zejście przez Batyżowiecką Próbę) oraz przeszli magistrалą turystyczną odcinek od Doliny Wielickiej przez Osterwę, Popradzki Staw (zwiedzono tutaj symboliczny cmentarz) do Szczyrbskiego Jeziora. Wrócono przez Polski Grzebień i Dolinę Białej Wody. Dobrze przeprowadzona i instruowana wycieczka spełniła zadanie orientacyjnego poznania Tatr Słowackich. Należy się spodziewać rewizyty kolegów przewodników ze Słowacji w Tatrach Polskich.

W jesieni 1955 r. plan szkolenia obejmuje turystyczne i krajoznawcze poznanie Pienin i okolicy. Będzie to rozpoczęcie wielkiej akcji szkoleniowej, która jednak musi znaleźć główną swoją podstawę w postaci własnego lokalu. Należy przypuszczać, że Zarząd Oddziału PTTK w Zakopanem w najbliższym czasie przeznaczy niesłusznie zamienionym na biura Dworna ten cel odpowiednie pomieszczenia w cu Tatrzańskim.

(tst)

Z P I Ś M I E N N I C T W A

Tadeusz Bernadzikiewicz: Polska safari w Górach Księżycowych. Opracował, wstępem i przypisami zaopatrzył Janusz Lech Jakubowski. Warszawa 1955. Stron. 56; 3 nłb., 24 tab.

„Polska safari w Górach Księżycowych“ zdążyła do wnętrza odkrytego przez Stanleya gniazda górskiego Ruwenzori wypiętrzającego się ponad 5000 metrów szczytem Margherity. Przedziera się przez rozszalałą bujność roślinności tropików, przeprawa wbrod przez rwące fale rzeki, zakłada biwaki w kolebach, z których jedna nosi nazwę „Jammy Leoparda“, a do innej — bez nazwy — skrada się wśród ciemności pozbawiony przez ludzi wygodnego naclegu drapieżca. Grzęźnie w mokradłach otaczających jezioro owiane legendą Herodota, wsysa w siebie wilgoć z ciężkich tumanów owijających „góry tworzące deszcz“, na wysokości 4200 metrów przecina linię wiecznych śniegów. Daży po śladach dawniejszych wypraw; jej szlak przecina się ze szlakami Włochów, Anglików, Belgów i Niemców — i doprowadza wreszcie pod spietrzenia nietkniętych stopą człowieka olodzonych szczytów, ocze-

kujących w szarych welonach mgieł na polskich alpinistów.

Osiągnięcia polskiej wyprawy w Ruwenzori w r. 1939 i ich znaczenie dla naszego alpinizmu były już omawiane na łamach „Taternika“ kilka lat temu. Wydaje się więc zbyteczne podkreślanie ich raz jeszcze tu, gdzie obchodząc nas sprawą jest jakość ujęcia literackiego wspomnień z wyprawy w książce pisanej w mroku okupacji hitlerowskiej.

Książka ta ma wadę: jest za krótka. Na 56 stronie kończy ją — w pełni niedosytny czytelnika — zdanie: „Safari wróciła z gór“. Wymieniona wada jest jedną (lecz nie jedy-ną) z wielkich zalet stylu autora: zwięzłości. W książce brak kompletnie dłużyzn — i dzięki temu w tak małej objętości zdołał autor zawrzeć rys historyczny dotyczący gór „karmiących śniegami swymi jeziora, z których wypływa Nil“, oraz dzieje polskiej wyprawy o charakterze nauko-woalpinistycznym.

Autor pozostawia czytelnika w nieświadomości co do wyników prac badawczych grupy naukowców, ograniczając się do wtajem-

naczenia go w przeżycia alpinistów i towarzyszących im z ciężarami na głowach czarnych pagasi (tragarzy). Pamiętając jednak, że książka przeznaczona jest dla szerszego ogółu, rezygnuje ze szczegółowych opisów śnieżno-skalnych wspinaczek (ku żalowi: czytelników o zainteresowaniach alpinistycznych). Obszerniej natomiast — i również bardzo interesująco — rozwinięty jest wątek podróżniczej przygody.

Druga wielka zaleta języka — to jego obrazowość. Grań co „staje dęba stromym skalnym uskokiem“, tragarz Rudzumba z powiewającymi dokoła nagich nóg połami starego fraka, szarpiający w ciszy nocnej za linkę namiotu leopard i sunący „z obnażonym nożem w garści“ autor jako zaplecze zbrojnego jedyń w świecie latarki elektrycznej kolegi — to obrazy, które towarzyszą nam o wiele dłużej niż trwa czytanie cienkiej książeczki.

Specyficzny humor autora nacechowany żartobliwą, trochę patetyczną powagą, która tak wryła się w pamięć wszystkich, co go znali, wyciera ku nam z wielu fragmentów jego wspomnień. Rozmowy z Murzynami w prymitywnym narzeczu ki-suahili, rozważania w obliczu niebezpieczeństwa czy leopard „zechce nadal spokojnie pozować do zdjęcia“, przyznawanie się do „objawów zawodowej zawiści“ wywołanej widokiem małp wyczynających nad głowami alpinistów skoki — tak sugestywnie wynurzają z kart książki osobowość autora, że przez chwilę ulega się złudzie bezpośredniej rozmowy... I powrót safari do słonecznego Bugoye, za którym tak tęsknią zmaltretowani górskim zimnem tragarze — dla czytelnika następuje zbyt szybko.

Treść książki poprzedzona jest wstępem pióra prof. Jakubowskiego oraz zaopatrzona przez niego w liczne przypisy mające na celu uprzyjemnienie czytelnikowi treści książki. W niektórych wypadkach jednak objaśnienia terminów wzbudzają zastrzeżenia („turnia — mniej trudne do przebycia, ale dość znaczne wzniesienie w grani“) lub też — niedostatecznie orientują laika (objaśnienie: „rodzaj stalowych kołców na buty“ — nie mówi dostatecznie jasno o konstrukcji raków).

Sposób poruszania we wstępie często dziś podkreślanych różnic między charakterem taternictwa w okresie przedwojennym i obecnie, jak również sugerowanie jako powodu śmierci górskiej tak wybitnego taternika jak Mieczysław Świerż — braku nad nim opieki ze strony państwa ma lekki posmak naiwnego nieomal schematyzmu.

Liczne zdjęcia dołączone jako ciekawy materiał ilustracyjny rażą techniką przereżusowania, które nadało obcy wyraz dobrze uchwyconym przez aparat fotograficzny twarzom uczestników wyprawy.

Halina Wyżanowicz

Kazimierz Kowalski: Jaskinie Polski. Warszawa. Wydawnictwo Państwowego Muzeum Archeologicznego. Tom I (1951): stron 10 nrb., 466 il., 27 tablic, 1 mapa. Tom II (1953): stron 10 nrb., 186 il., 20 tablic, 6 map. Tom III (1954): stron 192, il., 1 tablica.

Wielkie to dzieło (razem około 650 stron formatu 21 × 30 cm) daje kompletny inwentarz jaskiń Polski. Przy opisie każdej jaskini podane są w miarę możliwości: nazwa (z ewent. synonimami), przynależność administracyjna (i ewent. właściciel), wysokość otworu nad poziom morza i nad dno doliny, ekspozycja otworu, rozmiary jaskini (długość, głębokość etc.), opis samej jaskini i jej namuliska, dane naukowe (paleontologiczne, archeologiczne, mikroklimatologiczne, florystyczne, faunistyczne itd.), historia pozostania, zbadania i użytkowania, miejsce przechowywania wydobytch okazów naukowych, literatura etc. Dołączony jest też plan każdej jaskini, mapy rozmieszczenia jaskiń i materiał ilustracyjny (fotografie i stare ryciny). Razem opisano blisko 700 jaskiń i tzw. schronisk podskalnych.

Dzieło zawiera też dość obszerną część ogólną (razem około 150 stron), która w różnych tomach uwzględniła takie zagadnienia jak: powstanie i rozwój jaskiń, namuliska, mikroklimat, biologia, człowiek a jaskinie, historia poznania jaskiń, ich ochrona, sposób zwiedzania etc.

Tom I, najobszerniejszy, obejmuje jaskinie Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej. Warto wspomnieć o paru pracach nieznanych Kowalskiemu, a dotyczących jaskiń tego terenu.

Adam Wiślicki i Stanisław Lówanhard w artykule pt. „Wędrowka geologiczna po Królestwie Polskim“ (Księga Świata, Warszawa, tom 4, rok 1856, część 1, str. 183—192 z tablicą) piszą ogólnikowo o jaskinach Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej i wymieniają ich 13.

Następnie Adam Wiślicki w artykule pt. „Jaskinie i grotty w paśmie jurajcznego wapienia w Polsce“ (Księga Świata, Warszawa, tom 5, rok 1856, część 2, str. 306—311) opisuje dokładnie „grotę olsztyńską“ (identyczną z nrem 487 Kowalskiego, tj. Jaskinią Olsztyńską), którą zwiedził z przewodnikiem. Również podaje szczegółowy opis jaskini Studnisko na podstawie relacji Wilkoszewskiego, który ją zwiedził z towarzyszem w r. 1845, spuszczać się na linie. Studnisko wydaje się być identyczne z Jaskinią Koraliową (nr 490) Kowalskiego, więc podają przez tego ostatniego datę jej odkrycia trzeba by przesunąć o kilkadziesiąt lat wstecz. Według Wiślickiego w pobliżu Studniska jest jeszcze inna grotta zwana Rejsternią. W tymże artykule Wiślicki opisuje też dokładne jaskinie w Złotym Potoku (być może identyczną z nrem 473 Kowalskiego), inną w grupie skał zwanych Ostrzężnik, koło fol-

warku Siedlec, wspomina o grocie Zegar koło Smolenia, dokładniej znów pisze o jaskiniach Ojcowa. Wiślicki podaje dane o wykopaliskach, florze i faunie jaskiń, związane z nimi podania ludowe, sposób powstawania grot itd. Kowalski wprowadził wymienienia pod nr 309 swego spisu literatury pracę Wiślickiego i identycznym tytule jak powyższa, ale drukowaną dopiero w r. 1865 w Kalendarzu Poznańskim, lecz pracy tej (będącej może przedrukiem omawianej) nie miał w rękę i nie mógł wykorzystać.

Wreszcie jest jeszcze trzecia praca Wiślickiego pt. „Podzamcze, Pilica i Smoleń pod względem przyrody i fabrycznego ruchu“ (Księga Świata, Warszawa, tom 5, rok 1856, część 2, str. 340—344), w której znajduje się krótki opis groty Zegar koło Smolenia. Ponadto w drugim tomie Starożytności Polskich (Poznań 1852), na str. 188, jest wzmianka o dwóch jaskiniach Ojcowa. Tytuł o źródłach nie uwzględnionych przez Kowalskiego w tomie I.

Tom II obejmuje jaskinie Tatr Polskich (70 numerowanych i kilka nienumerowanych). Część ogólna, mimo że porusza zagadnienia naukowe, napisana jest tak jasno i ciekawie, iż przeczyta ją z korzyścią i zainteresowaniem każdy krajoznawca zajmujący się Tatrami. Dzieje poznania i zwiedzania jaskiń tatrzańskich (str. 21—27) pomijają niejedną szczegół, ale nie brak chyba żadnego ważniejszego faktu, zresztą autor nie zamierzał dać szczegółowej monografii. Spis literatury wymienia 250 pozycji; tu też można by niejedno dorzucić (choćby różne prace takich autorów jak A. Alth, M. Balucki, L. Birkenmajer, F. Fuchs, B. Gustawicz, E. Janota, K. Kolbenheyer, S. Morawski, A. Rehman, A. Wilhelm etc.). Uwzględnienie dalszej literatury przyniosłoby niejedną przyczynę, ale chyba mało faktów istotnych dla opracowania takiego, jakiego podjął się Kowalski. Warto może tylko wspomnieć, że pomiary temperatury wewnątrz jaskiń Tatr Polskich nie robił pierwszy A. J. Zmuda (str. 9), gdyż wyprzedził go w tym o wiele lat K. Kolbenheyer, a w pozycji jaskinie tatrzańskie pojawiły się co najmniej o kilkanaście lat przed poematem Szczyńskiego z r. 1860 (wiersz T. Lenartowicza z r. 1843).

We wstępie do części szczegółowej tomu II autor podaje, że nazwy jaskiń w Tatrach Polskich zostały ustalone przez Komisję Nazewnictwa Tatrzańskie przy redakcji „Taternika“. Dodać można — czego Kowalski nie podaje — że odbyło się to w r. 1953, a więc w środku kilkuletniego okresu, kiedy „Taternik“ nie wychodził. W ten sposób uporządkowany został chaos istniejący do tego czasu w nazewnictwie jaskiniowym w Tatrach Polskich.

Niektóre jaskinie są tu opisane po raz pierwszy, a przy bardzo wielu znajdują się różne dane, które również nie były jeszcze nigdzie opublikowane. Przy opisie jaskiń Doliny Kościeliskiej autor zastosował kolejność niezgodną z jego własnymi założeniami; ale nie odgrywałoby to wielkiej roli, gdyby dał lepszą mapę rozmieszczenia jaskiń tatrzańskich. Wprawdzie jest taka mapa (nr I) dla całych Tatr Polskich, ale dla środkowej części Doliny Kościeliskiej przydałaby się osobna, dokładniejsza i bardziej przejrzysta. Wydaje mi się też, że w niektórych wypadkach dobrze by było dać szkielet położenia poszczególnych jaskiń, jak to zrobiono w tomie III.

Kierując się wyszczególnionymi przez siebie założeniami, autor nie uwzględnił w swoim inwentarzu takich jaskiniowatych formacji, jak np. Świnicka Koleba. Czy zasady te w odniesieniu do terenu tatrzańskiego są słuszne?

Opuszczono też niewielką jaskinię w zboczach Kominiańskiego Wierchu (Kominów Tylkowych), w okolicy Mnicha nad Dolinką Smytnią. Nie wiem, czy autor uznał ją za zbyt małą (choć opisuje mniejsze), czy też jej nie znał. Podobnie z Kozią Dziurą (nazwa góralska) nad Doliną Małej Łąki.

Tom III dzieła obejmuje jaskinie pozostałych terenów Polski, m. in. Pienin i Skalic Nowotarskich. O Jaskini w Oblazowej należało by dodać, że wymienia ją już Jan Węlas w swej pracy (pominiejącej przez Kowalskiego) pt. „Roślinność skalic nowotarskich i konieczność ich ochrony“ (Ochrona Przyrody, Kraków, 16, 1936, str. 43—56). Spis literatury odnoszącej się do jaskiń Pienin wydaje się zbyt skąpy (8 pozycji). Czyżby rzeczywiście tak mało o nich pisano? Tenże tom III przynosi też trochę uzupełnień do poprzednich tomów, m. in. do jaskiń tatrzańskich.

Tomy I i III są zaopatrzone w indeksy miejscowości zawierających jaskinie, a tylko tom II ma indeks samych jaskiń. Oba rodzaje indeksów są bardzo przydatne, ale zwłaszcza indeks nazw jaskiń powinien być dodany do każdego tomu. W części tekstowej papier i druk są na dobrym poziomie, natomiast tablice z ilustracjami wypadły na ogół źle z powodu lichego papieru. Również i mapy wydrukowano na tandentnym papierze, ale to już nie wina autora.

W całości o dziele Kowalskiego trzeba powiedzieć, że jest to praca wielka i wspaniała. Jest też i imponująca, jeżeli zważy się stosunkowo krótki czas w jakim została zrobiona i to przez autora młodego. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że jest to tylko pracowita kompilacja, ale dokładne przestudiowanie tego dzieła ujawnia, iż jest ono wybitnie twórcze. Zgromadzono do jego przygotowania bogatą literaturę

(ponad 800 pozycji) i wyzyskano ją możliwie dokładnie wraz z licznymi materiałami rękopiśmiennymi i zbiorami w różnych instytucjach, lecz poza tym dzieło opiera się na własnych wizjach lokalnych autora obejmujących prawie wszystkie z opisanych jaskiń, na jego własnych wyprawach odkrywczych i badaniach w dziedzinie faunistyki, mikroklimatologii itd.

„Jaskinie Polski“ Kowalskiego zawierają z jednej strony przebogate i pierwsze zgromadzenie tak niebywale porozrzucanego materiału, jakim są źródła do speleologii Polski, a z drugiej strony zestawienie i opracowanie bogatego już dorobku własnego autora i licznego zespołu jego współpracowników, których umiał zapalić i zorganizować do tak trudnej pracy, jaką jest działalność odkrywcza i naukowo-badawcza w podziemiach naszego kraju, połączona często i z dużym niebezpieczeństwem. Część ogólna wszystkich tomów tworzy razem spory podręcznik speleologii, stojący na wysokim poziomie naukowym, a zarazem napisany tak przystępnie i zajmująco, że może spełnić dużą rolę w popularyzacji wiedzy. Przy tym wszystkim trzeba podkreślić, że jest to praca pionierska w polskiej literaturze speleologicznej. Z punktu zaś widzenia piśmiennictwa tatrzańskiego — i to nie tylko speleologicznego ale w ogóle — jest to jedna z najważniejszych pozycji na przestrzeni wielu lat.

Na zakończenie jeszcze parę uwag na marginesie omówionego dzieła. Kowalski miał za zadanie opisać jaskinie Polski, więc w Tatrach uwzględnił tylko te, które znajdują się w granicach polskich. Dobrze by było, gdyby teraz uzupełnił swoje dzieło opisem pozostałych jaskiń tatrzańskich, a jeszcze lepiej, gdyby nam dał nowe dzieło obejmujące razem wszystkie jaskinie Tatr, gdyż tom II (tatrzański) „Jaskiń Polski“ jest wyczerpany, a poza tym — dzięki silnemu rozwojowi polskich badań speleologicznych w ostatnich latach — wymaga on już dziś wielu uzupełnień. Zresztą opracowania wszelkich problemów naukowych w Tatrach powinny zawsze obejmować cały teren tatrzański, gdyż ograniczanie się do części tego obszaru jest dla celów naukowych sztuczne. Za takie kompletne dzieło o jaskinach całych Tatr byłiby autorowi niezmiernie wdzięczni nie tylko naukowcy pracujący w wielu dziedzinach i to po obu stronach tych gór, ale również turyści i taternicy jaskiniowcy.

W. H. Paryski

Stanisław Marusarz: Na skoczniach Polski i świata. Kartki pamiętnika opracował Zbigniew K. Rogowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955. Stron 158, il.

Autor, zasłużony mistrz sportu, w sposób żywy i interesujący opisuje swoją wieloletnią karierę narciarską zapoczątkowaną w

Zakopanem. Kilkakrotnie podkreśla, że dla słocзка i w ogóle dla narciarza turystyka wysokogórska i taternictwo posiada wielkie znaczenie jako trening, który rozwija zmysł równowagi, wyrabia odwagę, podnosi sprawność mięśni. Marusarz opisuje też parę swych wycieczek narciarskich w Tatry, m. in. przez Szpiglasową Przełęcz, gdzie miał przygodę z lawiną.

Pod względem językowym rażą ucho takie zwroty jak „zrobić wynik“, „oddać skok“, a źle użyte są takie jak „w granicach 90 m“. W gwarze podhalańskiej nie mówi się (i nie pisze) „psysed“, lecz „przysed“. Korekta nie najgorza, ale i nie najlepsza: trawestowanie (zamiast: trawersowanie), kelksy (piekсы), skikjöring. Fotografie na str. 39 i 133 są błędnie objaśnione; w drugim wypadku trudno uwierzyć, żeby Marusarz miał uprawiać turystykę na nartach skokowych. Pod względem technicznym Wydawnictwo Literackie poprawiło stronę ilustracyjną książki w porównaniu do swych poprzednich publikacji.

W. H. F.

Lenin w Polsce. Warszawa 1955. Wydawnictwo „Sztuka“. Teczka z 13 reprodukcjami rysunków na planszach 29 x 41 cm.

Z rysunków tych sześć przedstawia Lenina w Poroninie, Białym Dunajcu i Tatrach, a autorami są Mieczysław Kościelniak (4 rysunki), Michał Bylina i Stanisław Pecznański. Wydawnictwo to powinno być rozpowszechnione na Podtatrzu (w Polsce i Czechosłowacji!), gdzie dawał się odczuć brak materiału ilustracyjnego pokazującego wielkiego wodza proletariatu podczas jego pobytu na tym terenie. Co więcej, wydaje się, iż byłoby celowe wydanie dalszych plansz przedstawiających znane wydarzenia z życia Lenina w Tatrach i na Podhalu.

R.

Zprawy horolezckej sekcji SLTVS. Wydawa Horolezcka sekcia Slovenskeho Vyboru pre Telesnu Vychovu a Sport v Bratislave pre potrebu horolezckych oddielov, krajjskych horolezckych sekcii a horolezckych sekcii jednotlivych UV a KV DSO na Slovensku. Riadi dr Radek Roubal.

W obliczu wielkiego rozwoju taternictwa w Czechosłowacji w latach ostatnich dał się odczuć, podobnie jak u nas, wyraźny brak czasopisma poświęconego wyłącznie sprawom wysokogórskim. Dla częściowego chociaż wypełnienia tej luki sekcja słowacka SVTVS (Państwowego Komitetu Wychowania Fizycznego i Sportu) rozpoczęła z początkiem 1954 r. wydawanie „Zprawy“. Pismo poczęło się ukazywać jako miesięcznik w formie powielanej w nakładzie 100 egzemplarzy.

Charakter jego, początkowo niemal wyłącznie sprawozdawczo-informacyjny, w miarę ukazywania się dalszych numerów

zmieniał się w kierunku wzbogacenia tematyki i pogłębienia zainteresowań i rzeczywiście rozszerzył się, choć w sposób nieco chaotyczny, na całość zagadnień wysokogórskich. Znajdujemy w „Zaprawach” artykuły problemowe dotyczące najbardziej zasadniczych problemów alpinizmu (głównie plóra A. Puskasa), beletryzowane wspomnienia, dużo miejsca poświęca się osiągnięciom himalajskim (A. Veverka, H. Rac, O. Bublik). Bardzo ciekawą i udaną pozycję stanowią opowiadania J. Andrasięgo, który w tej formie omawia najcharakterystyczniejsze ostatnie wypadki w Tatrach. Obszernie dyskutowane są najważniejsze osiągnięcia taternictwa, szczególnie słowackiego, sprawy szkolenia, praca TBS-u. Treść zeszytów dopełniają recenzje, notatki i obszerny dział organizacyjny.

Poziom artykułów jest bardzo nierówny, obok doskonałych trafia się też szereg słabiej opracowanych, notatkowo potraktowanych. Brak jednolitego układu poszczególnych zeszytów powoduje zamieszanie i zmniejsza przejrzystość pisma. W ciągu roku 1954 ukazało się 9 numerów w 8 zeszytach, razem 309 stron. Ostatnie zeszyty odznaczają się już starannym opracowaniem i wykonaniem (rotaprint).

Podkreślić trzeba bardzo życzliwy stosunek i związki jakie łączą „Zprawy” z taternictwem polskim: w szczególności pierwsze numery zamieszczały oficjalne sprawozdania i artykuły autorów polskich, głównie tłumaczone z „Oscypka”.

R. W. Schramm

K2 — Montagne sans pitie. C. S. Houston. R. H. Bates et les membres de la III-me Expédition Américaine au Karakorum. Edition Arthaud, Paris-Grenoble 1954. Przełożyli z angielskiego J. i F. Germain. Stron 234, 12 fot., 4 szkice.

Oto książka pasjonująca, którą się czyta jednym tchem. Trzecia wyprawa amerykańska na Czogori (K2) w r. 1953 była pod kilkoma względami różną od dotychczasowych wypraw himalajskich. Pozbawiona pomocy Sierpów, którzy nie dostali pozwolenia na wjazd do pakistańskiej części Kaszmiru, musiała rozwiązać problem transportu na stokach góry i zakładania wysokich obozów w sposób odmienny. Amerykanie mieli do dyspozycji tylko 5 tragarzy wysokogórskich ze szczezu Hunza, zupełnie nie obytych z trudnym terenem górskim. Byli też oni wprawdzie pomocni jedynie do obozu IV (6550 m), cały zaś trud wnoszenia bagażu wyżej wzięła na swe barki 8-osobowa drużyna wspinaczy. Wywiązała się z tego zadania znakomicie, ustawiając 1 sierpnia doskonale zaopatrzony obóz VIII na wysokości 7770 m.

Drugą cechą charakterystyczną wyprawy był jej wzorowy duch zespołowego działa-

nia, który przepajał wspinaczy tak dalece, że po zgromadzeniu się wszystkich w obozie VIII wyznaczono dwójki szturmowe drogą... tajnych wyborów. Równocześnie postanowiono, że nazwiska wspinaczy, którzy wejdą na szczyt, nie będą podane do wiadomości publicznej dla zadokumentowania zespołowej zasługi całej drużyny w osiągnięciu zwycięstwa.

Nadzieja na sukces była usprawiedliwiona: 8 doskonale zaaklimatyzowanych i w pełni formy wspinaczy znajdowało się o 2—3 dni drogi od celu w obozie zaopatrzonym na 2 tygodnie. Udaremniły zwycięstwo okoliczności od woli ludzkiej niezależne. Straszliwa niepogoda, która miała trwać ponad 2 tygodnie, oraz niespodziewane ciężkie zachorzenie Artura Gilkeya (zakrzep żylny w nodze z następową embolią płucną) nie tylko odebrały wyprawie szanse sukcesu, ale nawet wtrąciły ją w położenie tragiczne, nieomal bez wyjścia.

Zwarty i niezłomny zespół wspinaczy trwał zrazu cały tydzień w obozie leżącym na granicy tzw. „strefy śmierci wysokościowej”, potem zaś podjął się bez wahania nadludzkiego zadania transportu w dół chorego towarzysza. W 6-dniowym dramatycznym odwrocie na trudnej technicznie lodowiskalnej drodze, w ustawicznej huraganowej kurniawie, wśród groźnych lawin dali wszyscy dowody najwyższego hartu ducha i sprawności fizycznej. Upadek całej grupy 5 ludzi, cudem powstrzymany na 9-milimetrowej linie nylonowej przez Schoeninga stojącego na jedynym dobrym stanowisku asekuracyjnym, dotkliwie kontuzje i odmrożenia większości uczestników, porwane przez lawinę i śmierć Gilkeya — wszystko to nie jest w stanie złamać odwagi alpinistów i ich siły woli. Przebijają się ostatecznie do zbawczej bazy.

Książka sprawia głębokie wrażenie, a opisy tragicznego odwrotu są wręcz fascynujące i napełniają rzetelnym uznaniem i podziwem dla wyczynu alpinistów, większego może, niż zdobycie szczytu w dobrych warunkach. Przypomina się czytelnikowi, jak wyprawa niemiecka na Nanga Parbat w r. 1934 w podobnych warunkach popadła w rozsypkę i pozostawiła na górze 9 trupów.

Nasuują się też refleksje krytyczne, że taktyka masowego ataku całej ekipy naraz kryje w sobie znaczne niebezpieczeństwo odcięcia od bazy. Niewątpliwie obecność grup wspierających w obozach pośrednich i przeprowadzanie ataku falami (jak to czynili Szwajcarzy i Brytyjczycy na Ewercście) zapewnia czołowce dojście pomocy z dołu. Wyprawa amerykańska dostać jej nie mogła, bo na dole byli tylko tragarze i kierownik bazy, pakistański pułkownik-lekarz dr Ata Ullah. Na nic się nie zdała stała łączność radiowa.

Relacja z przebiegu wyprawy uzupełniona jest obszernymi dodatkami, w których zawarto dokładne i cenne dane o ekwipunku, żywności, problemach lekarskich, kosztorysie i wydatkach wyprawy (całkowity koszt

30 953 dolarów) oraz organizacji transportu bagażu do podnóża gór i na stokach góry. Zdjęcia fotograficzne są piękne — żalujemy, że jest ich tak mało. — *jkd*

SPRAWY SEKCJI ALPINIZMU

DZIAŁALNOŚĆ SEKCJI ALPINIZMU ZG PTTK I GKKF W LATACH 1954 — 1955. Sekcja Alpinizmu Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego powstała w wyniku Ogólnopolskiej Narady Aktywu Wysokogórskiego w dniach 25 i 26 czerwca 1954 r. na Chochołowskiej Polanie. Jednocześnie uchwałą ZG PTTK została rozwiązana dotychczasowa Komisja Taternictwa ZG PTTK. Uczestnicy Narady wybrali spośród siebie 47-osobowe Plenum Sekcji, które z kolei wyłoniło 12-osobowe Prezydium Sekcji. Uchwałą Prezydium Głównego Komitetu Kultury Fizycznej Sekcja Alpinizmu posiada pełne uprawnienia Sekcji GKKF.

Ta nowa, dostosowana do żywotnych potrzeb alpinizmu struktura organizacyjna postawiła przed Prezydium Sekcji Alpinizmu poważne zadania. Jednym z najważniejszych było roztoczenie szczególnej opieki nad alpinizmem wyczynowym, który w Polsce posiada tak piękne tradycje, a który w ostatnich latach znajdował się w wyraźnym impasie. Droga do przełamania tego impasu mogło być tylko wyjście z ciasnego kręgu Tatr Polskich, które w ubiegłym okresie stanowiły jedyny teren działania polskich alpinistów. Toteż niebawem po ukonstytuowaniu się Prezydium Sekcji, w dniach od 25.VIII do 17.IX 1954 r. zorganizowano obóz wysokogórski w Tatrach Słowackich. W obozie tym wzięło udział 30 uczestników (2 turnusy po 15 osób). Kierownikiem był wiceprzewodniczący Sekcji, kol. Justyn Wojsznis. Wynikiem działalności obozu były nie tylko liczne przejścia taternicze (w tym wiele na najwyższym poziomie wyczynowym i wiele nowych dróg), ale również nawiązanie serdecznych więzi przyjaźni z alpinizmem czechosłowackim i porównanie poziomu wyczynowego naszego i naszych czechosłowackich kolegów. Porównanie to wykazało, że polskie taternictwo letnie w żadnym razie nie ustępuje poziomem czechosłowackiemu.

W dniach od 7 — 24.III 1955 r. odbył się pod kierunkiem kol. Mariana Paul-

ly'ego obóz zimowy w Tatrach Słowackich. Wzięło w nim udział 50 alpinistów, a ponadto samodzielna 10-osobowa grupa grotolazów pod kierunkiem kol. dr K. Kowalskiego (o działalności alpinizmu jaskiniowego piszemy na innym miejscu). Obóz ten pomimo bardzo złych warunków atmosferycznych, na jakie natrafił, wykazał dobry poziom polskiego taternictwa zimowego, ale jednocześnie odkrył, że posiadamy niepokojące braki w zakresie sprzętu wysokogórskiego.

W lecie 1955 r. (od dnia 19.VII — 16.IX) akcja obozów w Tatrach Słowackich objęła przeszło 90 uczestników. Zorganizowani oni byli w pięciu 2-tygodniowych turnusach, w tym jeden taterników jaskiniowych (pod kierunkiem kol. Jerzego Tomaszewskiego). Kierownikami turnusów taterniczych byli: I-go (Dolina Jaworowa) — kol. Andrzej Wilczkowski; II-go (Dolina Kacza) — kol. Jerzy Hajdukiewicz, III-go (Dolina Jaworowa) — kol. Stanisław Biel, IV-go (Dolina Kiezmarska) — kol. Jan Strzelecki. Rezultatem działalności letniej polskich taterników był cały szereg nowych dróg oraz powtórzeń o najwyższym stopniu trudności. W szczególności wymienić trzeba pierwsze całkowite przejście grani Tatr (Bielskich, Wysokich i Zachodnich) od Przełęczy Zdziarskiej do Huciańskiej.

Wyjazdy do Czechosłowacji to oczywiście tylko pierwszy krok w kierunku powrotu alpinizmu polskiego na teren światowy. Jakkolwiek rozpoczęte w roku 1954 starania o zorganizowanie wyprawy w Kaukaz w roku 1955 nie odniosły skutku, Prezydium Sekcji nie ustaje w wysiłkach, zmierzających do realizacji planu wypraw na rok 1956.

Do imprez ogólnopolskich o charakterze wyczynowym zaliczyć można także IV wyprawę do Zimnej Jaskini (luty 1955 r.) i II Alpinadę (13 — 25 kwietnia 1955 r.). Ta ostatnia, kierowana przez kol. W. H. Paryskiego, miała założenia treningu kondycyjnego i organizacyjnego w zakładaniu łańcucha obozów, organizacji transportu w terenie wysokogór-

skim itp. Wzięło w niej udział 35 uczestników. Wyjątkowe, „himalajskie“ wprost warunki atmosferyczne (stałe zadymki, przeszło 2-metrowy opad śnieżny) panujące w tym okresie sprawiły, że I Alpinada była egzaminem szczególnie ostrym i dostarczyła wielu cennych obserwacji i doświadczeń.

W zakresie organizacyjnym najważniejszym zadaniem Prezydium Sekcji była reorganizacja Sekcji terenowych oraz dostosowanie struktury Sekcji do warunków, wynikających z powiązania ze sportem. Prace te, jakkolwiek bardzo zaawansowane, dalekie są jeszcze od ukończenia. Regulamin Sekcji Centralnej i Sekcji terenowych, zatwierdzony przez ZG PTTK, uzyskał dopiero ostatnio zatwierdzenie GKKF-u (na skutek pewnych przeobrażeń organizacyjnych tej instytucji). Wprowadzenie klasyfikacji alpinistycznej, na wzór klasyfikacji sportowej, zostało zrealizowane. Zebrano i zweryfikowano wykazy przejść poszczególnych alpinistów, uzyskano zatwierdzenie przez GKKF norm klasyfikacyjnych. W innym miejscu niniejszego zeszytu podajemy listę sklasyfikowanych alpinistów.

Prezydium Sekcji działało w oparciu o komisje: Sportową, Szkoleniową, Wydawniczo-Propagandową i Alpinizmu Jaskiniowego. W terenie działało 13 Sekcji przy Oddziałach PTTK (wykaz wraz z ilością członków podany jest oddzielnie). Ze względu na koncentrację aktywności alpinistycznej Prezydium nie uważało na razie za wskazane tworzenie Sekcji przy Zrzeszeniach Sportowych. Przeciwnie, istniejące dotąd Sekcje przy „Kolejarzu“ Kraków i „AZS“ Gdańsk rozwiązały się i przeszły do Sekcji przy Oddziałach PTTK.

Jeśli chodzi o zagadnienie szkolenia nowych kadr, Prezydium Sekcji poczyniło kroki, zmierzające do zlikwidowania żywioowości w dotychczasowej praktyce szkoleniowej, zwiększenia bezpieczeństwa uczestników kursów i obozów oraz wzmocnienia odpowiedzialności kierownictwa i instruktorów. W tym celu wprowadzono jednolity regulamin kursów i obozów oraz wykaz dróg dostępnych dla celów szkoleniowych. Każdy kurs czy obóz, lista jego uczestników i instruktorów oraz kierownictwo podlegają zatwierdzeniu przez Prezydium. Na wniosek Komisji Szkoleniowej i Sportowej zaostrożono dyscyplinę wśród instruktorów, karząc zawieszeniem, naganą, a nawet skreśleniem wszelkie wypadki samowolnego naruszenia regulaminu. Po-

stawiono także ujedynolnić metody szkolenia drogą kursu unifikacyjnego dla instruktorów. Kurs taki odbył się od 4 do 10 lipca 1955 r. w Krakowie, kierowany przez przewodniczącego Komisji Szkoleniowej. Ponadto członkom Sekcji o odpowiednim stażu instruktorskim przyznano stopnie starszych instruktorów lub instruktorów.

Prezydium stanęło na stanowisku, że najpilniejszym zadaniem jest doszkolenie fachowe licznych zastępów młodych wspinaczy, którzy przeszli szkolenie początkowe i nie będąc jeszcze samodzielnymi taternikami zostali pozostawieni samu sobie. Z konieczności więc ograniczono na razie szkolenie dla początkujących, a położono nacisk na podwyższenie kwalifikacji czynnych już wspinaczy. Ponadto wprowadzono nową formę organizacyjną w postaci tzw. obozów międzyszkoleniowych, dostępnych dla tych, którzy ukończyli już kurs początkujący, a nie mają jeszcze odpowiednich kwalifikacji lub możliwości zapisania się na kurs dla zaawansowanych. Na obozie takim, prowadzonym przez jednego doświadczanego instruktora, uczestnicy pogłębiają umiejętności nabyte na kursie dla początkujących i nabierają doświadczenia w bardziej samodzielnym uprawianiu taternictwa. Niestety, trzeba stwierdzić, że brak przestrzegania zasad regulaminowych przez niektórych kierowników i uczestników obozów międzyszkoleniowych doprowadził do nieszczęśliwych wypadków, w tym nawet jednego śmiertelnego.

Jeszcze inną, nową formą organizacyjną były tzw. Samodzielne Grupy Taternicze, których uczestnikami mogli być wyłącznie członkowie Sekcji, mający za sobą całkowity cykl szkoleniowy, a kierownikiem wysokokwalifikowany taternik (posiadacz II klasy sportowej).

Organizacja obozów międzyszkoleniowych i Samodzielnych Grup Taterniczych powierzona była poszczególnym Sekcjom Oddziałowym, natomiast właściwe szkolenie letnie i zimowe prowadzone było centralnie.

W roku 1955 odbyły się następujące ogólnopolskie kursy szkoleniowe (kursy z lata 1954 r. opuszczamy jako zrealizowane jeszcze na zasadzie kalendarza byłej Komisji Taternictwa, a nie organizowane przez Sekcję Alpinizmu):

W okresie zimowym zorganizowano ogólnopolski kurs taternictwa zimowego dla początkujących (Hala Gąsienicowa) od 1 — 28 lutego 1955 r. (2 turnusy, razem 45 osób, kierownicy kol. Józef Ja-

nuszkowski i Andrzej Wilczkowski) oraz ogólnopolski obóz zimowy dla zaawansowanych (Morskie Oko) (2 turnusy, razem 35 osób, kierownicy kol. Wawrzyniec Zuławski i Henryk Mogilnicki).

W lecie przeprowadzono taternicki kurs dla początkujących (Hala Gąsienicowa) od 10.VII do 6.IX 1955 r. (5 turnusów, razem ok. 90 osób, kierownikami poszczególnych turnusów byli: kol. M. Mischke, Stanisław Biel, Henryk Nardziakiewicz, Henryk Czarnocki i Aleksander Rokita) oraz ogólnopolski kurs taternicki dla zaawansowanych (Morskie Oko) od 16.VII do 13.IX 1955 r. (4 turnusy, razem 60 osób, kierownicy kol. Jerzy Lechowski, Stanisław Groński, Karol Jakubowski i W. Manduk).

Ponadto Oddziałowe Sekcje zorganizowały w okresie od października 1954 r. do kwietnia 1955 r. 8 taternickich obozów zimowych, w sezonie letnim odbyło się 14 obozów międzyszkoleniowych (razem ok. 235 uczestników) oraz działało 15 samodzielnych Grup Taternickich o łącznej ilości ok. 285 uczestników.

Trzeba nadmienić, że działalność taternicka zimowa zarówno w ramach obozów, jak i indywidualna odznaczała się w 1955 r. bardzo silnym wzrostem. Jest to w dużym stopniu wynikiem wymagań, jakie stawiają normy klasyfikacji alpinistycznej.

Na zakończenie należy wspomnieć o wysiłkach Prezydium, zmierzających do wznowienia „Taternika”. Wysiłki napotykały przez dłuższy czas na duże trudności i przeszkody. Przeszkody te zostały wreszcie usunięte i dzięki temu ukazuje się obecnie pierwszy numer tego pisma, tak dla ruchu wysokogórskiego niezbędnego i posiadającego tak piękne tradycje w historii alpinizmu polskiego.

Warszawa, dnia 12.X 1955 r.

*Prezydium Sekcji Alpinizmu
ZG PTTK i GKKF*

Plenum i Prezydium Sekcji Alpinizmu.
W dniach 25 i 26 czerwca 1954 r. na Krajowej Naradzie Aktywu Alpinistyczne-

go utworzono Sekcję Alpinizmu ZG PTTK i GKKF i wybrano jej władze w następującym składzie:

Plenum Sekcji Alpinizmu

1. Babiński Mieczysław
2. Biel Stanisław
3. Chwaściński Bolesław
4. Czartoryski Paweł
5. Czernołcki Stefan
6. Damec Rudolf
7. Dziędzielewicz Zdzisław
8. Goetel Walerj
9. Groński Stanisław
10. Grosz Wiktor
11. Guzik Kazimierz
12. Jakubowska Krystyna
13. Jakubowski Karol
14. Kowalski Kazimierz
15. Lapiński Czesław
16. Manda Andrzej
17. Manduk Władysław
18. Maślanka Jerzy
19. Michalski Leszek
20. Mierzejewski Jerzy
21. Mitkiewicz Zygmunt
22. Mitkiewicz Jerzy
23. Nowicki Tadeusz
24. Paryski Witold
25. Paszucha Kazimierz
26. Pawłowski Tadeusz
27. Rogowski Tadeusz
28. Rubinowski Zbigniew
29. Schramm Ryszard
30. Siedlecki Stanisław
31. Sobolewski Marek
32. Staszal Jan
33. Strojny Jerzy
34. Strumiło Tadeusz
35. Strzelecki Jan
36. Szczepański Jan Alfred
37. Szumski Juliusz
38. Udziela Witold
39. Wagner Waclaw
40. Węgrzynowicz Teresa
41. Węgrzynowicz Zenon
42. Wilczkowski Andrzej
43. Wiśniowska Bogna
44. Wojsznis Justyn
45. Zemła Sławomir
46. Zipser Tadeusz
47. Zuławski Wawrzyniec

Plenum Sekcji wybrało 12-osobowe Prezydium, które ukonstytuowało się następująco:

**Prezydium
Sekcji Alpinizmu**

1. Przewodniczący: Wawrzyniec Żuławski.
2. Wiceprzewodniczący dla spraw organizacyjnych: Justyn Wojsznis.
3. Wiceprzewodniczący dla spraw szkoleniowych: Tadeusz Nowicki.
4. Wiceprzewodniczący dla spraw sportowych: Bolesław Chwaściński.
5. Wiceprzewodniczący dla spraw wydawnictw i propagandy: Jan Alfred Szczepański, a po jego rezygnacji (od 21.V.1955): Wacław Wagner.
6. Sekretarz: Zenon Węgrzynowicz.
7. Członek Prezydium dla spraw ewidencji: Jan Staszal.
8. Członek prezydium dla spraw sprawozdawczości: Jerzy Strojny.
9. Członek prezydium dla spraw sprzętu: Andrzej Manda.

10. Członek Prezydium dla spraw łączności międzynarodowej: Jan Strzelecki.

11. Członek Prezydium: Witold Paryski.

12. Członek Prezydium: Stanisław Siedlecki, a po jego rezygnacji z dnia 1.IV.1955 Prezydium w dniu 12.VII.1955 dookoopotało Stanisława Biela.

13. W skład Prezydium wchodzi poradco przewodniczący Komisji Taternictwa Jaskiniowego: Kazimierz Kowalski.

Odnazka Taternicka. Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF postanowiło ustanowić Odnazkę Taternicką, którą będą mogli uzyskać wszyscy czynni taternicy, także ci, którzy nie zdobyli jeszcze klasy sportowej. Odnazka Taternicka ma też być nadawana zasłużonym taternikom jako odznaka honorowa. Szczegóły będą podane w następnym zeszycie „Taternika“.

NORMY KLASYFIKACYJNE W ALPINIZMIE

Opracowane przez Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF normy klasyfikacyjne dla alpinizmu zostały zatwierdzone przez Główny Komitet Kultury Fizycznej i ogłoszone jako załącznik do zarządzenia Przewodniczącego GKKF z dnia 27.V.1955 r. (nr 48). Normy te — w porównaniu do oficjalnego tekstu GKKF trochę przestylizowane oraz w nieco innym, bardziej przejrzystym układzie i z paroma drobnymi uzupełnieniami (są to przeważnie drobne ustępy opuszczone omyłkowo przy pierwszej publikacji norm) — podane są poniżej.

Alpinizm — Normy Klasyfikacyjne

K l a s a		Ilość przewodnikowych godzin wspinaczki							
		Ogółem	zimą lub w górach lodowatych	nieważnym	dość trudnym	trudnym	bardzo trudnym	niezwykle trudnym	skrajnie trudnym
III	mężczyźni	75	20	10	15	12	8	—	—
	kobiety	50	15	20	12	10	5	—	—
II	mężczyźni	200*)	50	30	30	25	10	20	5
	kobiety	150	30	25	22	20	5	15	3
I	mężczyźni	400*)	120	30	20	40	50	35	15
	kobiety	250	60	25	22	30	35	25	10
Mistrzowska	mężczyźni	600	200	30	30	40	50	35	15
	kobiety	350	80	25	22	30	35	25	10

Dla uzyskania klasy mistrzowskiej, I, II lub III alpinista winien spełnić warunki podane w tabeli, a ponadto:

A l p i n i s t a III k l a s y :

a. ukończyć 20 lat,

b. uprawiać alpinizm 2 lata,

c. ukończyć kursy alpinistyczne: latem

dla zaawansowanych i zimą dla początkujących (lub wykazać się równorzędnymi kwalifikacjami),

d. prowadzić na 2 drogach trudnych,

*) 200/100 podanych godzin wspinaczkowych należy przejść z alpinistą klasy niższej lub niesklasyfikowanym.

- e. przejść 2 drogi 3-godzinne dość trudne i 1 drogę 3-godzinną trudną,
- f. posiadać Odznakę Tatarnicką (regulamin jej będzie ogłoszony osobno),
- g. umieć jeździć na nartach w terenie górskim (posiadać brązową Górską Odznakę Narciarską),
- h. zdać egzamin teoretyczny (szczegóły będą podane osobno).

Alpinista II klasy

- a. uprawiać alpinizm pełne 4 lata,
- b. przechodzić na drugiego drogi skrajnie trudne i drogi, gdzie ma zastosowanie technika podciągowa,
- c. prowadzić na drogach nadzwyczaj trudnych o łącznym czasie 10 godzin,
- d. przejść zimą:
 - mężczyźni: 3 drogi zimowe typu Mięgoszowiecka Przełęcz Wyżnia od pn., Kozia Przełęcz Wyżnia od pn.-pn.-zach. ściana Niżnich Rysów,
 - kobiety: 2 drogi zimowe typu pn.-zach. ściana Świnicy, Zadni Kościelec Kominem Drewnowskiego,
- e. pracować społecznie w dziedzinie alpinizmu,
- f. zdać egzamin teoretyczny.

Alpinista I klasy

- a. uprawiać alpinizm pełnych 5 lat,
- b. prowadzić na 3 drogach skrajnie trudnych i na 1 drodze, gdzie ma zastosowanie technika podciągowa,
- c. przejść zimą:
 - mężczyźni: 2 drogi zimowe typu Mięgoszowiecki Szczyt pn. ściana,
 - kobiety: 2 drogi zimowe typu pn.-zach. ściana Niżnich Rysów,
- d. uczestniczyć w 2 wyprawach zimowych 3-dniowych typu grań Zabia Czuba-Mięgoszowiecki Szczyt lub Orla Perc (cała) — punkt ten nie dotyczy kobiet,
- e. uczestniczyć w imprezie alpinistycznej w dużym zespole z dodatnią opinią kierownictwa,
- f. pracować społecznie w organizacji alpinistycznej,
- g. zdać egzamin teoretyczny.

Mistrz Alpinizmu

uprawiać alpinizm pełnych 7 lat

Uwagi.

1. Klasę sportową nadaje się tylko alpinistom, którzy w ciągu poprzedzających 3 lat spełnili warunki dla utrzymania danej klasy (szczegóły niżej).
2. Klasy można zdobywać jedynie kolejno (poczynając od III).

3. Przejścia wymagane dla każdej klasy liczy się od rozpoczęcia działalności alpinistycznej. Za przejścia tatarnickie (alpinistyczne) uważa się w lecie drogi od nieco trudnych, a w zimie od łatwych włącznie.

4. Przejść samotnych nie uwzględnia się.

5. Czas pierwszych przejść (problemów) — w razie uznania wartości tatarnickiej (alpinistycznej) danego problemu przez Główną Komisję Klasyfikacyjną — może być zaliczony podwójnie, a drugich przejść — w sposób analogiczny — półtorakrotnie.

6. Powtarzanie jakiejś drogi przez tego samego alpinistę, jeżeli jest dokonane w różnych sezonach, będzie zaliczone według pełnej ilości godzin, ale tylko trzykrotnie.

7. Przejścia instruktorów w ramach kursów są zaliczane każdorazowo w pełnym wymiarze godzin.

8. Przejścia zalicza się tylko w górach typu alpejskiego (w Polsce tylko w Tatrach), a ich czasy według uznanych przewodników tatarnickich.

9. Wyprawy ratunkowe w terenie od nieco trudnego wwyż zalicza się według rzeczywistego czasu trwania i rzeczywistego stopnia trudności (stwierdzonych przez kierownika grupy ratunkowej); czas trwania liczy się w tym wypadku od wyjścia ze schroniska do powrotu do schroniska (lub z obozu do obozu).

Warunki utrzymania klasy:

Alpinista III klasy

W ciągu każdych 3 lat przejść drogi tatarnickie o łącznym czasie trwania 50 godzin, z czego po jednej o stopniu trudności od dość trudnego do bardzo trudnego włącznie oraz jedną w zimie.

Alpinisci I i II klasy

W ciągu każdych 3 lat przejść drogi tatarnickie o łącznym czasie trwania 60 godzin, z czego po dwie o stopniu trudności od dość trudnego do bardzo trudnego włącznie oraz jedną w zimie. pię jak na uzyskanie II klasy.

Warunki odzyskania klasy:

Alpinista, który z uzasadnionych powodów nie spełnił warunków przewidzianych na utrzymanie klasy, może bez względu na długość przerwy w uprawianiu alpinizmu odzyskać swoją klasę (lub utrzymać III) po spełnieniu następujących warunków:

Alpinista III klasy

W ciągu najwyżej 2 lat przejść drogi taternickie o łącznym czasie trwania 60 godzin, z czego na pierwszego po jednej drodze od dość trudnej do bardzo trudnej włącznie oraz jedną drogę w zimie.

Alpiniści I i II klasy

W ciągu najwyżej 2 lat przejść drogi taternickie o łącznym czasie trwania 60 godzin, z czego:

- 5 dróg letnich nadzwyczaj trudnych na pierwszego,
- jedna droga letnia skrajnie trudna na pierwszego lub drugiego,
- dwie drogi zimowe typu jak na uzyskanie II klasy.

Przepisy przejściowe:

- Przy pierwszym sklasyfikowaniu (przeprowadzonym w r. 1955) nie obowiązuje kolejne zdobywanie klas.
- Przy pierwszym sklasyfikowaniu (w r. 1955; Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF) zawieszają obowiązek egzaminów.

Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF

U w a g a. Omówienie powyższych norm znajduje się w artykule B. Chwaścińskiego pt. „Klasyfikacja sportowa w taternictwie”, (ogłoszonym w niniejszym zeszycie „Taternika”).

Lista sklasyfikowanych taterników i alpinistów.

Na podstawie wniosku Podkomisji Klasyfikacji Komisji Sportowej, w dniu 8 października 1955 roku Prezydium Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GKKF uchwaliło podaną niżej klasyfikację taterników i alpinistów polskich. W związku z koniecznością jak najszybszego wprowadzenia klasyfikacji dokonano tego jedynie na podstawie warunków technicznych (wiek, lata uprawiania taternictwa, odbyte wspinaczki) i ogólnych danych kandydata — bez egzaminów. Na przyszłość przy klasyfikowaniu obowiązują już pełne normy klasyfikacyjne podane na str. 75.

I k l a s a m ęż c z y z n

- Biel Stanisław (Kraków)
- Groński Stanisław (Szczecin)
- Hajdukiewicz Jerzy (Zakopane)
- Mitkiewicz Jerzy (Zakopane)
- Ostrowski Witold (Warszawa)
- Paszucha Kazimierz (Kraków)
- Piotrowski Jerzy (Kraków)
- Schramm Ryszard (Poznań)
- Staszal Jan (Warszawa)
- Worwa Stanisław (Kraków)
- Zuławski Wawrzyniec (Warszawa)

II k l a s a m ęż c z y z n

- Bilczewski Jacek (Gliwice)
- Długosz Jan (Kraków)

Zestawienie ilości członków Oddziałowych Sekcji Alpinizmu.

Bielsko-Biała	32
Bydgoszcz	9
Gdańsk	40
Gliwice	58
Kraków	135
Lublin	25
Łódź	80
Nowa Huta	16
Poznań	38
Stalinogród	98
Szczecin — brak danych	
Toruń	15
Warszawa	272
Wrocław	35
Zakopane	55

Razem (bez Szczecina) 908.

Ponadto w kilku miejscowościach, w których ze względu na brak wymaganej ilości taterników spełniających warunki przyjęcia na członka Sekcji nie można zawiązać Oddziałowej Sekcji, istnieją przy PTTK — przy Zarządach Oddziału lub Okręgu — Koła Taternickie, mianowicie w Cieplicach-Zdroju, Kielcach, Opolu i Wałbrzychu.

Poza tym w Sekcjach Jaskiniowych (częściowo te same osoby, co w Oddziałowych Sekcjach Alpinizmu):

Kraków	45
Toruń	9
Warszawa	16
Zakopane	28

Razem 98 osób.

- Dziędzielwicz Zdzisław (Gliwice)
- Hegrele Zbigniew (Kraków)
- Honowski Jerzy (Zakopane)
- Jakubowski Karol (Kraków)
- Karpiński Marek (Warszawa)
- Komusiński Wojciech (Kraków)
- Kozłowski Zdzisław (Warszawa)
- Mierzejewski Jerzy (Warszawa)
- Mischke Maciej (Kraków)
- Nowicki Tadeusz (Warszawa)
- Paully Marian (Kraków)
- Rogowski Tadeusz (Stalinogród)
- Rubinowski Zbigniew (Kraków)
- Skoczyła Adam (Kraków)
- Słupski Jan (Kraków)
- Strojny Jerzy (Warszawa)
- Strumiłło Tadeusz (Kraków)

20. Udziela Witold (Gliwice)
21. Wala Antoni (Kraków)
22. Wala Jerzy (Kraków)
23. Wilczkowski Andrzej (Łódź)
24. Zarębski Jan (Warszawa)

III klasa mężczyzn

1. Bednarek Henryk (Stalinogród)
2. Berbeka Krzysztof (Zakopane)
3. Bernadt Maciej (Stalinogród)
4. Bilczewski Adam (Gliwice)
5. Block-Bolten Andrzej (Kraków)
6. Bonarski Andrzej (Warszawa)
7. Bysiek Stanisław (Wrocław)
8. Chalecki Janusz (Gliwice)
9. Czyż Wiesław (Kraków)
10. Dąbski Bronisław (Gliwice)
11. Dej Józef (Łódź)
12. Drogowski Andrzej (Poznań)
13. Filasiewicz Krzysztof (Gliwice)
14. Gąsiorowski Antoni (Poznań)
15. Jakubowski Zdzisław (Wrocław)
16. Janas Zygmunt (Kraków)
17. Januszkowski Józef (Zakopane)
18. Jońca Joachim (Gliwice)
19. Kłoczkowski Zbigniew (Poznań)
20. Kowalczyk Jan (Stalinogród)
21. Kozłowski Stefan (Kraków)
22. Krok Lesław (Stalinogród)
23. Krupski Jan (Zakopane)
24. Lechowski Jerzy (Kraków)
25. Lechworowicz Jerzy (Gliwice)
26. Michalski Leszek (Toruń)
27. Milewicz Jerzy (Łódź)
28. Momatiuk Czesław (Stalinogród)
29. Mrowiec Czesław (Warszawa)

30. Nadziakiewicz Henryk (Łódź)
31. Peterko Stefan (Gliwice)
32. Piliński Jerzy (Kraków)
33. Radoń Ludwik (Kraków)
34. Rowiński Janusz (Warszawa)
35. Rozwadowski Erazm (Gliwice)
36. Skupiński Andrzej (Warszawa)
37. Stefański Marek (Stalinogród)
38. Strzelecki Jan (Warszawa)
39. Surdel Jerzy (Warszawa)
40. Szumski Juliusz (Kraków)
41. Śledziwski Roman (Gliwice)
42. Świdzki Jerzy (Warszawa)
43. Wojnarowicz Jerzy (Wrocław)
44. Zaunar Jan (Warszawa)
45. Zawada Andrzej (Warszawa)
46. Zipser Tadeusz (Wrocław)
47. Żukowski Jacek (Gliwice)

I klasa kobiet

1. Hajdukiewicz Helena (Zakopane)

II klasa kobiet

1. Hajdukiewicz Helena (Zakopane)
2. Heller Krystyna (Kraków)
3. Węgrzynowicz Teresa (Warszawa)

III klasa kobiet

1. Lechworowicz Zofia (Gliwice)
2. Miłkiewicz Maria (Zakopane)
3. Paweńska Katarzyna (Łódź)
4. Rubinowska Teresa (Stalinogród)
5. Skroczyńska Maria (Warszawa)
6. Wiśniewska Bogna (Łódź)

OD REDAKCJI

Wznawiany obecnie po kilkuletniej przerwie „Taternik“ nie może od razu w swym pierwszym zeszycie ukazać się w postaci, w jakiej chciałaby go widzieć Redakcja i — niewątpliwie — czytelnicy. Dotyczy to zarówno formy zewnętrznej, graficznej, jak i zawartości treściowej. Przyczyny tego są różnorakie ale przejściowe — związane w znacznej mierze z przerwą w ukazywaniu się czasopisma. W obecnym zeszycie niektóre stale działy naszego pisma są więc skąpo reprezentowane lub nawet w ogóle nieuwzględnione, a niektóre ciekawe materiały z powodu trudności technicznych w wykonaniu doń części ilustracyjnej odłożyliśmy do następnego numeru — uważaliśmy jednak, że lepiej wypuścić pierwszy zeszyt w takiej postaci, niż odwlekać termin jego druku.

W przyszłości pismo będzie takie, jakim uczyni je zarówno praca Redakcji, jak i współpraca czytelników. Nie ma co ukrywać, że w pierwszym okresie swych prac nad wznowieniem pisma starania Redakcji nie były należycie poparte przez wielu taterników, którzy nie dali się zachęcić do aktywnej współpracy. Nie mniej trzeba podkreślić, że ostatnio nastąpił wybitny zwrot ku lepszemu i że z różnych stron zaczęły napływać do Redakcji cenne materiały, które jednak będą mogły być wykorzystane dopiero w następnych numerach.

Współpraca czytelników powinna polegać nie tylko na dostarczaniu materiałów tekstowych i ilustracyjnych; pożądane też jest, aby nadsyłali swe dezyderaty, co do formy i treści pisma oraz — oczywiście — słowa rzeczowej i twórczej krytyki.

„Taternik“ będzie wychodził jako kwartalnik.

Wszelkie materiały dla pisma i korespondencję należy przesyłać na adres: Redakcja „Taternika“, Antałówka 7, Zakopane.

KOMITET REDAKCYJNY: W. H. Paryski (redaktor), R. W. Schramm, J. A. Szczepański, W. Wagner, A. Wala, J. T. Wojsznis.

WYDAWCA: Sekcja Alpinizmu ZG PTTK i GKPF.

REALIZACJA: Wydawnictwo „Sport i Turystyka“.

ZESTAWIENIE WYDANYCH DOTĄD NUMERÓW „TATERNIKA“

Dla użytku osób interesujących się bliżej naszym piśmie podajemy tu zestawienie wydanych dotąd numerów „Taternika“ od chwili ukazania się pierwszego numeru z datą 1 marca 1907 r.

Rocznik 1	1907	6 numerów
„ 2	1908	6 „
„ 3	1909	6 „
„ 4	1910	6 „
„ 5	1911	6 „
„ 6	1912	6 „
„ 7	1913	6 „
„ 8	1914	2 numery

Rocznik (nienumerowany) 1915 — 1921 i zeszyt (nienumerowany)

Rocznik 9	1922	4 numery
„ 10	1923—1924	1 zeszyt (nienumerowany) z datą 1 I 1925
„ 11	1925	2 numery (razem) z datą 1 IX 1925
„ 12	1926	6 numerów
„ 13	1929	4 numery
„ 14	1930	4 numery
„ 15	1931	6 numerów
„ 16	1932/3	6 „
„ 17	1933	6 „
„ 18	1934	6 „
„ 19	1934/5	6 „
„ 20	1935/6	6 „
„ 21	1936/7	6 „
„ 22	1937/8	6 „
„ 23	1938/9	3 numery (Nr 4 tego rocznika, poświęcony II Polskiej Wyprawie w Andy, zawierający też pierwsze doniesienie o osiągnięciach I Polskiej Wyprawy w Himalaje, był w chwili wybuchu wojny wydrukowany, ale cały nakład, przechowywany w drukarni, uległ zniszczeniu w 1944 r., podczas Powstania Warszawskiego.

Roczniki 24—28 były wydawane tajnie podczas wojny w Warszawie, na powielaczu. Ilustracje do nich (w tekście i poza tekstem) stanowiły oryginalne odbitki fotograficzne. Roczniki te nie były datowane i ukazywały się nieraz z opóźnieniem.

Rocznik 24	1940	3 zeszyty (nr 1, 2—3 i 4)
„ 25	1941	1 zeszyt (nr 1—4)
„ 26	1942	2 zeszyty (nr 1—2 i 3—4)
„ 27—28	1943—1944	1 zeszyt (nr 132—139). Ta numeracja ciągła zeszytów była mylna.

Po ostatniej wojnie ukazały się:

Rocznik 29	1947	6 numerów
„ 30	1948	4 numery
„ 31	1949	1 zeszyt (nr 1—2)
„ 32	1956	1 zeszyt (nr 1—2)

Jak widać z powyższego zestawienia, ukazało się razem 152 numery „Taternika“. Liczymy rocznik 1915—1921 jako jeden numer i tak samo rocznik 1923—1924 jako jeden, a inne zeszyty wg ich rzeczywistej numeracji. Uwzględniamy też nr 4 z rocznika 23, chociaż nakład tego numeru — z wyjątkiem jednego niekompletnego egzemplarza — został zniszczony.